

Paulina Cedlerska



# LALKARZ

ZOBACZYŁA COŚ, CZEGO NIE POWINNA...

FILIA

Paulina Cedlerska

# LALKARZ

FILIA



Copyright © by Paulina Cedlerska, 2023  
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy.  
Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz

Redakcja: Karolina Macios  
Korekta: „DARKHART”, Jarosław Lipski  
Skład i łamanie: „DARKHART”

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-997-8

# FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

## PROLOG

Zimna skóra przywarła do niej, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Chciała krzyknąć, błagać o pomoc, ale ciało odłączyło się od umysłu, jakby stało się niezależnym bytem. Długie palce oplotły jej szyję. Desperacko próbowała łapać kolejne oddechy. Nie dla siebie. Dla synka, który wierzgał pod pępkiem, jakby próbował dodać jej odwagi. Może tym niemym gestem prosił, żeby go ocaliła. Przeczuwała, że nie da rady, była za słaba w starciu z lepkimi od potu, silnymi dłońmi. Nie miała już na nic wpływu, zupełnie jakby każde wydarzenie z przeszłości doprowadziło ją właśnie do tego miejsca. Do momentu, w którym w końcu zabraknie jej powietrza. Zapieкло ją pod żebrami. Dusila się. Za wszelką cenę nie chciała zamykać oczu. Rozwarte powieki miały być dowodem życia. Po kilku minutach, a może sekundach obraz klaustrofobicznej toalety zaczęła zasłaniać czarna plama. Pociąg miarowo stukał o tory. Próbowała przywołać jakikolwiek obraz, dzięki któremu nie czułaby się aż tak samotna, ale żaden nie wyłonił się z ciemności. Pestka światła żarzącego się na suficie zniknęła. Ciałem z brzuchem wyraźnie zaznaczonym pod swetrem w grube warkocze wstrząsnęły drgawki. Później zapadła cisza. Powieki wciąż były otwarte, mimo że klatka piersiowa zastygła w bezruchu.

# ROZDZIAŁ 1

Błada smuga światła słonecznego wiała się przez przednią szybę. Łucja wrzuciła wsteczny bieg i gwałtownie nacisnęła pedał gazu. Głuchy, metaliczny odgłos wypełnił wnętrze auta. Poczula szarpnięcie. Wstrzymując oddech, spojrzała w lusterko wsteczne. Odbijał się w nim zarys czerwonego nissana juke'a, na którym zatrzymał się jej piętnastoletni golf. Instynktownie ruszyła do przodu. Zawiesiła wzrok na niewielkiej kamerze wiszącej na żółtej ścianie budynku uczelni. Zrezygnowana zawróciła.

– Ja pierdolę – westchnęła, zagryzając wargi.

Drżącą ręką zaciągnęła hamulec ręczny i wysiadła z auta. Uderzył ją powiew ciepłego wiatru. Na opustoszałym uniwersyteckim parkingu stały tylko dwa samochody. Juke miał wyraźnie wgniecione boczne drzwi, wokół wgłębienia widać było ubytki lakieru, który został na tylnym zderzaku granatowego golfa. Spojrzała na zegarek. Za dwadzieścia minut powinna być na drugim końcu miasta. Wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną i fioletową szminką napisała na niej swój numer telefonu. Miała nadzieję, że odbiorca dobrze odczyta jej intencje i nie uzna jej za zbiega, który uciekł z miejsca wypadku. Wiadomość wcisnęła za wycieraczkę nissana i ruszyła z impetem.

Niebdałe zaparkowała przed obdrapaną kamienicą. Stłuczony tylny reflektor mienił się w październikowym słońcu. Czerwone pasma na zderzaku jak blizny na cienkiej skórze przypominały o stłuczce. Odpaliła papierosa i zachłannie zaciągnęła się dymem, jednak spojrzawszy na zegarek, szybko rzuciła papierosa obok kosza na śmieci. Obciągnęła krótką spódniczkę w pepitkę i poprawiła kołnierz czarnej ramoneski.

– Tu się nie śmieci – warknął za jej plecami męski głos.

– Przepraszam, nie trafiłam do kosza – odpowiedziała tonem, w którym pobrzmiwała skrucha. Skarciła się w myślach za tę słabość.

– Pierdolenie. Celowo, głupia szmato, wywaliłaś tego peta przed moim nosem. – Facet w brudnych czarnych spodniach dresowych, ślaniając się na nogach, podszedł w jej stronę.

– Proszę się odsunąć. – Wyciągnęła przed siebie rękę, jakby chciała w ten sposób się obronić.

– Bo co? Myślisz, że możesz mi rozkazywać, paniusiu?

Poczula smród alkoholu. Dobrze знаła ten zapach.

– Nie podchodź, powiedziałam – wysyczała przez zaciśnięte zęby.

– Będę robił, co będę chciał. Ale masz szczęście, że mi się już nie chce z tobą gadać – wybełkotał facet i skręcił w stronę klatki.

Odczekała, aż zniknie w środku, i dopiero potem podeszła.

„Świetna okolica”, pomyślała z przekąsem.

Domofon wciśnięty w szary, luszczący się tynk wyglądał, jakby od dawna nie działał. Bez przekonania wybrała numer 24 i gdy rozległo się zapraszające brzęczenie, pchnęła drzwi. W ciemnej klatce schodowej bez okna unosił się zapach stęchlizny, poszarzałe ściany pomalowano do połowy żółtą farbą olejną, która odchodziła wielkimi płatami. Drzwi na drugim piętrze otworzyła starsza chuda brunetka, ubrana w zmechacony brązowy sweter w serek i czarne spodnie zaprasowane w kant.

– Dzień dobry, Łucja Muzyk. Byłam umówiona w sprawie mieszkania.

– Proszę – powiedziała kobieta, wpuszczając ją do środka.

Malutki przedpokój nie zachęcał do wejścia. Zapach stęchlizny, który już na klatce wgryzał się w nozdrza, w mieszkaniu był jeszcze bardziej intensywny. Stukot obcasów odbił się od ścian wyłożonych

ściemniałą boazerią.

– To ja od razu może pokażę całość. – Brunetka nacisnęła klamkę drzwi z okrągłymi wywietrznikami na dole. Niewielka łazienka wyłożona ciemnozielonymi płytkami w czarne listki, z wąską wanną i piecykiem gazowym wiszącym nad obdrapanym sedesem robiła ponure wrażenie. – I tu jeszcze salon. – Wskazała na pomieszczenie, w którym ustawiono starą wersalkę zakrytą kocem i równie stary telewizor z logo Daewoo. – Kuchnia mała, ale wyposażona we wszystko, co potrzeba – powiedziała, przechodząc do klaustrofobicznej wnęki wielkości spiżarni.

– Ile tu jest łącznie metrów? – zagadnęła Łucja, zatrzymując wzrok na otłuszczonej kuchence gazowej.

– Trzydzieści cztery, ale do dyspozycji wynajmującego jest jeszcze balkon. No i w kuchni jest piec kaflowy, można się dogrzać jesienią, jak spółdzielnia zwleka z włączeniem grzejników. Wystarczy rozpałcić wieczorem i robi się ciepło w try miga.

– Jak to będzie ostatecznie wyglądało finansowo?

– Odstępne tysiąc osiemset plus czynsz pięćset i ogrzewanie z kotłowni rozliczane kwartalnie.

Łucja posłała jej zdziwione spojrzenie.

– W ogłoszeniu nie było mowy o czynszu. Myślałam, że te tysiąc osiemset to już ze wszystkim.

– A co pani? Teraz ceny poszły znacznie w górę. To i tak dobra okazja. – Kobieta poprawiła nerwowo okulary w drucianych oprawkach, które zsunęły się na czubek nosa.

– Tysiąc pięćset plus opłaty?

– Pani droga, ja tu nie jestem po to, żeby prowadzić jakieś bezsensowne negocjacje. – W głosie właścicielki wybrzmiał nauczycielski ton. – I jeszcze kaucja dwa tysiące płatna od razu.

Łucja z impetem zatrasnęła za sobą ciężkie drzwi.

– Chyba ją popieprzyło – mruknęła do siebie, odpalając cienkiego papierosa. – Tyle kasy za taką norę.

„Codzienne spacerowanie wśród pijanych od samego rana patoli gratis”, dodała w myślach. Wsiadła do samochodu, zapięła pasy i przez moment wpatrywała się bezmyślnie w plamy po owadach na szybie. Czerwieniący się poblaskiem światłem zegar na desce rozdzielczej wskazywał trzynastą trzydzieści. Miała dwadzieścia minut, żeby dojechać na kolejne spotkanie. Druga oferta była znacznie atrakcyjniejsza cenowo, ale pokój znajdował się w domu położonym w podolsztyńskiej wsi. Łucja w ogóle nie brała jej pod uwagę, umówiła się awaryjnie, gdyby pierwsze mieszkanie okazało się za drogie lub zbyt obskurne. Jako że spełniło oba te kryteria, musiała wcielić w życie plan B. Niechętnie włączyła lewy kierunkowskaz, zwolniła hamulec ręczny i dodała nieco gazu, pozwalając, by auto powoli wytoczyło się z osiedlowego parkingu.

– Dużą czarną kawę i kanapkę Grand Classic bez cebuli. – Chropowaty głos Łucji wylał się przez uchyloną szybę.

– Proszę sprawdzić na wyświetlaczu, czy zamówienie się zgadza.

– Zgadza się – mruknęła, patrząc przed siebie, i z impetem podjechała do żarzącego się pomarańczowym światłem okienka.

Jażdża powoli, starając się odsunąć od siebie myśli krążące wokół cuchnącego pleśnią pokoju, który właśnie wynajęła. Świerczyny były przedłużeniem Olsztyna. Trasą przez las na wydział miała zaledwie niecałe pięć kilometrów, samochodem nieco więcej, ale i ta odległość była do zaakceptowania. Podobną musiałyby pokonywać, mieszkając choćby na Zatorzu. Dużo bardziej niż oddalenie od miasta martwił ją niski standard niewielkiego wiejskiego domu przerobionego na coś w rodzaju hostelu. Brudna kuchnia ze stołem przykrytym ceratą lepiałą się do dłoni, zimna łazienka z drewnianym oknem i niewielki pokój, w którym postawiono stare łóżko, chwiejące się biurko i szafę z łuszczącą się farbą.

– Siedemset pięćdziesiąt złotych czynszu powinno rozwiać moje wątpliwości – mruknęła do siebie, po czym upiła łyk gorącej kawy.

Uczucie pieczenia wlało się przez przelyk wprost do żołądka. Przymknęła oczy. Wszystko wskazywało na to, że wraca na studia. To napawało ją ekscytacją, która tłumiała natrętne myśli o paskudnej stacji.

Z każdym kolejnym kęsem czuła narastający ból żołądka. W końcu zupełnie straciła apetyt, wyrzuciła połowę bułki do kosza i powoli ruszyła w ciemność. Po wyjeździe z Olsztyna przez chwilę jechała opustoszałymi drogami powiatowymi. Kiedy remontowany odcinek się skończył, z ulgą wjechała na ekspresówkę. Z głośników sączyła się piosenka Never let me go. Aksamitny głos wokalistki Florence and the Machine wypełnił wnętrze auta.

Gdańsk powitał Łucję sznurem lamp kontrastujących z granatowym niebem. Kiedy podjeżdżała pod swój blok na Zaspie, dochodziła już dwudziesta druga. Marzyła tylko o gorącym prysznicu. Jutro czekał ją ostatni dzień w pracy, później szybkie pakowanie i rozstanie z trójmiejskim życiem. Bez żalu zegnała etat na słuchawce w korporacji taksówkarskiej i garstkę weekendowych znajomych, których imiona często myliła po wypiciu kolejnej szklanki supermarketowej whisky z colą zero i plasterkiem cytryny.

Szła szybkim krokiem, mijała kolejne osoby, próbując znaleźć choćby jedną znajomą twarz. Wszyscy jednak wydawali się nie tylko obcy, ale też znacznie młodszy. Włożyła do ust cienkie marlboro, nie zwalniając kroku. Nienawidziła palić, idąc, ale uznała, że stojąc samotnie w palarni, będzie wyglądała dość żałośnie. Jak podstarzała ciotka, która podczas rodzinnej imprezy zagłada nieproszona do pokoju dziecięcego. Poczuli się znacznie starszej, niż wskazywała na to jej metryka.

– Przepraszam, nie wiesz, gdzie jest aula B? – zagadnęła ją łagodnie brunetka o zielonych oczach i wyraźnie zaokrąglonych biodrach. Na oko była niewiele młodsza od niej.

– Jeszcze nie wiem, ale też idę w tamtym kierunku – odpowiedziała Łucja, dyskretnie wypuszczając dym papierosowy kącikiem ust.

– Pożyczysz ogień? – Dziewczyna pośpiesznie wyjęła ze swojej torby paczkę papierosów.

W odpowiedzi podała jej czarną zapalniczkę ze srebrzącym się konturem skrzydeł.

– Rita – przedstawiła się brunetka, wyciągając pulchną dłoń z krótko obciętej, nieumalowanymi paznokciami.

– Łucja. – Odwzajemniła uścisk.

Przez chmury przecisnęły się pierwsze tego dnia promienie słońca, oświetlając ciemne loki, łagodnie spływające Ricie na ramiona.

– Socjologia komunikacji społecznej drugiego stopnia?

– Wszystko na to wskazuje. Z pewnym poślizgiem, ale w końcu postanowiłam postarać się o tytuł magistra. – Łucja rzuciła peta na nierówny chodnik, ignorując zdziwione spojrzenie koleżanki. – Chyba trochę zawyżymy średnią wieku – dodała, siląc się na żartobliwy ton.

– A ile masz lat?

– Dwadzieścia osiem.

– A, to ja tylko dwadzieścia siedem – odpowiedziała Rita ze zgryźliwym uśmiechem.

– Punkt dla ciebie – odparła Łucja. – Rok w tym przypadku robi ogromną różnicę. Ale w sumie kto by tam przywiązywał wagę do cyferek – roześmiała się sztucznie, odgarniając do tyłu rude włosy.

Weszły przez duże oszklone drzwi. W budynku było głośno, grupki roześmianych studentów generowały sporo hałasu, od którego zdążyła już odwyknąć.

– To może kawa na dobry początek? – zagadnęła, zatrzymując wzrok na automacie.

– Niech będzie.

Przez chwilę stały w milczeniu, sącząc rozwodniony napój o smaku kawy i przyglądając się mijającym je twarzom bez tożsamości. Rita z przejęciem wpatrywała się w anonimowy tłum, jakby liczyła, że wyłowi z niego znajomego. Łucja nie potrzebowała nowych ani starych znajomości. Ludzie już dawno przestali zajmować w jej życiu ważne miejsce. Kontakty towarzyskie ograniczała do picia wina i przygodnego seksu.



Głębsze relacje nie były jej potrzebne, a kilka słów zamienionych z Ritą spełniło kryteria studenckiej integracji. Będzie miała od kogo kserować notatki. Tyle jej wystarczyło.

– Chyba zaraz zaczyna się filozofia z Raczkowskim, więc może poszukajmy auli – mruknęła Rita, spoglądając nerwowo na wyświetlacz telefonu.

– Ja jeszcze skoczę zapalić i zaraz dołączę.

– Spóźnisz się.

– Po coś wymyślono ten słynny studencki kwadrans. – Machnęła paczką papierosów. – Idziesz? – zapytała z grzeczności.

– Matka wytresowała mnie na przesadnie punktualną, więc chyba sobie daruję.

– Ja wychowywałam się bez matki, więc może dlatego zawsze się spóźniam.

Zapadła kłopotliwa cisza.

Zza dwupłatowych drzwi w okleinie imitującej drewno dochodził do niej męski głos. Łucja spojrzała na zegarek i przez chwilę pożałowała, że zamiast jednego papierosa wypaliła dwa. Wykład trwał od siedemnastu minut. Wyjęła z torebki piżmowe perfumy i rozpyliła mdłą zapach w okolicach szyi, dopiero potem delikatnie nacisnęła klamkę. W dużej sali panował półmrok, jedynym źródłem światła był bladoniebieski ekran. Na białym tle czarne duże litery układały się w pytanie: „Co istnieje?”. Łucja przemknęła chyłkiem ku ostatniemu rzędowi, by zająć miejsce, gdy w pół kroku zatrzymał ją głos.

– Cóż skłoniło panią, żeby jednak do nas łaskawie dołączyć?

Odwróciła się. Przy biurku siedział około czterdziestoletni mężczyzna z włosami opadającymi na ramiona i w dużych okrągłych okularach.

– Od początku miałam taki zamiar, po prostu się zgubiłam. Jeszcze nie do końca poznałam rozkład sal – odpowiedziała, zapadając się w obity welurem głęboki fotel.

– „Zgubiłam”. Po co od razu tak mocno i drastycznie? Poznawanie innych dróg niekoniecznie musi być zgubieniem, a jedynie formą eksplorowania nowego. – Zabrzmiało to jak frazes wyczytany w młodzieżowej prasie w rubryce opatrzonej pstrokatym nagłówkiem „Psychologia”. – Proszę w takim razie zająć miejsce. Dzisiejszy wykład jest wprowadzający, wiele zatem pani nie straciła, ale na przyszłość zalecam punktualność, bo filozofia to sztuka, która przenika genezę życia i umysłu, szkoda więc byłoby stracić choćby jeden element, który może przybliżyć do postawienia właściwych pytań. Dlaczego mówię o pytaniach, a nie odpowiedziach? Ano właśnie, dlatego że o pytania...

Tubalny głos odbijał się od ścian, ale do niej przestał już docierać sens słów wydobywających się z rozmieszczonych w kątach sali głośników. Wpatrywała się w czubki głów wystających znad oparcí. Przez chwilę zastanawiała się, kim są ludzie siedzący przed nią, z którymi będzie spędzała każdy dzień przez najbliższe kilka miesięcy, ale szybko uznała, że kompletnie nie ma to dla niej znaczenia. Czas zapętlął się w rytm kolejnych zdań. Ciemność, powtarzalne dźwięki i ciepło sprawiły, że poczuła się osaczona. Zrobiło jej się duszno i zapragnęła jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz.

– Dziękuję. Do następnego razu, drodzy państwo – rozległo się w końcu, przynosząc jej ulgę.

Ostre pomarańczowe światło jarzeniówek rozświetliło pomieszczenie. Studenci zaczęli wstawać ze swoich miejsc. Wysoki blondyn o niebieskich oczach, siedzący trzy rzędy niżej, krzyknął, nie zważając na stojącego przy drzwiach wykładowcę:

– Hej, ludzie! Olewamy kolejny wykład, bo to jakiś nędzny fakultet, i idziemy na integracyjne piwo w plenerze. Za dziesięć minut widzimy się przy szatni!

– Idziesz? – zagadnęła ją wesoło Rita, zarzucając czarną torbę na ramię.

– Nie lubię takich spędów.

– Szkoda. Zawsze można kogoś poznać, nawiązać jakieś kontakty.

Łucja nie miała ochoty nikogo poznawać.

- Dużą americanę i sernik – powiedziała, wyjmując z portfela kartę płatniczą.

- Sernik jest z dodatkiem pistacji. Nie będzie to pani przeszkadzało? – zapytała blondynka w fartuchu z dużymi kieszeniami.

Nienawidziła pistacji.

- O nie, w takim razie poproszę coś innego.

- Może drożdżówka z jabłkiem?

- Niech będzie.

- Dwadzieścia cztery złote. Proszę zająć miejsce, podam do stolika.

W bibliotecznym bufecie było pusto. Jej znajomi z roku właśnie integrowali się przy piwie, inni poszli na fakultet z pozyskiwania środków finansowych na działalność publiczną. Nie chciała być częścią żadnej z tych grup, zajęła więc miejsce przy dużym oknie. Po chwili blondynka przyniosła kawę i słodką bułkę. Przy pierwszym kęsie Łucja wyczuła wyraźną nutę cynamonu. Wzdrygnęła się. Dobrze знаła ten smak. Przymknęła oczy.

Deszcz rytmicznie stukał o parapet. Po kuchni krzątała się kobieta, smukła blondynka. Przy stole siedział mężczyzna i bez słowa jadł zupę ogórkową. Obok pięcioletnia dziewczynka mieszała łyżką w talerzu z ryżem na mleku z dodatkiem cynamonu.

- *Królewiczu, nie słuchaj, co ci szepczą do ucha. Każda mówi, że jest królową* – nuciła nieśmiało. Słodki smak cukru z cynamonem osadzał się na ściankach dziecięcego gardła.

- Mówiłam ci, że nie śpiewa się przy jedzeniu. Poza tym tata jest zmęczony. Musi odpocząć.

- Ale, mamuś, dzisiaj w przedszkolu pani nas nauczyła. Chciałam tacie zaśpiewać.

- Innym razem. – Głos matki był chłodny.

Mężczyzna poruszył się niespokojnie.

- Mamuś, chociaż jedną zwrotkę. Proszę.

- Dość. Powiedziałam, że innym razem.

- Ten palant uważa się za kogoś lepszego. – Mężczyzna rzucił słowa w przestrzeń, patrząc wprost przed siebie na ścianę. – Pomiata mną.

- Niepotrzebnie bierzesz do siebie to, co on mówi, skarbie. – Kobieta zwróciła się do męża znacznie łagodniej niż do córki. Podstawiła pod kran wielki żeliwny garnek i oplukała go z resztek zupy.

- Nie rozumiesz. Traktuje mnie jak gówno, jak człowieka drugiej kategorii!

- Potrzebujemy tej pensji – odparła cicho, zakręcając wodę.

- Tatku, to może stanę na krześle, będę wtedy duża jak prawdziwa śpiewaczka.

- Siadaj! Co ty wyprawiasz?! – Matka rzuciła garnek do zlewu i podbiegła do niej, sadzając ją siłą na krześle.

- Uspokój się, przecież tylko się bawi – rzucił chłodno ojciec i spojrzał z czułością na córkę. – Kochanie, pięknie ci to wychodzi, ale dopiero po obiedzie zrobimy prawdziwy koncert, a teraz jedz. Dobrze?

Kobieta przewróciła oczami.

- Na wszystko jej pozwalasz.

- Nie będę dawał sobą pomiatać jakiemuś zasranemu spaślakowi – odpowiedział twardo, jakby w ogóle jej nie usłyszał.

- Wytrzymaj chociaż jeszcze miesiąc. Żeby chociaż na opłaty było. Później może krowę się sprzeda.

- Nie. – Zacisnął palce na szklance z kompotem.

- Nie będziemy mieli z czego żyć.

- Zamknij się – warknął przez zaciśnięte zęby.

Palce mu zbiały. Po chwili cieniutkie szkło pękło. Odłamki mieniły się odcieniami czerwieni.

Dźwięk alarmu gwałtownie wdarł się do jakiegoś mało znaczącego snu, o którym natychmiast zapomniała. Okryła się szczelnie cienkim kocem. W pokoju panowało przenikliwe zimno, wzmagane wilgocią. Przez chwilę zamarzyła o tym, by wrócić do ciepłej gdańskiej kawalerki, wypić kawę na Szerokiej, powłóczyć się po gwarnej starówce. Zaraz później przypomniawszy sobie odbieranie setek telefonów, krzyki klientów, obelgi szefa i odliczanie każdej złotówki do pierwszego.

– Skończę te studia, choćbym miała tu spleśnieć – mruknęła, sięgając po szlafrok, i powlokła się do lodowatej łazienki. Dom wydawał się opustoszały, chociaż wiedziała, że dwa pokoje na piętrze zajmują inni lokatorzy. Słyszała, jak wieczorem imprezowali. Męskie głosy przedzierały się przez sufit, ale nie miała pojęcia, do kogo należą. Nie interesowało jej, z kim mieszka pod jednym dachem, dopóki tamci splukiwali po sobie wodę w sedesie. Wzięła szybki prysznic, upięła włosy w luźny koczek, z którego wypadały pojedyncze rude pasma, włożyła długą czarną sukienkę, podkreślającą figurę, a na to ramoneskę, po czym wyszła z domu. Obok stała znacznie bardziej okazała willa należąca do tych samych właścicieli. Wsiadła do auta i przekręciła kluczyk. Silnik zatrzeszczał przez chwilę, po czym zgasł. Najwyraźniej nocny przymrozek dobił już i tak wysłużony akumulator.

– Cholera – mruknęła, wysiadając z golfa. Zapaliła papierosa, przymknęła oczy i próbowała uspokoić skołatane nerwy.

– Dzień dobry. – Do jej świadomości bez ostrzeżenia wdarł się damski głos.

Otworzyła oczy. Pod willą z wielkimi oknami stała blondynka z włosami do ucha i wyraźnie zaokrąglonym brzuszkiem.

– Nie taki dobry, kiedy auto odmawia posłuszeństwa – odburknęła, kopiąc ostentacyjnie w oponę.

– Nie odpala? – zagadnęła kobieta, klikając przycisk na czarnym pilocie. Drzwi garażowe otworzyły się z lekkim chrzęstem.

– Chyba mój samochód nie był przygotowany na to, że w październiku temperatura spadnie poniżej zera.

– Akumulatora nie reanimuję, ale mogę panią gdzieś podrzucić.

Wydawała się znacznie młodsza od męża, który kilka dni wcześniej przedstawił Łucji ofertę wynajmu i prezentował pokój. I zdecydowanie bardziej sympatyczna. Dziewczyna spojrzała na zegarek. Pierwsze były ćwiczenia z socjologii zmiany społecznej. Nie powinna się spóźnić.

– Chętnie skorzystam, gdyby jechała pani w kierunku wydziału humanistycznego.

– Samochodem zawsze jest po drodze – uśmiechnęła się łagodnie kobieta.

Łucja zaciągnęła się kilka razy łąpczywie dymem papierosowym, nie odrywając ust od filtra, po czym rzuciła peta na chodnik.

W środku białego bmw pachniało konwaliami, kremowe skórzane fotele lśniły czystością. Ostrożnie zapięła pasy. Z zawstydzeniem pomyślała o tym, że włosy zdążyły już jej pewnie przesiąknąć smrodem nikotyny.

„W dupie z tym, sama chciała mnie podrzucić”, przekonywała siebie w myślach.

– Co studiujesz? – zagadnęła kobieta, płynnie wymijając rowerzystę.

– Socjologię komunikacji społecznej – odpowiedziała Łucja beznamiętnym tonem. Nienawidziła takich kurtuazyjnych rozmów.

– Magisterka?

– Tak, chcę zrobić w końcu dyplom, bo miałam kilka lat przerwy.

– Słuszna decyzja. Papier zawsze się przyda. Ja miałam w tym roku robić podyplomówkę z neurologopedii, ale muszę odpoczywać. – Kobieta jedną rękę opuściła ostentacyjnie na brzuch.

Łucja nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, więc szybko zmieniła temat.

– Właściwie to muszę też poszukać pracy. Z czegoś trzeba żyć – zaśmiała się sztucznie.

– A co chciałabyś robić?

- Coś, za co w miarę dobrze płacą i co nie będzie kolidowało ze studiami. Nie jestem wybredna.
- U nas w świetlicy terapeutycznej poszukują animatora. Pewnie nie zarobisz kokosów, ale na pewno uda się dogadać co do godzin pracy, bo działają tam od ósmej do dwudziestej.
- Jechały szybko, bo droga przecinająca las była zupełnie pusta.
- U nas? To znaczy w Świerczynach?
- Tak. Fajna prywatna placówka. Jak pewnie zauważyłaś, Świerczyny to specyficzna wieś, gdzie obok młodych olsztynian, którzy wracają do swoich eleganckich domów tylko po to, żeby się wyspać, mieszka też sporo lokalsów z dziada pradziada. Często starych i niedołącznych.
- Stać ich na prywatną świetlicę?
- Ich nie, ale ich dzieci owszem. Zresztą na tych, których nie stać, świetlica zwykle dostaje jakieś dotacje. Dużo podopiecznych dowozi też świetlicowy bus z Olsztyna. Nie orientuję się dokładnie, jak to działa, ale wiem, że działa. Moja znajoma jest tam dyrektorką. Jeśli chcesz, umówię was na spotkanie.
- Nie lubiła starych ludzi. Ich zapachu, smutku i kruchości. Budzili w niej niezidentyfikowaną tęsknotę. Może za dziadkami, których nigdy nie poznała. Po chwili pomyślała o tym, że pracując tuż obok stacji, zaoszczędzi na dojazdach. To była kusząca perspektywa.
- Byłoby świetnie – powiedziała, zaskoczona tym, że tak szybko się zdecydowała.
- W takim razie zostaw mi swój numer. A tak w ogóle jestem Monika. – Bładoróżowe usta wykrzywiły się w uśmiechu.
- Łucja. Albo Luśka, obojętnie.
- Świetnie. W takim razie wyjmij, proszę, ze schowka notes i długopis. Mam nadzieję, że uda ci się znaleźć jakąś wolną stronę – zaśmiała się pod nosem Monika.

Wykład z technik negocjacji i mediacji skończył się dziesięć minut po siedemnastej. Podstarzały profesor z głębokimi zakolami wyrzucał z siebie potwornie nudne zdania, które brzmiały jak kompilacja cytatów z wysłużonego podręcznika leżącego na jego biurku. Nie sprawdzał obecności, więc Łucja już wiedziała, że to był pierwszy i ostatni raz, kiedy wybrała się na te zajęcia. Wyszła z gmachu uczelni, czując ssący nikotynowy głód. Uderzenie chłodnego powietrza w pulsującą ze zmęczenia twarz było przyjemne jak łyk zimnej wody w upalny dzień. Na poszarzałym niebie pokazały się pierwsze gwiazdy. Odpaliła papierosa, pośpiesznie zbiegając po betonowych schodach. Chciała wrócić do pokoju przed zmrokiem. Wstukała adres Świerczyny 14 w Mapach Google'a. Aplikacja przeliczyła trasę. Cztery i pół kilometra przez las. Łucja zasunęła suwak, ale chłód i wilgoć i tak wdarły się pod skórzaną kurtkę. Przed posępnymi akademikami było zupełnie pusto, jakby ruch w miasteczku studenckim całkiem ustał. Jedyne żarzące się pomarańczowym światłem okna zdradzały, że w środku tli się jakieś życie. Skręciła w wąską uliczkę, wzdłuż której ciągnęły się szeregowe domy. Przed jednymi młodzi ludzie z butelkami piwa w rękach palili papierosy, przed innymi stały dziecięce wózki – najwyraźniej życie rodzinne mieszało się tu ze studenckim. Niebo ciemniało. Łucja szła coraz szybciej. Do pokonania zostało jej dwa i pół kilometra. Wąska asfaltowa uliczka, pełna zabudowań, nagle zmieniła się w szutrówkę. Domy się przerzedziły. Na horyzoncie malował się zarys drzew. Już tylko dwa kilometry. Poszarzałe niebo coraz bardziej zaślaniała smuga czerni. Łucja zawahała się. Wiedziała, że szybkim krokiem jest w stanie pokonać tę trasę w ciągu piętnastu minut. Powinna zdążyć, zanim zrobi się całkiem ciemno, a jednak czuła jakiś opór przed wejściem do lasu. Zaśmiała się głośno, jakby chciała w ten sposób rozładować napięcie. Nie bała się. Nie ona. Nie po tym wszystkim, z czym mierzyła się w dzieciństwie. Zaciągnęła się wilgotnym powietrzem. Poczwała zapach mokrej ziemi pomieszany z wonią gnijących liści. Niebo schowało się za nagimi koronami drzew. Zrobiło się znacznie ciemniej, ale nie na tyle, żeby musiała włączyć latarkę w telefonie. Szła szybko, wpatrując się w wyświetlacz. Kiedy minął ją rowerzysta w kasku, a później starszy mężczyzna z yorkiem na smyczy, odetchnęła. Najwyraźniej droga przez las była trasą wybieraną częściej, niż przypuszczała.

Zwolniła, sięgając po papierosa. Kiedy skończyła palić, spojrzała na ekran telefonu. Według aplikacji stała w miejscu, mimo że cały czas poruszała się w miarowym tempie.

– Kurwa – zakląła, dostrzegając szarą ikonkę informującą o braku zasięgu.

Kiedy po kilkunastu metrach doszła do rozwidlenia, telefon nadal był poza siecią. Instynktownie skręciła w prawo, chociaż nie miała pojęcia, dokąd poprowadzi ją ta droga. Zrobiło się już całkiem ciemno. Przyspieszyła, prawie biegła. Las szeleścił złowrogo. Nagle usłyszała przesywający krzyk.

– Pomocy! Błagam, pomocy! – Kobięcy głos zdawał się dobiegać z lewej strony. – Proszę, nie! – Zabrzmiało całkiem blisko, zaledwie kilkadziesiąt metrów od Łucji. – Błagam, niech mi ktoś pomoże! – Dosłownie tuż obok, kilka kroków.

Między smolistymi krzakami dostrzegła zarys sylwetki. Zastygła w bezruchu. Wstrzymała oddech. Nie miała siły poruszyć żadnym mięśniem. Zamknęła oczy, jakby liczyła na to, że zaraz przeniesie się w zupełnie inne miejsce i nic się nie stanie.

Pobrzękiwanie kubków z arkorocu przebijało się przez niedomknięte drzwi kuchni. Dziecięce stopy bezszelestnie sunęły po schodach. Dziewczynka przygłnęła do ściany. Lubiła podsłuchiwać rozmowy dorosłych. Miała wtedy wrażenie, że staje się częścią niedostępnego dla niej świata, bardziej atrakcyjnego.

– Ja tak dłużej nie mogę. Nie mogę. – Głos matki wydawał się nienaturalnie wysoki.

– Masz tu gdzieś popielniczkę? – Dzięki charakterystycznej chrypie ciotki Teresy nie dało się pomylić z nikim innym.

– Nie kocham jej, nie kocham! Może nawet chwilami nienawidzę. Od początku mówiłam, że nie chcę dzieci. Ale on nigdy nie słuchał. A teraz wszystko na mnie spada! – Matka aż się zachłysnęła powietrzem.

– Dzieci nie są od tego, żeby je kochać. One po prostu są. Za dużo się nad tym zastanawiasz.

– Wszystko mi zabrała. Wszystko! Nawet jego uwagę. Wiesz, że potrafi mi przyłożyć, i to nie raz, nie dwa. A przy niej nawet głosu nie mogę podnieść, jak mi puszcza nerwy, gdy coś wyleje albo rozrzuci, bo on zaraz patrzy tym swoim karcącym wzrokiem.

– Dajże spokój – zachnęła się ciotka. – Duża już jest, wszystko przy sobie sama robi. Idź do jakiejś roboty, to ci głupoty z głowy uleczą.

– Nie rozumiesz – westchnęła matka. – Ja jej nie chcę! Nie chcę, żeby tu była, mieszkała z nami. Chciałabym, żeby nigdy się nie urodziła, żeby zniknęła!

– Co ty gadasz, przecież to twój dzieciak, krew z twojej krwi. Wy to z moim bratem po jednych pieniądzech jesteście. Tamten narwaniec, a ciebie też już na głowę rypie chyba z tego nieróbstwa.

Dziewczynka oderwała plecy od zimnej ściany. Nie do końca rozumiała, o kim rozmawiają. Przecież nie o niej, to niemożliwe. Mamusia była najukochańsza na świecie, na pewno nie mówiła o niej. A jednak przez chwilę zacisnęła kurczowo powieki i próbowała zniknąć.

Kobięcy krzyk nagle się urwał, zastąpiony przez ogłuszający pisk w uszach. Klatka piersiowa bolała, jakby ktoś zaciskał wokół niej gruby sznur. Łucja wzięła dwa głębokie oddechy. Atak paniki powoli ustępował. Las pomrukiwał złowrogo. Przez chwilę nasłuchiwała, bojąc się poruszyć choćby o centymetr. Przez szelest liści nie przebijał się już żaden głos. Postać zniknęła. Łucja włączyła latarkę w telefonie i zaczęła biec na oślep przed siebie. Nie była pewna, czy błędziła tak godzinę, czy kilka minut. Kluczyła nerwowo między drzewami, szukając wyjścia. Wszystko wokół pochłonęła bezkresna czerni, aż w końcu pomiędzy gałęziami dostrzegła pomarańczowe błyski. Co jakiś czas słyszała miarowy świst – gdzieś niedaleko musiała być droga. Czerwona dioda w telefonie poinformowała o nowych powiadomieniach – znów była połączona z siecią komórkową. Wyszła na wąskie pobocze ciągnące się wzdłuż asfaltu. Według aplikacji do Świerczyn pozostał zaledwie niecały kilometr. Szła szybko, nie oglądając się za siebie. Odetchnęła dopiero, kiedy otworzyła drzwi z małą prostokątną szybą na środku i usłyszała muzykę dudniącą na piętrze. Gdy

weszła do pokoju, od razu padła na łóżko, nie zdejmując kurtki ani butów. W jej głowie zapętała się kobiecy krzyk. Próbowwała wmówić sobie, że to tylko urojenie. A zresztą nawet jeśli ktoś rzeczywiście potrzebował pomocy, to przecież nie była jej sprawa. Nie miała zamiaru przejmować się losem jakiejś anonimowej kobiety. Podobnie jak nikt nigdy nie przejmował się jej losem. Ukryła twarz w poduszce i zasnęła płytkim snem. Pod powiekami tliło się światło, które sprawiało, że mózg był w trybie czuwania, a jednak w głowie nie kołatała żadna myśl.

– Mój kumpel z branży jest mechanikiem. Znaczą takim, wiesz, mechanikiem pasjonatem po godzinach. Jak chcesz, to podjedź do ciebie i sprawdzi, czy auto da się jeszcze reanimować – zaproponowała Rita, kiedy następnego ranka paliły papierosy skulone pod niewielkim daszkiem przed wydziałem. Z burego nieba spływały strugi deszczu.

– Pracujesz w warsztacie samochodowym? – zaśmiała się Łucja.

– Przecież mówię, że po godzinach.

– Więc gdzie właściwie pracujesz? – zapytała, udając zainteresowanie.

– W policji – odpowiedziała cicho dziewczyna.

Łucja zmarszczyła czoło, odgarniając rude kosmyki włosów.

– Serio? Ale fajnie. Przynajmniej nie nudzisz się w robocie i nie martwisz o to, czy ci przeleją wypłatę.

– Właściwie to niedawno zaczęłam. Jestem zwykłym krawężnikiem, więc z tym nudzeniem się to różnie bywa.

– Po co ci w takim razie te studia?

– Dzisiaj pracuję tu, jutro tam. Różnie to bywa – ucięła Rita i zmieniła temat: – To jak z tym autem?

– Jeśli tylko nie będzie chciał za to milionów, chętnie skorzystam.

Kiedy kilka godzin później wysiadła z taksówki, w powietrzu unosił się zapach wilgoci. Deszcz przeszedł w drobną mżawkę, która spływała po dachach, szybach i drzewach. Można było odnieść wrażenie, że świat opuchł od nadmiaru wody.

– Reszta! – krzyknął za nią taksówkarz.

– Nie trzeba – odpowiedziała, trzaskając drzwiami.

„Udław się tymi pięcioma złotymi, zdzierco”, pomyślała z irytacją. Łysy kierowca schował pięćdziesięciozłotowy banknot do skórzanej saszetki i odjechał. Przy bramce zmoknięty bernardyn poszczekiwał donośnie. Nacisnęła niepewnie klamkę. Pies czekał coraz bardziej zawzięcie.

– Proszę się nie bać. On tylko tak się zgrywa. – Usłyszała za plecami męski głos.

Odwróciła się. Wysoki blondyn z jasną brodą, połyskującą rudymi refleksami, ten sam, który wynajął jej pokój, stał w przemokniętej kurtce i ścisnął w rękach słoik nutelli. Powoli weszła do środka. Pies powąchał ją i skoczył radośnie na właściciela.

– Karl, spokój. Zachcianki twojej mamy mnie wykończą. Więcej nie dam się nabrać na to słodkie „ale prawie nie pada, kochanie”. – Położył dłoń na pysku psa, który za wszelką cenę próbował go polizać.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, natychmiast zdjęła mokre ubrania. W domu było zimniej niż zwykle. Poszła do łazienki, odkręciła gorącą wodę i zanurzyła w niej ręce. Poczowała przyjemne ciarki rozchodzące się po całym ciele.

Brunet z wyraźnie zaokrąglonym brzuszkiem pochylał się nad otwartą maską granatowego golfa. Jedyнным źródłem światła była mleczna poświata sącząca się z lampy ulicznej. Trzasnął głośno klapą.

– I co? Droga usterka? – zapytała z niepokojem Łucja.

– Nie, to tylko akumulator. Na kablach odpalił ładnie. Trzeba wymienić i po sprawie. Dolałem trochę wody destylowanej, może jeszcze miesiąc, góra dwa pochodzi.

- Ile to będzie kosztowało?

- W tego rzęcha nie warto zbyt dużo inwestować. Znajdę ci jakąś używkę powypadkową w dobrym stanie.

- Dzięki. A kiedy... - Zanim zdążyła dokończyć, przerwał jej donośny dźwięk telefonu.

- Muszę odebrać - powiedział, wycierając ręce w tylne kieszenie spodni. Odszedł kilka kroków, ale i tak wyraźnie dało się słyszeć każde wypowiedziane słowo.

- Trup? Kurwa mać. Zaraz będę. - Schował pośpiesznie aparat do zielonej bomberki i spojrzał w stronę Lucji. - Jutro się odezwę. Pilne wezwanie z pracy.

- Coś się stało?

- Jak się pracuje w śledczych, to zawsze coś się dzieje - zaśmiał się ochryple, wkładając sobie do ust listek miętowej gumy. - Szczęście w nieszczęściu, że to niedaleko stąd.

Poczuła pot na karku, mimo że temperatura oscylowała w okolicach zera.

- Niedaleko stąd? - powtórzyła. - Nie strasz, bo będę się bała wracać na skróty z uczelni.

- No lepiej, żebyś na razie nie wracała - mruknął, żując ostentacyjnie gumę. - Mamy jakiegoś trupa w lesie Gronickim.

- Gdzie dokładnie? - zapytała nerwowo.

- Nie wiem jeszcze, a nawet gdybym wiedział, to i tak nie mógłbym ci powiedzieć. To cześć. Jesteśmy w kontakcie - rzucił, po czym wsiadł do niebieskiej astry i odjechał.

Lucja bezmyślnie wgapiła się w punkt, w którym przed chwilą stał jego samochód.

„Pomocy!” - w jej głowie znów zabrzmiał tamten krzyk.

Pośpiesznie weszła do domu, wyjęła piwo pszeniczne z lodówki i odpaliła Tindera. Potrzebowała odrobiny bezmyślnego relaksu, odskoczni. Kompulsywnie przewijała kolejne zdjęcia. Blondyn w okularach, brunet z brodą, rudzielec z wyraźnymi zakolami. Nikt nie przykuł jej uwagi. Znowu brunet, tym razem bez brody, okularnik z brązowymi kędziorkami opadającymi na czoło, blondyn z blizną na podbródku. Kciuk znieruchomiał. Miał w sobie coś interesującego. Błysk w oczach, jakiś spokój. Miała wrażenie, jakby znała go od lat. Przesunęła palec w prawo. Po chwili dźwięk nadchodzącej wiadomości poniósł się po pokoju.

Przywarła do ciepłego torsu. Szorstkie dłonie ścisnęły jej piersi, brzuch, pośladki. Położył ją ostrożnie na zarwanej w kilku miejscach sztruksowej kanapie, zdecydowanym gestem rozchylił uda, wsuwając język w jej usta. Kilka powolnych ruchów, kilkanaście szybkich. Jęknęła przeciągle, zaciskając palce na jego ramionach.

- Jak masz na imię? - zagadnął, kiedy kilka minut później leżała obok niego naga z zapalonym papierosem.

Nie odpowiedziała.

- Bo raczej nie Louise? - Nie dawał za wygraną. Blond kosmyki opadały mu luźno na dość wysokie czoło. Chude, blade ciało srebrzyło się w wąłym świetle lampy.

- Co za różnica? - ucięła, wypuszczając z ust chmurę dymu.

- Ja jestem Wojtek - powiedział, wpatrując się w nią badawczo.

- Fajnie - odparła. Zgaśliła papierosa w kryształowej popielniczce, wciągnęła pośpiesznie koronkowe majtki, czarne legginsy i rozciągnięty T-shirt.

- Idziesz już?

- No chyba wszystko już załatwiliśmy - odparła ze śmiechem.

- Myślałem, że może coś zjemy. Albo obejrzymy.

- Daj spokój, to akurat można robić solo. - Zrzuciła niedbale ramoneskę na ramiona.

- Zobaczymy się jeszcze? - krzyknął za nią, ale odpowiedziała mu jedynie trzaśnięciem drzwi.

Miała swoje zasady. Nigdy nie umawiała się na seks dwa razy z tym samym facetem. Nie tworzyła relacji. Zawsze wyglądało tak samo: całusy, trochę zabawy, potem szybkie rżnięcie, to wszystko. Wsiadła do zimnego auta, modłać się bezgłośnie, żeby odpaliło. Przekręciła kluczyk. Silnik chrząknął przeciągle. Zagryzła wargi. Spróbowała ponownie. Tym razem pod maską rozległ się głośny warkot, który po chwili przeszedł w miarowe terkotanie. Odetchnęła. Na szybko pojawiły się grube krople deszczu.

Powietrze przesiąknięte było wodą. Padający od kilku dni deszcz przenikał wszystko na wskroś. Sześciolatka niepewnym krokiem weszła do zimnej kaplicy.

- Nie patrz. - Ciotka Teresa chwyciła ją mocno za ramię, ale ona wyszarpnęła się z uścisku i spojrzała prosto na matkę. Nie, to nie była ona, tylko jakaś obca kobieta. Zamknięte powieki, woskowa skóra i za duża czarna garsonka. W kaplicy unosił się mdlący zapach gerber.

- Gdzie jest mama? Gdzie jest mama? - pytała dziewczynka, zanosząc się płaczem. - Gdzie ona jest? - chrypiała coraz głośniejsze.

- Uspokój się! - Ciotka złapała ją w pasie, ale i tak się wyrwała. Wybiegła z kaplicy, krzycząc rozpaczliwie:

- Mamo! Mamo! Wstań, proszę! - Pociągnęła za rude loki, wrywając sobie pukiel włosów.

Po chwili poczuła zapach wody kolońskiej zmieszany z odorem alkoholu. Przyłgnęła do ojca. W jego ramionach była bezpieczna. Zamknęła oczy i próbowała wyobrazić sobie, że wszystko jest w porządku. Że zaraz wrócą do domu, w którym będzie na nich czekała zupa ogórkowa i ryż na mleku.

Powoli nacisnęła klamkę. Damski matowy głos wibrował w przestrzeni auli. Przywarła do fotela tuż obok drzwi.

- Zmiana społeczna może być ewolucją, rewolucją, a także modernizacją. - Słowa miarowo wybrzmiewały z wiszącego tuż przy wejściu głośnika.

Przymknęła oczy, próbując skupić się na treści wykładu, i poczuła na sobie czyjś wzrok. Pryszczaty blondyn siedzący dwa miejsca dalej wpatrywał się w nią uparcie. Nie odwrócił się nawet, kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały.

- Może skoczysz z nami na browarka? - zagadnął kilkadziesiąt minut później w palarni.

- Nie, dzięki. Przyjechałam autem. Muszę korzystać, póki jeszcze zipie.

- Damian coś zaradził? - wtrąciła się do rozmowy Rita, odpalając cienkiego papierosa.

- Powiedzmy. Ale to raczej tymczasowe rozwiązanie. Docelowo ma poszukać jakiegoś używanego akumulatora w rozsądnej cenie.

- Słuchaj, jakby trzeba było cię gdzieś podrzucić, to służę. - Chłopak wykonał gest, jakby chciał poklepać ją po ramieniu.

Odsunęła się bez słowa.

- Raczej w najbliższych dniach nie będzie miał czasu. Ma niezły syf w pracy - mruknęła Rita, wbijając wzrok w buty.

- Przepraszam, mógłbyś nas na chwilę zostawić? - Łucja zwróciła się do blondyna, a ten zrobił urażoną minę.

- Jasne, nie będę się narzucał. - Podniósł ręce, jakby chciał zakomunikować, że się poddaje, i odszedł na bok.

- Podobno w lesie obok mnie znaleźli trupa - Łucja przyciszyła głos, odsuwając się nieco od stojącej obok grupki ludzi.

- Nawet niejednego - odpowiedziała szeptem Rita.



Łucja uniosła brwi.

– Możesz powiedzieć coś więcej?

– No właśnie nie bardzo mogę.

– Przecież nikomu nie powiem. Często wracam przez ten las, więc... wolałabym wiedzieć, co za lichy w nim siedzi.

Rita przygryzła wargi.

– No to lepiej tamtędy na razie nie wracaj – westchnęła ciężko i rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt ich nie słyszy. – No dobra, ale nie wiesz tego ode mnie. Najpierw dostaliśmy zgłoszenie o odnalezieniu zwłok mężczyzny. Najpewniej bezdomnego.

Poczuła, jak ktoś z jej piersi zdejmuje ciężar. Z ulgą odpaliła drugiego papierosa.

– Kto napada bezdomnego? – Wzruszyła ramionami. – Może się zapił?

– Ugodzony nożem. Ale to akurat często się zdarza. Wiesz, w tym środowisku wystarczy kłótnia o alkohol albo metę do przenocowania i dramat gotowy.

– No tak.

– Przy okazji czynności przeszukano okolicę. – Rita zerknęła w stronę grupki palaczy, która właśnie zmierzała w stronę wejścia na wydział. – I chłopaki znalazły kolejnego denata. Tym razem kobietę.

Ucisk w klatce piersiowej powrócił ze zdwojoną siłą.

– Ktoś ją udusił – kontynuowała beznamiętnym tonem Rita. – Miała przy sobie portfel i dokumenty, więc nie chodziło o rabunek.

– Została... – Łucji zaschło w ustach – zgwałcona?

Rita pokręciła przecząco głową.

– Wstępna ekspertyza nie wykazała śladów mikrobiologicznych. Nie była też obnażona, więc i ten motyw raczej odpada.

„Pomocy!”

– To jaką macie, do cholery, hipotezę? – zapytała Łucja ze złością, próbując stłumić kobiecy krzyk dudniący w jej głowie.

– Nic nie wiem poza tym, że dziewczyna miała w rękę wetkniętą małą słomianą laleczkę. Taką, wiesz, jakby ręcznie zrobioną. Nie wygląda mi na to, że zginęła przypadkiem. Z takimi rekwizytami zwykle mordują psychopaci. Być może śmierć bezdomnego była jedynie efektem ubocznym śmierci tej kobiety. – Wzruszyła ramionami. – Może widział coś, czego nie powinien.

Łucja poczuła, jak wzdłuż linii pleców przechodzi ją elektryzujący dreszcz.

## ROZDZIAŁ 2

Sygnal nadchodzącej wiadomości wyrwał Łucję z zamyślenia. Niechętnie wyczołgała się spod wełnianego koca i sięgnęła po telefon.

„Spotkanie z dyrektorką świetlicy jutro o 16.00. Pozdrawiam Monia”. Nie miała ochoty iść na tę rozmowę. Nie chciało jej się robić dobrego wrażenia, udawać, że zapach starych ludzi nie wywołuje w niej strachu, ale potrzebowała pieniędzy. Odpisała więc tylko krótkie „OK” i schowała głowę pod poduszkę.

Następnego dnia tuż po zajęciach podjechała pod niewielki budynek z zadbanym ogródkiem, pełnym astrów i rozchodników. Lodowaty wiatr rozrzucił na ramiona jej starannie uczesane włosy. W powietrzu unosił się zapach dymu, roztaczając wokoło aurę nadchodzącej zimy. Łucja poprawiła czarną luźną spódnicę, wystającą spod ramoneski, i powoli weszła po stopniach. W drzwiach przywitała ją rozpromieniona pulchna blondynka około sześćdziesiątki. Czerwone paznokcie, obcięte krótko przy skórze, i nieco przygarbiona sylwetka dziwnie kontrastowały z elegancką granatową garsonką.

– Pani od Moniki? – zagadnęła nieco natarczywie.

– Tak. – Łucja odchrząknęła. – W sprawie pracy.

– W takim razie zapraszam do gabinetu. – Kobieta teatralnym gestem objęła ją za ramię.

Klaustrofobiczne wnętrze wypełniał chemiczny zapach kwiatowej kompozycji odświeżacza powietrza. Dyrektorka zasiadła za biurkiem i położyła na nim dłonie.

– Więc chciałaby pani pracować z naszymi seniorami.

– Tak – odpowiedziała Łucja, zastanawiając się, co mogłaby dodać, żeby dobrze wypaść.

– Praca jest elastyczna. Może pani wypracowywać swoje godziny w dowolnych porach od ósmej do dwudziestej, bo tak działa nasza świetlica. Oczywiście po uprzednim ustaleniu planu, żeby podopieczni wiedzieli z wyprzedzeniem, o której są zajęcia.

– Zajęcia?

– Monika nie wspomniała? Pozyskaliśmy pieniądze z Unii Europejskiej na taki mały projekcik aktywizacyjny. Szukamy więc kogoś, kto poprowadzi zajęcia kulinarne. Jak się pani czuje w kuchennych klimatach? – zaczęła kobieta, wpatrując się w nią wyczekująco.

– Świetnie – skłamała na poczekaniu. – Od dziecka uwielbiam gotować.

– No to elegancko, bo właśnie osób z pasją i empatią nam potrzeba. A skoro Monika panią poleca, na pewno robi to z pełną odpowiedzialnością – westchnęła przesadnie głośno i po krótkiej pauzie dodała: – Wynagrodzenie nie jest zachwycające, ale praca będzie na tyle przyjemna, że z pewnością zrekompensuje pani mizerne warunki finansowe.

Kiedy dziesięć minut później wyszła na zewnątrz, niebo pokryła warstwa ciemnej smoły. Łucja odetchnęła głęboko, otuliła się szczelnie kurtką i zapaliła papierosa. Telefon zawibrował. Na ekranie wyświetlił się nieznany numer. Pomyślała, że dyrektorka zapomniała przekazać jej czegoś istotnego w kwestii pracy, więc pośpiesznie odebrała, jednak w słuchawce wybrzmiał męski głos.

– Dzień dobry, Tomasz Margalski. Jakiś czas temu uderzyła pani w mój samochód na parkingu przed uczelnią.

Poczuła, jak uginają się pod nią nogi.

– W czym mogę pomóc? – zapytała, wstrzymując oddech.

– Właśnie odebrałem auto z serwisu. Na dokumentach z ubezpieczalni potrzebny będzie pani podpis.

Bezgłośnie wypuściła z płuc powietrze.

- Oczywiście. Kiedy panu pasuje? Mogę podjechać nawet teraz.
- Do dwudziestej będę w gabinecie przy ulicy Konwaliowej, więc...
- Będę za pół godziny – weszła mu w słowo, rzucając dopiero co zapalonego papierosa do kałuży. Pet zasyczał cicho.

Deszcz miarowo bębnił w parapet. Siedmioletnia dziewczynka objęła ramionami chude kolana. W domu panowało przenikliwe zimno. Wstała, palce stóp przywarły jej do lodowatej podłogi. Ostrożnie uchyliła drzwi pokoju. Zajrzała do sypialni ojca. Spał. Chwyliła go mocno za ramię, ale on mruknął tylko coś niezrozumiałego i przekręcił się na lewy bok. Czowała, jak żołądek zasysa jej się z głodu. Zeszła do kuchni. Na blacie leżały butelki po wódce, w lodówce znalazła jedynie kostkę masła i pomarszczonego pomidora. Wyrzała za okno. Niskopodwoziowy rudy kundel, przypominający wyrosniętego jamnika, stał przed budą, wesoło merdając ogonem. Założyła znacznie za duże buty ojca i w samej piżamie wyszła na podwórko. Wrześniowe chłodne powietrze na wskroś przeszło drobne ciało. Podeszła do psia i pogłaskała go po wilgotnej, sztywnej od kurzu sierści. Podskoczył z radości.

- Dino, biedaczku, musisz tutaj marznąć sam – szepnęła, przejeżdżając palcami po zimnym łańcuchu. Już tyle razy prosiła ojca, żeby Dino mógł zamieszkać z nimi w domu, ale w odpowiedzi zawsze słyszała ten sam argument: miejsce psa jest przy budzie.

Przesunęła dłoń po pyszczku, drapiąc go w zagłębieniu przy uchu. Nagle niebo przecięła błyskawica i rozległ się grzmot. Dino zeszywniał, najeżył sierść i wbił zęby w jej przedramię. Zabolalo. Łańcuch pobrzękiwał złowrogo. Instynktownie odsunęła się kilka kroków. Rozległ się kolejny grzmot. Pies znów rzucił się do ataku, ale tym razem nie był w stanie jej dosięgnąć. Deszcz padał coraz bardziej obficie. Krople mieszały się z krwią skapującą z rękawa piżamy, która jeszcze przed chwilą była biała.

Jechała wzdłuż lasu, myśląc o uduszonej dziewczynie. Była niemal pewna, że to jej wołanie o pomoc słyszała. Ale uciekła i być może tym samym skazała ją na śmierć. Czy bezdomny też był świadkiem tej zbrodni? Okazał się bardziej empatyczny i dlatego musiał zginąć? Podzieliłaby jego los, gdyby próbowała jej pomóc? Pytania kompulsywnie pojawiały się w głowie Łucji jak slajdy jakiejś wyjątkowo ponurej prezentacji multimedialnej. Podjechała pod szary blok. Na parterze ciągnęły się lokale usługowe. Obok salonu fryzjerskiego z wielkim podświetlanym kasetonem i sklepu z lampami wciśnięta była niewielka biała tabliczka, na której widniał granatowy napis „Gabinet Kardiologiczny Tomasz Margalski”. W poczekalni siedziały dwie starsze kobiety.

- Mogłabym wejść na chwilę poza kolejką? Przyszłam tylko odebrać dokumenty – zagadnęła Łucja, siląc się na łagodny ton.

- Każdy tylko na chwilę, a później trzeba czekać godzinami – odburknęła siwowłosa, przysadzista kobieta, zatrzymując wzrok na jej tiulowej spódnicy w kolorze mięty.

- Potrwa to zaledwie kilka minut, może pani być pewna – odpowiedziała chłodno, podchodząc do drzwi, które właśnie się otworzyły.

- Dziękuję doktorze, Bóg zapłać – powtarzał wychodzący z gabinetu staruszek, szurając nieporadnie stopami.

Nie czekając na reakcję kobiet z poczekalni, wślizgnęła się do gabinetu. Uderzył ją smród środków do dezynfekcji. Białe kafle błyszcząły w jasnym świetle jarzeniówek.

- Dzień dobry, Łucja Muzyk – przedstawiła się, patrząc w brązowe oczy mężczyzny, który na pierwszy rzut oka zbliżał się do pięćdziesiątki. - Rozmawialiśmy przez telefon – dodała. - Miałam podpisać dokumenty dla ubezpieczalni.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- A tak, rzeczywiście. Dziękuję, że pani tak szybko przyjechała - powiedział wesoło, sięgając do skórzanej brązowej torby.

Zdziwiona zatrzymała wzrok na książce, którą z niej wyjął.

„*Sto lat samotności?*”, pomyślała, ale zanim zdążyła się powstrzymać, wypowiedziała to na głos.

- Tak, to moja ukochana lektura, z którą nigdy się nie rozstaję. A że akurat nie miałem pod ręką teczki, to sama pani rozumie - uśmiechnął się.

- Literatura jest najlepszą zabawką, jaką wymyślono, żeby drwić z ludzi - powiedziała cicho.

Spojrzał na nią z nagłym zainteresowaniem.

- Czyżby pani również... - zawiesił głos - ...hołdowała przekonaniu, że wielkie obsesje, w tym przypadku te literackie, silniejsze są niż śmierć?

- Nie wiem, czy to miłość odwzajemniona, ale przecież tą niewidzialną siłą, która wprawia świat w ruch, nie są miłości szczęśliwe, ale nieszczęśliwe właśnie - zacytowała z pamięci zdanie z innej książki Márqueza, zastanawiając się, czy załapie.

Załapał. W jego oczach błysnęła fascynacja.

- Ja poza hiszpańską literaturą uwielbiam jeszcze włoskie wino - rzucił z uśmiechem.

Spodobała jej się ta gra. On też jej się spodobał.

- Wino akurat kocham równie mocno jak literaturę pod warunkiem, że jest tak wytrawne, że pierwszy łyk przyprawia mnie o dreszcze.

- W takim razie powinna pani kiedyś wypić ze mną butelkę trunku o wdzięcznej nazwie Moscato di Scanzo.

- Może będzie okazja. Ale teraz lepiej podpiszę te dokumenty, zanim pańskie pacjentki dokonają linczu.

Zaśmiał się beztrąsko.

- Ach, w poczekalni zawsze się znajdują jakieś histeryczne pieniaczki. Proszę się nie przejmować.

Miał w sobie coś magnetyzującego, mimo że nie był przystojny. Szerokie ramiona, nieco za duża głowa, siwe włosy, przez które prześwitywały blond pasma, i spore stopy nie wpisywały się w klasyczne kanony męskiego piękna, a jednak Łucja czuła się w jego towarzystwie onieśmielona. Dawno żaden facet nie zrobił na niej takiego wrażenia.

- Jednak wolałabym nie ryzykować - odpowiedziała.

- Może przynajmniej pani usiądzie. Zdecydowanie łatwiej będzie pani złożyć ten podpis.

Posłusznie opadła na białe metalowe krzesło.

- Właściwie to chyba powinnam pana przeprosić.

- Za tę wgniotkę? - W jego głosie pobrzmiwało rozbawienie.

- Mam nadzieję, że serwis stanął na wysokości zadania.

- Powiem pani szczerze, że akurat ten kosmetyczny uszczerbek na karoserii auta mojej córki to był najmniejszy problem. Ale jego konsekwencje rzeczywiście skomplikowały nam życie rodzinne.

Poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

- To znaczy? - zapytała, chociaż nie była przekonana, czy chce poznać odpowiedź.

Usiadł na krześle za biurkiem, wyciągnął nonszalancko nogi i splótł dłonie. Wystająca spod fartucha koszula w drobne czerwone kwiatki ładnie komponowała się z czarnym oparciem fotela.

- To jedna z takich nieprzyjemnych historii rodzinnych. Moja żona też jest lekarzem, dermatologiem. Uznała, że naturalną kolejną rzeczą również nasza jedyna córka pójdzie na medycynę, ale ona uparła się, że będzie pielęgniarką. Wbrew wszystkiemu. I mnie w ten swój niecny plan niejako zaangażowała. Byłem jej współnikiem, a tego feralnego dnia podrzucała dokumenty rekrutacyjne w tajemnicy przed matką.

- Ale przecież uderzyłam w wasze auto pod wydziałem humanistycznym - zauważyła Łucja.

- Z jakichś irracjonalnych powodów moje dziecko zamiast zostawić samochód pod biblioteką, postanowiło zaparkować na opustoszałym parkingu, jak wy to mówicie, humana. Resztę już pani zna. A nawet, jeśli tylko fragmentarycznie, to może i lepiej dla pani. W każdym razie przez tę stłuczkę musieliśmy wyznać żonie prawdę. - Zrobił teatralnie smutną minę.

- Proszę przynajmniej powiedzieć, że córka dostała się na studia.

- Oczywiście, że tak. Do Warszawy. Olsztyn miał być tylko planem B, a może nawet C czy D.

W gabinecie zapadła cisza. W końcu Łucja zdecydowała się ją przerwać.

- Spróbuję się zrekompensować, podpisując dokumenty. Mogę pożyczyć długopis?

- Pióro. Zawsze piszę piórem. Tu, proszę. - Wskazał lewy dolny róg kartki.

Powoli zdjęła chłodną skuwkę i podpisała się na dokumencie, nie czytając jego treści.

- Mam nadzieję, że ubezpieczyciel nie będzie już robił problemów. Przepraszam raz jeszcze - rzuciła i nie czekając na odpowiedź, wyszła z gabinetu.

Siwowłosa grubaska miała wyraźnie niezadowoloną minę, gdy Łucja bez słowa minęła kobiety w poczekalni. Wsiadła do wychłodzonego auta, zapalając papierosa. Przekręciła kluczyk. Silnik nawet nie drgnął. Jeszcze raz. To samo.

- Kurwa, tylko nie to - mruknęła, wyjmując fajkę z ust.

Chciała do kogoś zadzwonić. Kogoś, kto pomoże odpalić jej auto albo przynajmniej zatroszczy się o to, jak wróci do domu. Z ukłuciem żalu pomyślała jednak, że nie ma nikogo takiego. Przymknęła oczy, opierając się o lodowaty zagłówek fotela. W dłoni wciąż trzymała niedopalonego papierosa. Pod jej powiekami powoli przewijały się obrazy.

Krew obficie kapła na podłogę. Najpierw na brudny gumolit w przedpokoju, później na kafelki w kuchni i wykładzinę w salonie. Dziewczynka powoli wspięła się po stromych schodach. Purpurowe krople spływały po stopniach. Zanosila się płaczem, połykając słone łzy.

- Co, do kurwy nędzy? - Ojciec w rozciągniętym podkoszulku bez rękawów wynurzył się z sypialni.

- Dino mnie ugryzł - załkała. - Boli...

Ojciec spojrział na nią nieprzytomnym wzrokiem, a potem zbiegł po schodach, wyciągając pasek ze spodni.

- Zastrany kundel!

- Nie bij go, tato! On nie chciał. Przestraszył się, przestraszył się burzy! - zawołała za nim, ale on nawet się nie odwrócił.

Czerwony od krwi rękaw piżamy przywarł jej do skóry. Przedramię piekło coraz bardziej. Zagryzając z bólu wargi, odkręciła w łazience kurek i włożyła rękę pod kran. Lodowata woda przez chwilę wzmogła poczucie dyskomfortu, ale po kilkunastu sekundach przyniosła ukojenie. Rana nadal obficie krwawiła. Spomiędzy poszarpanej skóry prześwitywały fragmenty czegoś, co przypominało mięso, które ojciec czasem kładł na kuchennym blacie po uboju świniaka. Po kilku minutach znów usłyszała jego kroki.

- Pokaż - powiedział łagodnie, wchodząc do łazienki. - Nie wygląda dobrze, jedziemy do szpitala, chyba trzeba będzie szyc. - Zdjął poszarzały podkoszulek i owinał nim przedramię córki.

Kiedy zamykał drzwi domu, strumienie deszczu ograniczały pole widzenia. Świat zdawał się składać wyłącznie z wody. Łucja spojrzała w stronę budy. Drewniana, wysłużona konstrukcja, przypominająca duży karmnik dla ptaków, robiła posępne wrażenie, dawała jednak przynajmniej schronienie, z którego Dino musiał skorzystać, bo nie było go w zasięgu wzroku. Spojrzała jeszcze raz. Coś jej nie pasowało w tym obrazku. Pomiędzy smugami wody coś błyszczało. Zbiegła po schodach, nie zważając na ulewę.

- Wracaj i wsiadaj do auta! - krzyczał za nią ojciec, zagłuszany porywistymi podmuchami wiatru.

Utkwiła wzrok w leżącym w błocie łańcuchu.

- Dino! - krzyknęła zduszonym głosem. - Dino!

Cisza. Żadnego ruchu ani dźwięku. Biegła, ignorując krzyki ojca. Kiedy była tuż przy budzie, zadarła głowę, spoglądając na dąb rosnący tuż obok. Zamarła. Rude ciało wyprężone w nienaturalnej pozycji dyndało w powietrzu jak pacynka. Czarny pasek zaciśnięty był wokół psiej szyi. Dziecięcy krzyk poniósł się echem pomiędzy budynkami.

Ktoś zapukał w szybę. Podskoczyła. Smuga światła lampy ulicznej ześlizgnęła się po męskiej sylwetce. Szerokie ramiona, jasne włosy, usta wykrzywione w lekkim uśmiechu.

– Ależ mnie pan przestraszył – powiedziała, otwierając drzwi.

– Coś się stało? Mogę jakoś pomóc? Chyba że lubi pani siedzieć wieczorem w aucie ze zgaszonym silnikiem, kiedy temperatura oscyluje w okolicach zera, to nie będę się narzucał – zaśmiał się, poprawiając flauszowy płaszcz w czarnym kolorze, który zlewał się z ciemnością panującą za jego plecami.

– Ma pan może pomysł, jak reanimować akumulator piętnastoletniego golfa?

– Akurat na brak pomysłów nie mogę narzekać. Od dzieciństwa mam coś w rodzaju nadreaktywności mentalnej.

– W takim razie liczę na to, że za godzinę będę już w ciepłym łóżku – mruknęła, czując, jak łydki zaczynają drżeć jej z zimna.

– Proszę dać mi chwilę – rzucił w przestrzeń i zniknął między samochodami zaparkowanymi wzdłuż ulicy.

Po kilku minutach obok niej zatrzymało się czarne porsche cayenne i wysiadł z niego Tomasz.

– No to przystępujemy do reanimacji – zaśmiał się, wyciągając z bagażnika czarną skrzynkę, do której podłączone były czerwone przewody. Sprzęt wyglądał na nieużywany.

– Od kiedy w takich luksusowych autach wozi się prostownik?

Spojrzał na nią z udawanym oburzeniem.

– No wie pani. Proszę mi tu drogimi furami nie ubliżać. Po prostu dobry kierowca jest przygotowany na każdą ewentualność. Wiedziałem, że kiedyś się przyda. – Zacmokał z satysfakcją, otwierając maskę jej auta.

– Czy istnieje ryzyko, że się nie uda? Jeśli tak, już teraz pogodzę się z tym, że czeka mnie okrutna śmierć z wyiębienia. – Stała obok niego i roztarła skostniałe z zimna dłonie.

– Ryzyko zawsze istnieje, ale postaram się je zminimalizować. – Głos mężczyzny nachylonego nad maską golfa był nieco mniej wyraźny, ale wciąż słyszała w nim nutki rozbawienia. – Zresztą śmierć w stanie hipotermii nadchodzi niespodziewanie, bo człowiek czuje rozchodzące się po całym organizmie ciepło, nie jest więc chyba wcale taka okrutna. Ale lepiej tego nie sprawdzajmy na własnej skórze – dodał Tomasz, prostując się. – Mamy teraz jakieś piętnaście minut dla siebie. Zapraszam do mojego auta.

Zrobiła nieco zakłopotaną minę. Prychnął wyraźnie rozbawiony.

– Proszę się nie obawiać, nie będę pani napastował. Po prostu w moim samochodzie działa ogrzewanie. – Otworzył jej drzwi porsche.

Przyłgnęła do ciepłego fotela pasażera. Napięte z zimna mięśnie powoli się rozluźniały. Wnętrze auta wypełniał matowy głos wokalistki Florence and the Machine, zapach kardamonu i orzechów laskowych.

*You've got the love* płynęło z głośników.

– Proszę wybaczyć nietaktowne pytanie, ale nie daje mi spokoju. Kto, do cholery, wozi w porsche prostownik? – zapytała, chcąc wypełnić jakoś niezręczną ciszę. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że już o to pytała.

Tomasz przymknął powieki.

– Uwielbiam tę kobietę – powiedział powoli, zupełnie jakby jej nie usłyszał. – Ma w sobie jakąś surowość, a zarazem elegancję. Jest hipnotyzująca. Trochę ją pani przypomina – zwrócił się do Łucji, nie otwierając oczu.

Poczuła delikatne mrowienie w okolicach karku.

– Proszę nie odpowiadać. Szkoda psuć nastrój tej przyjemnej chwili zwykłym small talkiem. W ciszy można znacznie bardziej zachłannie upajać się towarzystwem.

Powinna poczuć się dotknięta, ale doskonale zrozumiała, co miał na myśli. W tym momencie odniosła dokładnie takie samo wrażenie – każde słowo było jak fałszywy ton, który zakrada się do melodii. Ogarnęła ją błogość, jakiej do tej pory nie znała. Wciągnęła zachłannie powietrze do płuc, jakby robiła to po raz pierwszy.

## ROZDZIAŁ 3

– Luśka, tym razem się nie wymigasz. Urywamy się z ostatnich ćwiczeń na browara. Chyba że jako jedyna z całej grupy chcesz pisać tę posraną wejściówkę. – Blondyn z głębokimi bliznami potrądzikowymi na policzkach objął ją za ramię.

Ze spokojem zdjęła jego szorstką dłoń. Na korytarzu panował szmer.

– Odpadam. Po zajęciach od razu pędzę do pracy – próbowała się wymigać.

Spojrzał na nią rozczarowany.

– Weź nie chrzań, zawsze masz jakąś wymówkę, ale tym razem kiepską, bo wyraźnie powiedziałem, że browar zamiast zajęć. Zamiast – zaśmiał się ochryple. – Serio, zachowujesz się jak laska z kijem w dupie albo stara panna, jakby to określiła moja babcia – powiedział nienaturalnie głośno, jakby oczekiwał, że wszyscy stłoczeni przed drzwiami do auli zaśmieją się z jego żartu. Nikt jednak nie zareagował.

– Mateusz, nie męcz dziewczyny – mruknął na odczepnego jakiś chudy brunet o twarzy pozbawionej mimiki.

– Chodź dla świętego spokoju. Odpękamy pół godzinki i przynajmniej nie będą nas obgadywać – szepnęła jej do ucha Rita.

Łucja przewróciła oczami.

– Pod warunkiem, że jutro wpiszesz mnie na poranny wykład z socjologii biznesu.

– Stoi. Za piątkowy podpis na filozofii.

Łucja parsknęła śmiechem.

– Twarda z ciebie negocjatorka. Nic dziwnego, że pracujesz w policji. Ale niech ci będzie, chociaż chyba za słuchanie tego nawiedzonego typu z tekstami zapożyczonymi z podręcznika dla domokrażców powinnam dostać dwa wpisy.

– Oj, nie bądź taka pazerna.

Brunetka o szarych oczach, których kolor podkreślały srebrne oprawki okularów, otworzyła drzwi sali i niewielka grupka studentów powoli weszła do pomieszczenia rozświetlonego promieniami listopadowego słońca, wlewającymi się przez duże szyby. Kiedy wychodzili z niego półtorej godziny później, świat za oknami spowiła już szarość.

– To co, idziemy nad Starodworskie? Tylko najpierw trzeba ogarnąć prowiant. No dalej, ekipo, ruszajcie się! – zawołał Mateusz.

– Bez sensu. Mam znacznie lepszy pomysł i będzie po drodze z monopolowego – odezwał się chudy brunet, który wcześniej stanął w obronie Łucji. – A tak w ogóle jestem Robert, gdybym jeszcze nie zdążył się komuś przedstawić.

Nikt nie oponował. Poza Mateuszem ludzie najwyraźniej nie mieli ochoty na picie w plenerze i przystali na wcześniejszą propozycję wyłącznie dla świętego spokoju.

– Gdzie ty nas właściwie prowadzisz? – mruknął Mateusz, kiedy piętnaście minut później szli tyłami zakładu poligraficznego. Gęste ciemne chmury szczelnie przykryły już niebo.

– Nad Choinkę. Tam nie ma tłumów i można sobie w spokoju posiedzieć.

– Gdzie, kurwa?! – Mateusz spojrzał na niego podejrzliwie, zaciskając palce na czteropak tuż obok Roberta, jakby chciał w ten sposób podkreślić, że przewodzi całej grupie. Za nimi bez entuzjazmu wlokło się kilka osób. Niektórzy nieśli piwa, inni czipsy i energetyki.



- Zaraz będzie zupełnie ciemno, może lepiej chodźmy do jakiegoś pubu - zaproponowała Łucja, zasuwając zamek kurtki.

- W jakim świetle ty żyjesz? Tu już nie ma żadnych pubów. Wszystko zarznęła inflacja - roześmiał się głośno Mateusz, ale nikt do niego nie dołączył. - No dobra - westchnął. - Niech już będzie ta Choinka.

Nie miała ochoty włóczyć się po kortowskich szuwarach. W miasteczku akademickim nie brakowało malowniczych miejsc, w których można było wypić piwo w plenerze, a oni musieli wybrać jakieś chaszczce. O osiemnastej powinna być w świetlicy, żeby zapoznać się z kuchnią i przygotować do jutrzejszych zajęć. Nie wiedziała w ogóle, czego będą dotyczyć. Miała nadzieję, że jak zobaczy miejsce pracy, coś przyjdzie jej do głowy.

- Uwaga, bo tu jest trochę stromo! - zawołał Mateusz, schodząc z porośniętej trawą skarpy.

Budynki znacznie się przerzedziły. Pozostały tylko niskie, pojedyncze zabudowania, wyglądające jak magazyny. W oddali skrzyły się okna akademików. Łucja zeszała niechętnie za grupą. W powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi. Przeszli kilkadziesiąt kroków pomiędzy wysoką mokrą trawą.

- Człowieku, gdzie ty nas prowadzisz? Gdybym wiedział, że idziemy nad jakieś mokradło, wybiłbym ci to z głowy. Mogliśmy zostać nad Kortowskim - poirytowany Mateusz zwrócił się do Roberta. - Tam co najwyżej moglibyśmy dostać mandat za picie w miejscu publicznym, a tu ugrzęźniemy w bagnie na wieczne zapomnienie.

- Bez przesady - prychnął Robert, odpalając latarkę w telefonie. - Myślałem, że chcecie mieć studencki melanż w plenerze, a nie jakieś pitu, pitu - zaśmiał się sztucznie, chociaż jego twarz pozostała niewzruszona.

Gęsto porośnięte krzaki okalały zbiornik wodny, który wyglądał bardziej na duży staw niż jezioro. Na powierzchni wody unosiła się gruba rzęsa.

- Do naszej miejscówki zostało dosłownie sto metrów. Ruszajcie się, a nie pożałujecie!

Ścieżka wzdłuż jeziora prowadziła przez gęste zarośla. Karłowate drzewa i bujne krzaki przybrały smolisty kolor. Gdzieś tam leżały pojedyncze niedopałki papierosów i zgniecione puszki po piwie. Było też kilka oprószonych popiołem plam. Ślady po ogniskach dodawały temu posępnemu miejscu trochę życia.

- Widzicie, czemu nie możemy tu zostać? Kręcą się tu wędkarze i jacyś bezdomni - mruknął z pogardą Robert. - A miejsce, które wam chcę pokazać, jest absolutnie tajne. Nikt go nie zna. No, poza moim bratem i jego ekipą, ale oni są już starzy i dawno zapomnieli o studenckich miejscówkach na melanż. - W jego w głosie wibrowała ekscytacja.

- Kurwa, będę się bała wracać sama - szepnęła Łucja.

- Spoko, wyjdziemy razem - mruknęła do niej Rita. - Ja już mam dosyć tej pseudoimprezy, chociaż jeszcze się nie zaczęła.

- Dobra, stop - oznajmił Robert. - Teraz będzie potrzeba trochę skupienia.

Jezioro w tym miejscu łagodnie zakreślało. Ścieżka zniknęła w gęstej trawie, która miejscami przechodziła w trzcinę.

- Musimy iść powoli, żeby się nie zmoczyć, bo tutaj jest trochę grząsko.

- Nie, no chyba cię grzeje, kolego! Napijmy się tutaj albo wracajmy na plażę kortowską - powiedział ostrym tonem Mateusz, a jego głos odbił się echem od wody.

- Teraz to już został naprawdę kawalek. Chodź, nie pękaj, to sobie spokojnie zapalimy. - Dłoń chłopaka powędrowała do kieszeni, z której wyjęła niewielki woreczek z suszem.

Oczy Mateusza zaślniły.

- Niech będzie - odpowiedział szybko.

Kilka osób z tyłu mruknęło z niezadowoleniem, mimo to wszyscy podążali za tą dwójką. Trudno było ocenić, czy z ciekawości, czy ze strachu przed samotnym powrotem grząską ścieżką wśród zarośli.

W końcu zatrzymali się w niewielkiej zatoczce.

– No to jesteście – powiedział z zadowoleniem Robert.

Łucja spojrzała na zegarek. Do siedemnastej pozostał niecały kwadrans. Odpaliła papierosa i odkręciła bezalkoholowe piwo.

– Tak bez otwieracza? – zagadnął Mateusz za jej plecami.

– To twist off.

Robert podał mu niechlujnie skręconego blanta. Chłopak zaciągnął się łapczywie i zaczął kaszleć.

– Ej, spokojnie, kolego. Nie zabieramy ci przecież. No chyba że ktoś jeszcze ma ochotę?

Nikt nie odpowiedział. Dziewczyny połączyły się w dwu-trzyosobowe grupki. Łucja nerwowo wlewała w siebie bezalkoholowe piwo.

– Co to za stupa? Myślałem, że będziemy się tu bawić i integrować, a nie zamulać. Zaraz odpalę jakąś muzę. – Mateusz machnął telefonem, którego wyświetlacz był jedynym źródłem światła w spowijającej wszystko wokół ciemności.

– Może lepiej nic nie włączaj, zwabisz jeszcze bezdomnych – mruknął Robert, otwierając puszkę portera.

– Boisz się tych śmieci?

– Nie boję, ale po co szukać problemów?

– Jakich problemów? Takie robaki po prostu się usuwa. Ale spokojnie, nikt tu nie przylezie. Sam mówiłeś, że to naprawdę elitarna miejscówka.

Łucja popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Miała nadzieję, że powiedział tak tylko dla zgrzywu.

– Robaki? Usuwa? – powtórzyła. – Chyba trochę się zagalopowałeś. Czym ci niby zawinili?

Szmer rozmów ucichły.

– A co ty uważasz, że ludzie, którzy całymi dniami tylko kombinują, co by tu ukraść, zasługują na szacunek? – odparował Mateusz.

– Nie wszyscy bezdomni to złodzieje – zauważyła.

– A nie wszyscy mordercy to gwałciciele. I co, od razu pałasz sympatią do morderców?

Prychnęła.

– Idiotyczna analogia.

– Jak ci się nie podoba mój tok myślenia, to nie musisz tu być. Serio, nic na siłę. – Chłopak wyciągnął rękę po resztkę blanta żarzącego się w ustach Roberta.

– Mam rozumieć, że mnie wypraszasz? – rzuciła chłodno Łucja.

Rita poruszyła się niespokojnie, przysuwając się do niej w geście solidarności.

– Rozum to sobie, jak chcesz.

– Hej, spokojnie – włączył się Robert. – Co wam jest? Mieliśmy się integrować – dodał pojednawczym tonem, ale Łucja miała już dość.

– Wiecie co, nie chce mi się już brać udziału w tym teatryku dla gimbazy. Wyrosłam z picia browarów w krzakach. – Rzuciła peta w zarośla i ruszyła przed siebie.

– Chyba powinniśmy iść w drugą stronę. Przyszliśmy stamtąd – mruknęła idąca tuż za nią Rita.

Zimny wiatr wślizgnął się pod cienką kurtkę, przenikając ciało na wskroś.

– Kurwa, nie chce mi się nawet już obok nich przechodzić – odpowiedziała, czując, jak podeszwy przyklejają się do grząskiej ziemi. Najwyraźniej zbliżały się do jeziora.

Odeszły jakieś dwieście metrów od grupy. Głos Mateusza niósł się echem wzdłuż zarośli. Łucja ukucnęła nad brzegiem wody. W tym świetle wyglądała jak smoła.

– Spoko, ale żeby dojść do parkingu raczej będziemy musiały zawrócić. – Rita wyjęła z kieszeni paczkę niebieskich L&M-ów.

- Dobra, zapalmy sobie tylko na spokojnie i wracajmy. - Łucja odetchnęła, zaciągając się zapachem zgnilizny. Otworzyła nową paczkę papierosów i wepchnęła sreberko oraz folię do kieszeni kurtki.

- Takie atrakcje to były fajne jakieś dziesięć lat temu - mruknęła.

- Ale przynajmniej zaliczyliśmy jedną integrację i nikt nie będzie się czepiał, że się izolujemy.

- Wiesz co, ja to ogólnie mam w nosie, kto i o co będzie się czepiał. - Rzuciła peta do jeziora. Przez chwilę unosił się na wodzie, po czym zasyczał i zgasł.

Rita utkwiała wzrok w dryfującym po powierzchni papierosie. Łucji zrobiło się głupio, ale co niby miała z nim zrobić - schować go do kieszeni?

- Widzisz to? - zapytała Rita, sięgając po telefon.

- To, czyli co?

- Tam coś jest. - Włączyła latarkę, oświetlając czarną plamę wody.

Kilkadziesiąt metrów od niedopałka dryfowało coś, co wyglądało jak splątane sznurki.

- Chyba jakieś rośliny.

Dziewczyna przełknęła głośno ślinę, a potem weszła do jeziora.

- Oszalałaś?! - zawołała Łucja. - Woda musi być lodowata!

Rita milczała przez chwilę, a potem odwróciła się w stronę brzegu.

- To nie rośliny - powiedziała zduszonym głosem. - To włosy.

## ROZDZIAŁ 4

- To wszystko? - zapytał chudzielec z haczykowatym nosem i nie czekając na odpowiedź, zamknął notes. Niebieskie światła radiowozu pulsowały miarowo, rozświetlając ciemność niebieską luną.

- Tak, tak. Nie mam nic więcej do dodania - mruknęła Łucja, patrząc nerwowo na zegarek.

Przed policyjnym autem stała grupka studentów. Wszyscy patrzyli w jej stronę ze strachem, kiedy zamykała drzwi auta zaparkowanego kilkadziesiąt metrów od brzegu, na którym leżało nabrzmiałe od wody ciało dziewczyny. Pochyliło się nad nim kilka osób ubranych w szare mundury. Rita podeszła do grubego policjanta, który robił zdjęcia, i szepnęła mu coś do ucha. Odwróciła głowę. Kiedy spostrzegła Łucję, chwyciła go w przyjacielskim geście za ramię, po czym podeszła do niej.

- Wszystko w porządku? - zagadnęła, a w jej głosie wibrowała dziwnego rodzaju ekscytacja.

- Tak, jasne. Za wiele im nie powiedziałam, bo niewiele wiem. Cholera, nie zdążę przygotować tych zajęć na jutro...

Twarz Rity rozświetlana niebieskim światłem wydawała się pogrążona w jakimś transie.

- Skóra praczek, oddzielenie się włosów i paznokci, rozdęcie, smugi dyfuzyjne - recytowała płynnie, jakby czytała fragment podręcznika. - Leży tu już jakiś czas.

- Jakim cudem nikt jej wcześniej nie znalazł?

- Najpewniej zwłoki były obciążone i przywiązane.

Łucja nie do końca zrozumiała sens wypowiedzianych przez koleżankę słów, ale nie miała czasu dopytywać - od kilkadziesiąt minut powinna być w świetlicy. Pożegnała się szybko i pobiegła w stronę parkingu. Przeciskanie się wąską ścieżką przez zarośla wydawało się teraz jeszcze bardziej upierne niż wcześniej. Kiedy dotarła przed budynek wydziału, odetchnęła z ulgą. Tutaj wszystko było po staremu: okna akademików żarzyły się światłem, chodnikami krążyli chichoczący studenci, na przystankach światła lamp wydobywały z mroku anonimowe twarze. Nikt nawet nie podejrzewał, że kilkaset metrów dalej, na brzegu małego jeziora, leżą rozdęte od wody zwłoki.

Kropki powoli ściekały wzdłuż ciała. Ciepła woda przyjemnie rozluźniła mięśnie. Łucja straciła poczucie czasu. Przymknęła oczy, starając się nie myśleć o tym, co kilka godzin wcześniej zobaczyła nad Choinką. Próbowwała przywołać wspomnienia z wczorajszego wieczoru, ale zamiast tego natrafiała na czarną plamę, jakby wczoraj dla jej mózgu nie istniało. Kiedy wyszła spod prysznicza, lustro było zaparowane od gorącej wody. Owinęła się ręcznikiem i szybko przeszła korytarzem do zimnego pokoju. Zamknęła drzwi i spojrzała na pomarszczoną od wody skórę palców u stopy.

„Skóra praczek”, pomyślała, a przed jej oczami pojawiła się rozdęta od wody twarz. Rozwarte usta i dryfujące po powierzchni włosy. Za wszelką cenę chciała pozbyć się tego obrazu. Wyparł go inny.

Stopy w rozmiarze trzydzieści cztery zanurzone do kostek w żółtawej wodzie. Usłyszała chrzęst zamka. Ktoś otwierał drzwi wejściowe. Znieruchomiała, nasłuchując. Odetchnęła, kiedy przez drzwi doszedł do niej głos ojca. Wtórował mu damski chichot.

- Stul dziób, bo mi dzieciaka obudzisz - mruknął ojciec do swojej towarzyszki. Po sposobie, w jaki przeciągał sylaby, można było wywnioskować, że jest wstawiony.

- Oj dobrze, dobrze. To weź te ręki, bo mnie wstydzisz. - Kobieta mówiła ze wschodnim akcentem.

- Dopiero cię zawstydzę, ale musimy iść na górę.

Kiedy usłyszała ich kroki na schodach, wyszła z wanny, owinęła się miękkim ręcznikiem i cicho weszła na piętro. Zamknęła się w swoim pokoju i przywarła do drzwi. Z sypialni ojca nie dochodził żaden dźwięk. Włożyła sztywną po praniu dziecięcą piżamkę i nakryła się pod nos kołdrą. Spojrzała na kobietę uśmiechającą się do niej ze zdjęcia. Poczowała ukłucie tęsknoty. Obraz się zamazał, a spod powieki wysączyła się łza. Łucja przymknęła oczy, próbując powstrzymać płacz. Nagle za ścianą rozległ się krzyk ojca.

– Jebana dziwka! Bierz i nie dyskutuj o tematach, o których nie masz pojęcia.

Rumor zagłuszył odpowiedź. Słychać było tylko kobiecy krzyk, a później zapadła długa cisza.

Kolejny dzień nadszedł zdecydowanie zbyt szybko. Po porannych zajęciach nerwowo zaparkowała samochód przed białym budynkiem, przed którym kołysały się rytmicznie astry. W wąskim korytarzu zapach świeżej farby mieszał się ze specyficzną ziołową nutą. Starzy ludzie zawsze kojarzyli się Łucji z wonią amolu. Bała się tego zapachu, który znała z kościoła. Jakby obcowanie ze starością było jakimś rodzajem osławiania słabości. Zaciśnęła pięści schowane w kieszeni bluzy i z zawiązanym w supeł żołądkiem weszła do dużej jasnej sali.

– O, a to jest właśnie pani Łucja, która będzie prowadzić zajęcia kulinarne. – Rozpromieniła się krępa blondynka.

Kilkanaście pomarszczonych twarzy spojrzało wprost na nią. Nie wyrażały żadnych emocji, były jak zużyte maski.

– Dzień dobry, miło mi państwa poznać – powiedziała, udając entuzjazm.

Nikt nie odpowiedział.

– No to może nie traćmy czasu i chodźmy do kuchni – mruknęła dyrektorka, wskazując na drzwi w rogu pomieszczenia.

Łucja nerwowo zaczęła wyciągać produkty kupione w pośpiechu rano w wiejskim sklepie.

– Dzisiaj mamy zajęcia wprowadzające, pomyślałam więc, że zaczniemy od czegoś prostego, a zarazem przyjemnego w konsumpcji. Dlatego przygotujemy... kolorowe kanapki – wymyśliła na poczekaniu, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

– No to ja już państwu nie będę przeszkadzać. Zostawiam was w dobrych rękach – mruknęła dyrektorka i zamknęła za sobą drzwi.

– Kto jest dobry w obieraniu? – zapytała Łucja przez zaciśnięte gardło, machając w desperacji ogórkami.

Kiedy dwie godziny później wychodziła ze świetlicy, czuła się tak zmęczona, jakby przebiegła maraton. Wilgotne powietrze przyjemnie chłodziło palącą skórę twarzy. Odetchnęła. Udawanie animatorki dla seniorów okazało się dużo bardziej wyczerpujące niż praca hostessy czy kelnerki. Pośpiesznie zaciągnęła się kilka razy papierosem i wsiadła do auta. Ruszyła w stronę wydziału.

Rita nie pojawiła się na zajęciach. Wszyscy, którzy byli obecni na wczorajszym spotkaniu nad Choinką, rozproszyli się po uczelni, unikając wzajemnych spojrzeń. Jakby choćby krótki kontakt wzrokowy miał być potwierdzeniem tego, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Kiedy wychodziła z uczelni, było już zupełnie ciemno. Gruba warstwa szronu na szybie zapowiadała nadchodzącą zimę. Łucja odpaliła rżęjący silnik i czekała, aż okna odparują. Zadrzała z zimna i w tym samym momencie zadzwonił telefon.

– Hej – zawibrował w słuchawce głos Rity. – Wiesz co, Damian coś mi tu mówi, że ma dla ciebie akumulator, ale gdzieś zapodział twój numer, więc pozostawił mnie przyjemność ogłoszenia ci tej wspaniałej nowiny.

– O – mruknęła tylko, powstrzymując pytania, które cisnęły jej się na usta w związku ze śledztwem.

– A że chłopak jest teraz mało czasowy, bo ma straszny syf w robocie, to go podwoję do ciebie tak za godzinkę wraz z tym cackiem, jak będziesz na stacji. Tylko wyślij adres – dodała Rita i nie czekając na

odpowieź, rozłączyła się.

- Ile jestem ci winna? - zapytała Łucja, kiedy Damian z zadowoleniem zamknął klapę od maski.

- Udało mi się go załatwić po kosztach, więc daj dwie stówki i jesteście kwita - mruknął, wycierając ręce w tylne kieszenie spodni.

Wygrzebała z portfela zmięty banknot.

- Może wejdziecie? - zapytała kurtuazyjnie, mając nadzieję, że odmówią.

- Nie ma mowy. Po tym wczorajszym syfie muszę odespać - odpowiedział i splunął na chodnik.

Rita spojrzała na niego z rozczuleniem, które zupełnie nie pasowało do kontekstu sytuacji.

- Co tam się stało, nad Choinką? - zwróciła się do niej Łucja, a dziewczyna, zanim odpowiedziała, zerknęła na Damiana.

- Mogę jej powiedzieć?

- Rób, co tam chcesz, ale jak coś, nie wiesz niczego ode mnie. Zresztą stary i tak na dniach wyda oświadczenie - odparł w taki sposób, jakby nikt postronny nie przysłuchiwał się ich rozmowie.

Dopiero wtedy Rita zaczęła opowiadać, nie kryjąc podekscytowania.

- Ta dziewczyna z wczoraj... miała do szyi przywiązaną lalkę, bardzo podobną do tej, którą znaleźli przy tamtej uduszonej w lesie.

Łucja poczuła, jak zasycha jej w gardle.

- No i ślady wskazują, że ktoś ją celowo przetrzymywał w wodzie po śmierci.

- Co to znaczy: celowo przetrzymywał w wodzie? - zapytała, z trudem panując nad głosem.

- Przyczyną śmierci nie było utonięcie. Ktoś ją tam zawlókł, a później obciążył i przywiązał do belki ze starego pomostu. Podejrzanie płytko jak na kogoś, kto chciał się pozbyć dowodu zbrodni.

- Chyba już wystarczy, co? - W głosie Damiana zabrzmiała pretensja.

- Dobra, dobra, już się zamykam. Sam pozwoliłeś - zaszczebiotała Rita.

- Ja? Chyba trochę nadinterpretujesz. Brak zakazu nie jest przyzwoleniem - powiedział z udawanym oburzeniem i oboje wybuchnęli śmiechem.

Spojrzała na nich zaskoczona. Powściągliwa dotąd Rita w obecności tego chłopaka zamieniała się w zupełnie inną osobę. Dziewczyna wskoczyła na fotel kierowcy i z szerokim uśmiechem zatrzasnęła drzwi auta.

Kiedy odjechali, Łucja jeszcze długo stała przed domem, wpatrując się w zarys lasu.

Telefon zawibrował. Na ekranie pojawiła się fioletowa ikonka w kształcie koperty. Łucja odruchowo otworzyła wiadomość. „Może to jednak powtórzymy? Nie daj się prosić. Było fajnie, a może być jeszcze fajniej. Pozdrawiam nieustępliwy Wojtek”.

Zmarszczyła czoło, serce mocniej jej zabiło.

„Skąd, do cholery, ma mój numer?”, pomyślała ze złością i od razu usunęła SMS-a. Miała nadzieję, że milczenie będzie dobitną odmową. Nie chciała kontynuować tej relacji. Zresztą w tej chwili jej myśli zajmowało zupełnie coś innego. Znowu usłyszała błagalne wzywanie pomocy. Przymknęła oczy. Obraz gęsto rosnących drzew został wyparty przez widok napęczniałego kobiecego ciała z długimi włosami. Otworzyła klapę laptopa i wpisała w wyszukiwarce „słomiane lalki”.

Tak jak podejrzewała, na monitorze wyświetliły się zdjęcia ręcznie robionych kukiełek i innych ozdób. Nie wiedziała, czego tak naprawdę oczekiwała. Może jakiejś wskazówki, punktu zaczepienia, który byłby odpowiedzią na pytanie, dlaczego ktoś zostawia przy ofiarach marionetki ze słomy. W głowie zaczynała kiełkować jej myśl, że to wszystko jakoś się z nią łączy. Przecież była obecna w obu miejscach zbrodni.

– Fatum – powiedziała bezgłośnie, ale od razu zaprzeczyła ruchem głowy. – To mnie nie dotyczy, to nie moja sprawa.

Odeszła od komputera i położyła się na łóżku. Nie chciała o tym myśleć. Nie powinna o tym myśleć. Stabilna bariera, odgradzająca ją od świata, którą zbudowała w swojej podświadomości kilkanaście lat wcześniej, zaczynała się rozpadać. Łucja wiedziała, że musi powstrzymać ten proces, inaczej stanie się łatwym celem. Dla kogokolwiek, kto zechce ją skrzywdzić.

Stała przed pomazanym lustrem. Powoli czesała poplątane rude loki. Dziecięca piżamka z kaczorem Donaldem sięgała znacznie powyżej kostek – była za mała przynajmniej o rozmiar. Drzwi zaskrzypiały. Przez wąską szczelinę do pokoju wlał się strumień chłodnego powietrza.

– Córś – mruknął ochryple ojciec. Nie trzeźwiał od tygodni. – Przyjdź do mnie na dół, jak skończysz. – Zawahał się. – Dawno sobie nie gadaliśmy.

Pośpiesznie dokończyła czesanie i pobiegła do kuchni. Na blacie stała do połowy opróżniona butelka po winie z etykietą, na której czerwienił się rysunek byka. Ojciec jadł przy stole kanapkę z makrelą. Odór taniego alkoholu mieszał się ze smrodem ryby.

– Chcesz? – Przesunął talerzyk w stronę dziewczynki, ona jednak pokręciła przecząco głową. – Ciotka Teresa zrobiła ci jakieś zakupy? – Był w ciągu, ale najwyraźniej miał przebłysk świadomości.

– Tak, w szafce są płatki, a w lodówce makaron z twarogiem – powiedziała, wpatrując się w jego poczerwieniały nos z wyraźnie zaznaczonymi naczynkami.

– Usiądź tu przy mnie. – Odsunął dla niej krzesło.

Posłusznie opadła na zimne drewniane siedzisko.

– Przepraszam, że czasami muszę wypić. To silniejsze ode mnie. Ale to nie znaczy, że cię nie kocham, rozumiesz? Jesteś dla mnie wszystkim, wszystkim, co mam – zapewnił gorączkowo. – Powiedz, że to rozumiesz.

– Rozumiem, tatku. – Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Opowiadaj, co tam w szkole – dodał już spokojniej.

– Nic.

– Masz jakieś koleżanki? – Chwiejnym krokiem podszedł do blatu i sięgnął po butelkę wina.

– Nie bardzo. – Utkwiła wzrok w posiniałych z zimna stópkach.

– No jak to tak? Z nikim się nie koleżankujesz?

– Nie. Nikt mnie nie lubi.

– Nie lubi? – zapytał ze zdziwieniem. – Nie wierzę.

– Mówią, że jestem brudaśnicą.

Mężczyzna oddychał ciężko. Przesunął podrapaną w wielu miejscach dłoń po rudo-siwych pasmach.

– Kto tak mówi? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

– Wszyscy.

– Nie daj sobie wmówić, że jesteś gorsza od tych mend. Nigdy. A jeśli musisz, to broń się. Do ostatniej kropli ich krwi. Jesteś taka jak ja. – Popękane naczynka na policzkach zlały się w rumieniec. – Silna – powiedział, wycierając usta rękawem koszuli.

– Ale się zrobiła zadyma – mruknęła Rita, opadając na ławkę pod salą, w której za chwilę miał się rozpocząć wykład z filozofii. – Chcesz gryza? – Wyciągnęła w stronę Łucji drożdżówkę w foliowym woreczku.

– Nie, dzięki. Jaka zadyma?

– Szmatławce się dowiedziały i szaleją. Na razie lokalnie, ale zaraz dobiórą się do tego ogólnopolskie media.

Łucja pośpiesznie wyjęła telefon z kieszeni i odpaliła serwis z lokalnymi wiadomościami. Na górze strony na czarnym tle czerwienił się tytuł głównego artykułu: „Lalkarz atakuje”. Artykuł opatrzone zdjęciem kukielki ze słomy.

– Skąd wiedzą o lalczkach?

– Ktoś od nas się wygadał, a ten, komu się wygadał, pobiegł do gazet. Standard. – Rita wzruszyła ramionami. – I tak by wyciekło prędzej czy później.

– Co teraz?

– Nic, poza tym, że pewnie zacznie się panika. Wyobrażam sobie, jak stary w robocie pluje jadem. Miał wydać oświadczenie, a tu klops, gazety go ubiegły.

Łucja omiotła wzrokiem krótki tekst. Nie znalazła w nim nic interesującego. Najwyraźniej dziennikarz za wszelką cenę chciał przekonać czytelników, że kolejna zbrodnia jest tylko kwestią czasu. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Raczkowski otworzył drzwi auli, z uśmiechem zapraszając ich do środka.

– Szanowni państwo, trochę entuzjazmu – zwrócił się do osowiałych studentów.

– Trudno o entuzjazm, jak takie mroczne rzeczy się dzieją, panie profesorze – oświadczył Mateusz dramatycznym tonem.

Raczkowski nie zwrócił na niego uwagi.

– Szybciej, szybciej, moi drodzy. Mam dla was dzisiaj super wykład o problemach wiary na podstawie lektury Kierkegaarda. Szkoda tracić cenny czas na niepotrzebne narzekanie – oświadczył, ignorując uwagę chłopaka.

Gdy Łucja jako ostatnia weszła do środka, zamknął za nią drzwi i z niegasnącym uśmiechem włączył rzutnik.

Świąteczne piosenki niosły się echem po skrzyżnym się kolorami korytarzu. Witryny błyszczały różnymi odcieniami czerwieni i zieleni.

– Dzień dobry. – Za jej plecami przez zgiełk przedarł się głos, który wydał się znajomy. Zesztywniała, próbując szybko w swojej głowie dopasować wibrujący w uszach baryton do twarzy. Odwróciła się powoli. Szum panujący na korytarzu galerii nieco przycichł. Margalski w czarnym flauszowym płaszczu uśmiechał się kącikiem ust. W rękach miał papierowe torby, z których wystawały czerwone czapeczki.

– Dzień dobry – odpowiedziała zaskoczona jego uprzejmością.

– Skrząty świąteczne są dla rodziców. Moja mama uwielbia tę bożonarodzeniową komercję, postanowiłem więc zrobić jej przyjemność i zakupić te szkaradne stworzenia już w listopadzie. – Spojrzał z udawaną odrazą na pakunki. – A pani? – Przeniósł wzrok na nią.

– Marnuję czas, żeby nie wracać zbyt szybko do zimnego pokoju. – Przygryzła nerwowo wargi, kiedy zdała sobie sprawę, że wypowiedziała tę myśl na głos.

– Naprawdę? W takim razie mam propozycję nie do odrzucenia: proszę za mną. – Wyciągnął rękę w zapraszającym geście.

Zawahala się, gdy wychodzili przez obrotowe drzwi z galerii.

– Proszę się nie niepokoić, to tylko kawałek stąd.

Poprowadził ją wąską ścieżką na tyłach budynku wzdłuż drzwi magazynowych. Wyglądał dziwnie, kiedy przeciskał się w eleganckim płaszczu pomiędzy betonowymi kolumnami. Szła za nim w milczeniu, obserwując jego płynne ruchy.

Kiedy w końcu doszli do niewielkiego budynku wetkniętego między szare, obdrapane biurowce, spojrzała na niego zdziwiona.



- No co? Bar mleczny - odpowiedział ze śmiechem. - Może nie wygląda zbyt reprezentacyjnie, ale zapewniam cię, że zjemy tu najlepsze pierogi, jakie w życiu jadłaś. Przepraszam, pani jadła - poprawił się.

- Zdecydowanie lepiej bez pani - odpowiedziała.

W środku panował przytłaczający półmrok. Okrągłe stoliki nakryte klejącą się ceratą robiły posępne wrażenie.

- Proszę siadać, ja się wszystkim zajmę - oznajmił, machając przyjaźnie do kobiety stojącej za ladą. Najwyraźniej był tu częstym bywalcem.

Łucja posłusznie zajęła miejsce przy pierwszym lepszym stoliku. Po chwili dołączył do niej Margalski z tacą pełną pierogów i dwiema szklankami kompotu.

- Są najlepsze na świecie - oznajmił z entuzjazmem, podając jej sztucce w plastikowym koszyku.

- Poprzeczka jest ustawiona naprawdę wysoko, bo ja jestem koneserką pierogów - odparła, po czym odkroiła kawałek miękkiego ciasta, z którego wypadły poczerwiałe pieczarki.

- Lepiej smakują, niż wyglądają - zapewnił.

- Przestań mnie tak przekonywać, bo zaraz pomyślę, że jest na odwrót.

Jedli, przekomarzając się i rozprawiając o jakichś zupełnie błahych rzeczach. Spięte dotąd ciało powoli zaczynało się rozluźniać, dając jej znać, że jest bezpieczna. Dawno się tak nie czuła. Kiedy wychodziła, miała ochotę zrobić coś, co pozwoli jej wydłużyć tę chwilę, spędzić z Tomaszem więcej czasu.

- Auto już sprawne? - zagadnął, poprawiając jej czapkę. W tym geście było więcej czułości niż w całonocnym dotykaniu z anonimowymi facetami z Tindera.

- Tak, udało się reanimować akumulator.

- To świetnie - odparł. - Niestety nie odprowadzę cię do galerii, bo muszę jeszcze coś załatwić w okolicy. - Machnął dłonią, jakby chciał w ten sposób dodać wiarygodności swoim słowom.

- Jasne, w takim razie dzięki za pyszne pierogi i czas. - Popatrzyła mu prosto w oczy i nie czekając na odpowiedź, skierowała się w stronę wąskiego przejścia wzdłuż magazynowych drzwi.

W pokoju panowało przenikliwie zimno. Pośpiesznie zdjęła zamszowe botki, rzuciła na krzesło ramoneskę i schowała się pod puchową kołdrą. Bolało ją całe ciało. Miała wrażenie, że odczuwa miejsca pod skórą, o których istnieniu na co dzień nie pamiętała. Nagły atak migreny pojawiał się co kilka tygodni, czasem miesiący i dosłownie zwał ją z nóg. Wiedziała, że musi przeczekać, że to minie. Przymknęła oczy. Pod powieki natrętnie wdzierano się światło z lampy. Nie miała siły wstać, żeby ją wyłączyć. Leżała w bezruchu, zawieszona między snem a jawą. Śmiech Margalskiego mieszał się w jej głowie z damskim głosem wzywającym pomocy. Poczula silne mdłości. Świat wokół niej wirował coraz szybciej. Wdech, wydech. Oblizła suche usta. Coś było nie tak. Instynktownie skierowała wzrok w stronę okna. Poczula, jak niewidzialny sznur boleśnie oplata jej żebra. Tam ktoś stał. W ciemności za szybą trudno było dostrzec szczegóły, widziała jedynie zarys sylwetki i błyszczące oczy. Puste i przerażające. Zakryła twarz kołdrą. Leżała tak kilka minut, a może godzin. Zupełnie straciła poczucie czasu. Kiedy w końcu znalazła w sobie odwagę, by znowu spojrzeć w stronę okna, nikogo już nie było. Odetchnęła. Owinęła się jeszcze ciaśniej kołdrą i zasnęła.

Kobieta o siwych włosach upiętych w kok i głębokich zmarszczkach wokół ust gwałtownym szarpnięciem otworzyła lodówkę.

- Rosołu ci tu trochę zostawiam, bez mięsa, ale zawsze to coś ciepłego. Odgrzej sobie, jak zgłodniejesz.

- Postawiła półlitrowy słoik na najwyższą półkę. - Z ojcem się podziel, jakby wrócił - dodała, kładąc obok słoika cztery jajka zawinięte w jednorazówkę. Podeszła do wiszącej nad blatem szafki i wyjęła z niej kilka banknotów. - Wezmę to już na kolejne zakupy, jakby trzeba było zrobić - oznajmiła, wkładając pośpiesznie rulon do kieszeni kraciatej koszuli.

- Dziękuję, ciociu. - Łucja ubrana w spodnie od pizamy i czerwony sweterek przytuliła się do kościstego uda kobiety.

- A idź mi z jakimi czułościakami. Czasu nie mam. Może ci wody ze studni jeszcze przyniosę. Czerpak tylko daj.

- Nie można, woda się zepsuła.

- Co ty gadasz, głupi dzieciaku? Jak to zepsuła?

- Tata mówi, że nie można brać, bo się popsuła.

- Też mi coś, popsuła - prychnęła ciotka z powątpiewaniem. - Ale nie będę tu przed szereg wychodziła, bo potem jakiejś sraczki dostaniesz i będzie, że przeze mnie się pochorowałaś. Zawsze wszyscy jakies pretensje mają, bo ja głupia wszystkim nadskakuję i karku nadstawiam. - Wydęła wąskie usta w grymasie. - Zepsuta to zepsuta, niech ojciec sam się wreszcie zajmie tobą i chałupą, bo ja swoje dzieci mam do niańczenia.

Kiedy zamknęła z łoskotem drzwi, Łucja wspięła się na parapet i patrzyła na oddalającą się sylwetkę ciotki. Tamta szła szybko, nie oglądając się za siebie. Na chwilę zatrzymała się przy studni. Zbliżyła się do krawędzi, jakby chciała zajrzeć do środka, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie i poszła dalej. Łucja przeniosła wzrok z jej zmniejszającej się postaci na małą drewnianą budę stojącą w jesiennym błocie. Od kilku miesięcy była pusta.

Otworzyła gwałtownie oczy. Za oknem przelewały się granatowe chmury, z żyrandola wciąż sączyło się blade światło. Wczorajsze ubrania przywarły do spoconego ciała, mimo że w pokoju nadal było chłodno. Spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma. Miała niecałe pół godziny na szybki prysznic, jeśli chciała zdążyć na zajęcia. Kiedy dwadzieścia pięć minut później zamykała drzwi, włosy były jeszcze wilgotne, więc naciągnęła czapkę na uszy i pobiegła do auta, zatrzaskawszy za sobą furtkę. Nerwowo pociągnęła za klamkę i opadła na zimne siedzenie. Włożyła kluczyki do stacyjki i już miała odjeżdżać, kiedy nagle spostrzegła coś, od czego zrobiło jej się gorąco. Przygryzła usta i odwróciła ze strachem wzrok. Wzięła kilka głębokich oddechów i znów spojrzała na lusterko wsteczne. Wyglądało całkiem zwyczajnie, gdyby nie to, że w miejscu, w którym powinien wisieć odświeżacz powietrza, dyndało coś zupełnie innego. Starannie wypleciona słomiana laleczka z włosami z pomarańczowej wełny i śladami kleju w miejscu, gdzie powinny być oczy. Jakby ktoś je w ostatniej chwili odkleił.

Chciała natychmiast wysiąść z samochodu, uciec gdziekolwiek, byle dalej od straszego znaleziska, ale siedziała w bezruchu, nie panując nad żadnym z mięśni.

## ROZDZIAŁ 5

- Źle się czujesz? Nie wyglądasz najlepiej. - Rita powoli wypuściła dym z płuc.

Łucja nie wspomniała jej o laleczce. Nikomu nie zamierzała o tym wspominać.

- Słabo spałam przez całą noc, a nad ranem nie mogłam się obudzić - wydukała.

- Ja też ostatnio źle sypiam. Ciągłe widzę tę dziewczynę w wodzie - westchnęła ciężko Rita. - Myślę o niej, zastanawiam się, kim była i jak dokładnie umarła.

Szarobure niebo rozbłysło światłem błyskawicy. Po chwili nad głowami przetoczył się ciężki grzmot.

- Burza w listopadzie? - mruknęła Łucja, patrząc w górę spod przymrużonych powiek.

Rita jednak zachowywała się, jakby w ogóle nie dostrzegała tego, co dzieje się wokół.

- Ta dziewczyna z jakiegoś powodu została umieszczona w wodzie już po śmierci. Sekcja potwierdziła uduszenie. Nie daje mi to spokoju. Gdyby sprawca chciał pozbyć się ciała i próbował je po prostu utopić, miałyby to jakiś sens, ale...

- A o co chodzi z tymi lalkami? Macie jakąś teorię? - weszła jej w słowo Łucja, siłąc się na obojętny ton. Przez chwilę bała się, że gdy podniesie do ust drugiego już papierosa, zadrży jej ręka. Nie zadrzała.

- Jestem zwykłym krawężnikiem, nikt mnie nie wprowadza w szczegóły śledztwa.

- Już się nie wykręcaj. Damian raczej nie ma przed tobą tajemnic.

Ricie zadrzały kąciki ust, ale ostatecznie przegrała walkę z samą sobą i uśmiechnęła się, a potem odchrząknęła, starając się to ukryć.

- Cholera wie, jak długo jeszcze będzie w ogóle prowadził tę sprawę. Odkąd media zaczęły w tym grzebać, główna bardzo się zainteresowała. Patrzą na każdy ruch.

- Te lalki to rodzaj trofeum? - drażyla Łucja.

- Nie, trofea sprawcy zwykle zabierają z miejsca zbrodni. To raczej taka... manifestacja. Ale cholera wie czego.

Łucja zawahała się.

- Czy one miały... w sensie te lalki, czy miały odklejone oczy?

Rita spojrzała na nią ze zdziwieniem. Pomiędzy chmurami przetoczył się kolejny grzmot. Grube krople deszczu powoli spadały na chodnik.

- Nie bardzo rozumiem.

- Chodzi o to, czy zabójca nie odkleił im oczu. Zwykłe pytanie.

- Nie wydaje mi się. Zresztą nie jestem przekonana, czy w ogóle im je przyklejał. Nie zwracałam na to za bardzo uwagi, strasznie się trzęsą nad tymi aktami dotyczącymi lalkarza, więc tylko pobieżnie rzuciłam okiem.

Łucja poczuła ulgę, ale zaraz później uczucie ucisku pod żebrami wróciło ze zdwojoną siłą. Pomyślała, że może morderca chciał jej w ten sposób coś przekazać, zakomunikować. Być może myśli, że widziała jego twarz w lesie, kiedy usłyszała głos wzywający pomocy. Próbowała sobie przypomnieć, co się wtedy wydarzyło, ale zamiast wspomnień był tylko pusty kadr wypełniony czernią. Oparła się o ścianę budynku.

- Hej, co ci jest? - zaniepokoiła się Rita. - Może powinnaś pójść do lekarza?

- Nie, nie. Po prostu mam słabszy dzień. Zaraz mi przejdzie.

Kiedy kilka godzin później wylewała masę złożoną z jajek i mleka na suchą patelnię, wciąż czuła drżenie mięśni.

– Z czym podamy te omlety? – Pani Kryisia oparta na drewnianej lasce wychyliła się do przodu, zaglądnąwszy do stojących obok szafek kuchennych kartonów.

Lucja zdjęła pierwszy placek z patelni.

– Powidła, dżemy, sos karmelowy, serek homogenizowany. Co tylko wpadnie wam do głowy, a wcześniej pojawiło się w mojej. Panie Staszku, może pan wypakować te dodatki? – zwróciła się do krępego mężczyzny o rozległej łysinie na czubku.

W odpowiedzi pośpiesznie chwycił za karton i zaczął wyjmować z niego słoiki, paczuski oraz saszetki, a seniorzy wyrwali je sobie z rąk. Wszyscy poza kobietą o krótkich srebrnych włosach, która siedziała nieruchomo, wpatrując się w jakiś niezidentyfikowany punkt na ścianie.

– A pani z czym przygotuje swoją porcję? – zagadnęła ją Lucja, jednak kobieta tylko spojrzała na nią zdziwiona.

Zadała to samo pytanie ponownie, ale i tym razem odpowiedziała jej cisza. Pan Staszek nachylił się nad ramieniem Lucji.

– Pani Wanda raczej rzadko uczestniczy aktywnie w zajęciach. Demencja. Tylko czasem miewa przebłyśki świadomości. Lepiej jej nie stresować.

Zrobiło jej się głupio i wróciła do gotowania, co jakiś czas zerkając na siwowłosą staruszkę, ale ta wciąż siedziała nieruchomo, wpatrując się w ścianę.

Wychodząc ze świetlicy, zaciągnęła się mroźnym powietrzem, które przyniosło jej uczucie ulgi. Nie lubiła tego miejsca. Wsiadła do samochodu, próbując za wszelką cenę uniknąć patrzenia na słomianą lalkę, wetkniętą w schowek na drzwiach kierowcy. Oparła głowę o chłodny zagłówek. Nie chciała się przyznać, że boi się wrócić do pokoju. Myśl o tym, że ktoś obserwował ją w nocy, a później zostawił w jej aucie laleczkę, powodowała bolesne skurcze w dole brzucha. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na słabość. Nie miała jej z kim dzielić, a przez to stawała się bezbronna. Musiała myśleć zadaniowo, być tu i teraz.

Ruszyła powoli, a za szybą przelewała się ciemność rozjaśniana gdzieś w kącie wątlym światłem lamp ulicznych. Przy bramce przywitał ją wyrosnięty bernardyn. Pierwszy raz ucieszyła się na jego widok. Otworzyła drzwi pokoju i zanim zapaliła światło, zasłoniła okno cienką zasłoną w kolorze brudnego beżu. Usiadła w kurtce na łóżku, nasłuchując. Z góry dochodziły czyjeś kroki, a więc współlokatorzy byli w domu. Odetchnęła. Jakby obecność zupełnie obcych ludzi miała zapewnić jej ochronę. Wypełnić deficyt bliskości.

Nawet nie zauważyła, kiedy zaczął się grudzień. Kolejne dni były takie same, jak odbite przez kalkę. Wykłady, zajęcia w świetlicy, długie noce bez snów. Temat lalkarza przestał być gorącym newsem. Nie było następnej ofiary, więc media przestały się nim interesować. Nawet Rita nieco odpuściła, chociaż co jakiś czas wracała w rozmowach do zwłok znalezionych w Choince, podczas gdy ona starała się nie myśleć o dziewczynach zabitych przez lalkarza. Chciała skupić się na prostych czynnościach, wyznaczać krótkodystansowe cele, nie rozpamiętywać i nie czuć. Od zawsze żyła w tym trybie. Przez chwilę w barze mlecznym pozwoliła sobie na zbyt dużo emocji wobec Margalskiego. To mogło ją osłabić, a ona musiała być silna. Kolejne spotkania z facetami bez twarzy z aplikacji randkowej pozwoliły wrócić jej na właściwy tor. Seks miał być odskocznią od rzeczywistości i w żaden sposób nie łączyć się z tym, co tu i teraz.

Tego grudniowego poranka, chłodniejszego niż poprzednie, cienka warstwa śniegu oprószyła domy, chodniki i drzewa, zasłaniając szarość oraz brzydotę. Lucja jechała powoli, modląc się, żeby samochód nie odmówił posłuszeństwa. Za pół godziny miała zaliczenie ze wstępu do filozofii. Wiedziała, że młoda doktorantka nie będzie robiła problemów i przepuści wszystkich, którzy się pojawiają, a z zalką z ćwiczeń

będzie mogła podejść do zerówki. Ten egzamin zapowiadał się chyba najpoważniej ze wszystkich, które musiała zdać podczas zimowej sesji. Kiedy wjeżdżała do Olsztyna, odezwał się telefon.

– O tej porze? – mruknęła zdziwiona, wyjmując smartfon z kieszeni ramoneski. Kątem oka spojrzała na ekran, na którym wyświetlił się nieznany numer. Odebrała, przyciskając telefon ramieniem.

– Dzień dobry, tutaj Anna Bartkowska, sołtysowa Kwietników. Słyszysz mnie pani? Bo coś strasznie trzeszczy.

Zaniemówiła, zastanawiając się, czego kobieta może od niej chcieć.

– Halo, jest tam pani?

– Dzień dobry. Tak, jestem, przepraszam, ale prowadzę auto.

– Dostałam pani numer od znajomej. Dzwonię, żeby przekazać smutną wiadomość.

– Może pani chwilę poczekać? Zatrzymam się tylko. – Zjechała na pobocze, włączając światła awaryjne. – Już jestem. O co więc chodzi?

– Pani Tereska wczoraj zmarła. Jest pani jej jedyną krewną. No, poza synami, ale jeden mieszka za granicą i raczej nie pofatyguje się na pogrzeb, a drugi... No to sama pani wie, więc pomyślałam, że pewnie chciałaby pani wiedzieć.

Nie poczuła kompletnie nic. Podświadomość kazała jej się zmusić do jakiegoś rodzaju smutku lub nostalgii, ale zamiast tego pojawiło się jedynie lekkie odrętwienie.

– Dziękuję za informację. Kiedy odbędzie się pogrzeb? – spytała po chwili milczenia.

– Pojutrze w naszym kościele w Kwietnikach z samego rana o ósmej trzydzieści. Z Bogiem. – Kobięcy głos rozpląnął się w sygnale przerwane połączenia.

Przez chwilę stała jeszcze na poboczu, ignorując nienawistne spojrzenia mijających ją kierowców.

– Tutaj będziesz spała. – Żyłaste dłonie ciotki Teresy zacisnęły się na oparciu słowiańskiej wersalki.

– Na korytarzu? – Łucja zmarszczyła pokryte pojedynczymi piegami czoło.

– Nie wybrzydź. U was w domu też luksusów nie było. Do ruiny zupełnej z ojcem chałupę doprowadziliście. Nikt tego nawet kijem nie chce teraz ruszyć. Więc bez fochów mi tutaj.

– Ciociu, ale tu jest zimno i ja się będę bała sama.

– Ojciec całe noce szlajał się po wsi nachlany i się nie bałaś.

– Ale byłam w swoim pokoju z moimi misiami.

– Dość tych dyskusji. Śpisz tu i kropka. Chcesz, to weź sobie jakiegoś pluszaka z pokoju chłopaków. – Ciotka zaczęła zbierać ubłocone buty z gumolitu i wrzucać do zmatowiałej drewnianej komody.

– A nie mogłabym... – dziewczynka się zawahała – ...z tobą?

Kobieta prychnęła.

– Chybaś do reszty zdurniała. Swoje dzieci już wyniańczyłam, kolejnych nie zamierzam. Może i mój braciszek, a twój ojczulek postanowił się zachlać na śmierć, ale to jeszcze nie znaczy, że będę się teraz bawić w małe bachory. Moje są już duże, więc jeśli chcesz z nami mieszkać, też musisz dorosnąć. Chyba że wolisz do biduła.

Łucja nie odpowiedziała. Utkwiła wzrok w swoich obgryzionych paznokciach.

– A mogłybyśmy zabrać misie z mojego pokoju? – zapytała cicho, chwytając ciotkę za długą kwiecistą spódnice.

– A niech mnie, moja noga w tym domu nie postanie! Mogę się tylko domyślać, co tam się wyprawiało. Twój ojczulek zawsze miał swoje za uszami. Najlepiej, gdyby tę rudę ognia pochłoniął!

Siwy kok zniknął w ciemności czającej się na drugim końcu korytarza.

Spóźniła się na zajęcia ponad dwadzieścia minut. Kiedy weszła do sali, wszyscy gorączkowo pochyłali się nad kartkami. Rita posłała jej zdziwione spojrzenie.

– Czy mogłabym jeszcze przystąpić do zaliczenia? – zapytała, zajmując miejsce w ostatniej pustej ławce.

– Jeśli czuje się pani na siłach napisać wszystko w skróconym czasie. – Doktorantka podała jej kartkę z pytaniami.

– Dam radę – odpowiedziała, omiatając wzrokiem zagadnienia.

Zaczęła gorączkowo pisać wszystko, co tylko przyszło jej do głowy, jednak myśli wciąż krążyły wokół Kwietników i ciotki Teresy. Nie miała ochoty jechać na pogrzeb, oglądać tego miejsca, chłonąć zapachu łąk i wspominać czegokolwiek, co wiązało się przeszłością. Była dopiero w połowie testu, kiedy do jej świadomości wdarł się głos:

– Mili państwo, kończymy powoli.

– Kurwa – syknęła, kreśląc coraz bardziej niewyraźne słowa. Kilka minut później z przecuciem porażki położyła zmiętą kartkę na sosnowym biurku.

– Chodź zapalić – mruknęła jej do ucha Rita.

Wyszły na zewnątrz. Grube płatki śniegu opadały im powoli na twarze.

– Oszalałaś? Spóźniasz się na zaliczenie? Przecież miałyśmy podejść do zerówki – zaczęła Rita od wymówek, zapalając papierosa.

– Nie miałam takiego zamiaru – mruknęła Łucja, wpatrując się w swoje trampki, wokół których tworzyły się kałuże roztopionego śniegu. – Ciotka mi umarła i akurat po drodze odebrałam telefon.

– Ojej, przepraszam. Przykro mi.

– Mnie nie bardzo, była wredną suką. Najchętniej to wcale bym nie pojechała na ten pogrzeb, ale... – zawiesiła głos, napotykać skonstruowane spojrzenie koleżanki.

– Skoro tak, to daj sobie spokój. Nie ma sensu robić tego z poczucia obowiązku.

Łucja przygryzła suche wargi. Miała niejasne wrażenie, że powinna tam być, że jest to winna. Nie ciotce, ale ojcu.

– A ty jeszcze nieubrana? Za dziesięć minut wychodzimy. – Ciotka w upiętych niedbale wsuwkami tłustych włosach i czarnej garsonce kręciła się po pokoju.

– Ja nie chcę iść. – Łucja potarła zaropiałe oczy.

Ciotka Teresa spojrzała na nią z irytacją.

– Jak to nie chcesz? Ojca nie pochowasz?

– Nie idę – powtórzyła.

– Posłuchaj, moja panno. Mój brat może i nie był świętoszkiem, ale... On po prostu nie miał łatwego życia – dokończyła po chwili. – Ale wszystko robił wyłącznie dla was, dla ciebie. I tak się zaharował, że zaczął chlać, a później już nie był sobą. To wszystko z przepracowania. Gdyby twoja matka pofatygowiała swój chudy tyłek i poszła do pracy, to może by taki nie był.

Łucja zakryła uszy rączkami. Nie chciała tego słyszeć. Ani jednego słowa.

– Masz osiem lat i nie będziesz mi tu rządzić, gówniaro... Natychmiast maszeruj na górę!

– Mam dziewięć lat i nigdzie nie idę! – Zdziwiła się, słysząc swój krzyk. – Jak tam pójde, to on zniknie. Na zawsze, jak mama! – Pobiegła do łazienki i szybko przekręciła zamek w drzwiach.

Ciotka stała tam przez chwilę, aż w końcu westchnęła z irytacją.

– A rób, co chcesz, smarkulo. Jedno wiem na pewno: w trumnie się będzie przewracał, że jego ukochana córusia go nie pochowa, ale to twoje sumienie.

Miarowe skurcze podbrzusza zmusiły ją do wstania godzinę przed budzikiem. Przez szparę między karniszem a zasłonami widać było wąski pasek czerni. Na zewnątrz musiało być jeszcze ciemno. Niechętnie poczłapała pod prysznic. Tak długo stała pod gorącym strumieniem wody, że lustra i szyby okna całkowicie zaparowały. Kiedy w końcu wyszła z łazienki, czuła drzenie każdego mięśnia. Włożyła ciemne dżinsy, naciągnęła grubego beżowy sweter, na który narzuciła ramoneskę, i wyszła z domu.

- Tak wcześnie wychodzisz? - Usłyszała za plecami ciepły głos Moniki.

- Ach, muszę jechać do rodzinnego domu... coś załatwić - dokończyła po chwili wahania.

- No tak, ja z kolei pędzę do laboratorium. - Kobieta uniosła plastikowy pojemnik wypełniony moczem, jakby wznosiła toast.

Łucja uśmiechnęła się z przymusem.

- Który to tydzień? - zapytała kurtuazyjnie, chociaż w ogóle jej to nie interesowało.

- Rozpoczęty dwudziesty dziewiąty.

- To już chyba niedaleko.

- Już bliżej niż dalej. Jestem już trochę spokojniejsza. Na początku bardzo się bałam, bo pierwszą ciążę straciłam w siedemnastym tygodniu. - Monika położyła dłoń na brzuchu widocznym spod paska flauszowego płaszczka. - A teraz już oby do rozwiązania.

- Szybko zleci.

- Mam nadzieję, bo kręgosłup już teraz odmawia posłuszeństwa. - Uniosła rękę, wciskając czarny przycisk pilota. Drzwi garażowe zaczęły się powoli unosić. - Karl! - zawołała.

Po chwili zza ośnieżonych krzaków wybiegł bernardyn.

- Do domu, ale już! Zamiast wsiadać sobie w ciepłym garażu do auta, muszę cię szukać po ogrodzie - powiedziała ze śmiechem, głaszcząc wilgotny łeb psa.

- W takim razie pomyślnych wyników - mruknęła Łucja, wychodząc przez oprószoną śniegiem furtkę.

Ruszyła powoli, jakby w ten sposób chciała opóźnić moment dotarcia do Kwietników. Odkąd dorosła, zrozumiała, że ciotka Teresa była uosobieniem zła. Nie jechała, żeby ją pożegnać - chciała jedynie zrekompensować ojcu to, że nie poszła na jego pogrzeb. Pochować go razem z nią. Był jedyną osobą, która naprawdę ją kochała. Może poza matką, chociaż nie. Jej nie pamiętała zbyt dobrze. Jego głos, sposób chodzenia, chrapliwy papierosowy oddech wryły się w jej wspomnienia. Dużo wyraźniej niż to, co zrobił.

Po niespełna dwóch godzinach jazdy minęła zieloną tablicę z napisem „Kwietniki”. Niewielkie parterowe domy o brudnych elewacjach wyglądały przygnębiająco w otoczeniu wszędobylskiej brzydoty. Jechała szybko, nie rozglądając się na boki. Jakby znajomy widok mógł przywołać wspomnienia, których nie chciała pamiętać. Zatrzymała się dopiero przed drewnianym kościołem bez okien. Przed drzwiami stały trzy osoby: dwie starsze kobiety i łysiejący mężczyzna. Dochodziła ósma trzydzieści. Łucja uchyliła szybę i odpaliła papierosa. W aucie czuła się bezpiecznie. Nad metalowym krzyżem, błyszczącym na szczycie dzwonnicy, wisiały gęste szare chmury. Powoli wypuściła dym z płuc. Zaczęło padać. Duże krople deszczu uderzały o dach golfa. Niespodziewanie poczuła, jakby ktoś zacisnął sznur wokół jej żeber. Do grupy osób stojących przed kościołem dołączył właśnie łysy, niski dryblas o wyraźnie zarysowanych ramionach.

- Arek - mruknęła do siebie.

Wyrzuciła niedopalonego papierosa i drżącą ręką odpaliła samochód. Silnik zgasł. Spróbowała ponownie. Tym razem się udało. Ruszyła z piskiem opon, nie oglądając się za siebie.

- Świniak jest do przerobienia u Jeżowskich, wróć późno. Arek, pilnuj tu wszystkiego, bo jesteś najstarszy i tylko do ciebie można mieć zaufanie! - krzyknęła z przedpokoju ciotka Teresa, zakładając zniszczone pegegi.

- Ciociu, mogę z tobą? - spytała błagalnie Łucja, chwytając ją za ramię.

Kobieta się odsunęła.

– Chybaś do reszty zdurniała. Ja tam idę pracować, a nie cię niańczyć.

– Proszę! – Dziewczynka padła na podłogę i uczepiła się jej nóg. – Proszę, ja nie chcę tu zostać. Boję się.

– Co ty wyprawiasz?! – Ciotka odgoniła się od niej jak od natrętnego owada i spojrzała ze złością. – Czego się niby boisz?

– Arka – powiedziała cicho Łucja, nie wstając z podłogi.

Ciotka prychnęła powątpiewająco, włożyła krótką flauszową kurtkę i wyszła z domu. Przez otwarte przez chwilę drzwi do środka wlał się strumień lodowatego powietrza. Dziewczynka objęła rękami kolana, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Co tu robisz, gnido? – Z kuchni wyszedł przyszczaty blondyn, wpychając sobie do ust garść czipsów.

– Nic, już idę spać – zapewniła szybko.

– To cicho tam masz być, bo zaraz Dawid z Arturem na browarka wpadają, więc obciachu mi nie rób, bo pożałujesz.

Spojrzała na niego ze strachem.

– Co się tak gapisz? Spieprzaj na górę, szczawiu.

Posłusznie wbiegła po zimnych schodach. Jej łóżko stało na korytarzu wciśnięte między drzwi. Zdjęła zmechacone dresy z polaru i wciągnęła na wychudzone ciało koszulę nocną w czarne kropki. Przykryła się szorstkim kocem pod samą szyję i niemal od razu zasnęła, jakby chciała w ten sposób uniknąć tego, co miało nastąpić później.

Obudził ją głośny śmiech, przez który przebijał się niski głos.

– Złaż tu, zasrany smarku! Natychmiast!

Towarzyszyły mu oklaski i pojedyncze gwizdy.

– Zejdziesz tu sama albo po ciebie pójde!

Łucja czuła narastającą panikę. Oniemiała z przerażenia, powoli zeszła na dół. W przedpokoju unosił się zapach piwa pomieszany z kwaśnym smrodem tytoniu. Z kuchni sączyło się blade światło. Trójka nastolatków siedziała przy zastawionym pustymi puszkami stole.

– Jest i nasza gwiazda wieczoru. – Nastolatek o szerokich barkach gwizdnął, wkładając palce z obgryzionymi paznokciami do ust. To samo zrobiła pozostała dwójka chłopaków. Jeden z nich miał szeroką bliznę na czole.

Wiedziała, co to znaczy. Zawsze zaczynało się tak samo.

– Zgadnij, o co dzisiaj się założyliśmy. – Arek posypał zwitek papieru tytoniem.

Dziewczynka głośno przełknęła ślinę.

– Odpowiadaj, jak się do ciebie mówi. – Chudy brunet poklepał ją mocno po policzku.

– Nie wiem – mruknęła, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

– Mów! – ryknął Arek, odpalając skręta.

– Nie wiem – odpowiedziała głośniej. Zapiekły ją oczy.

– Otóż będziesz miała okazję spędzić trochę czasu na świeżym powietrzu.

– Boisz się ciemności? Zresztą bez różnicy, i tak masz przejebane. – Chłopak z blizną zaśmiał się ochryple.

Ciepła strużka spłynęła jej po udzie aż do kostki.

– Zobaczcie, zeszczala się! – Jeden z nastolatków wyciągnął w jej stronę palec wskazujący z długim poźółkłym paznokciem.

– No to masz jeszcze bardziej przesrane. Obszczana na tym mrozie raczej szybko zmarzniesz, no ale twój problem. – Arek sztachnął się ostatni raz i wcisnął peta pomiędzy inne wystające z przezroczyściej popielniczki. – Twoje dzisiejsze zadanie jest takie. Idziesz na dwór, dokładnie tak jak stoisz, na bosaka



i bez kurtki. My spuszczaemy Azora, ty wchodzisz do jego budy i siedzisz tam, jak najdłużej wytrzymasz. Wkurwi się, więc lepiej, żeby cię nie zauważył. Później cię z tego rozliczymy. Każde dziesięć minut spędzone w jego budzie to jedno uderzenie kabla mniej. Rozumiemy się? Chyba warto powalczyć, co, młoda?

Spojrzała przez okno, za którym panowała przenikliwa ciemność. Panicznie bała się Azora. Był kundlem o długiej sierści i pysku boksera, w niczym nie przypominał Dina. Nienawidził wszystkiego, co żyło.

Zaparkowała golfa przed przekrzywioną bramką wciśniętą między dwa przesła dziurawej siatki. Chaszcze rosnące wzdłuż prowizorycznego płotu kiwały się rytmicznie na wietrze. Włożyła rękę do kieszeni ramoneski i dotknęła zimnych kluczy. Zmrużyła oczy, patrząc na niewielki dom z czerwonej cegły, stojący w głębi podwórka. Z prawej strony otaczały go pozostałości po budynkach gospodarczych, z lewej, pomiędzy zaroślami, dało się dostrzec zarys studni. Kawałek dalej stał biały fiat. Jakby czas się zatrzymał. Od śmierci ojca była tu może trzy razy. Gdyby po wsi nie rozniosły się plotki, że tutaj straszy, dom pewnie stałby się przyczółkiem lokalnych meneli, jednak opowieści o zjawiskach paranormalnych, które rzekomo miały tu miejsce, skutecznie zniechęciły lokalnych pijaczków. Społeczność Kwietników od zawsze była bardzo religijna. Nikt nie chciał zadzierać z samym czartem, który pociągnął Muzykową, a później jej męża do grobu. W istocie żadnego demona nigdy nie było, a straszne opowieści rozpuszczała i przez lata podsyciała sama ciotka Teresa. Nie chciała, by ktokolwiek tu zaglądał. Miała pewne podejrzenia, ale brakowało jej odwagi, by je potwierdzić.

Łucja poruszyła się niespokojnie. Nie potrafiła znaleźć w sobie siły, by wejść do środka. To miejsce wciąż wydawało jej się przeklęte, a jednocześnie budziło niezidentyfikowaną tęsknotę za ojcem. Jedyną osobą, która ją kochała. Z plastikowej szufladki pod deską rozdzielczą wyciągnęła słomianą lalkę bez oczu. Przeszył ją dreszcz. Jakby to miejsce uwolniło całe zło kryjące się za pozornie niewinną kukielką. Przez chwilę zastanawiała się, czy powrót Arka nie łączy się w jakiś sposób z lalkarzem, szybko jednak odrzuciła tę myśl. Nie chciała podsycać strachu, który powoli kielkował w jej głowie.

- Nie kręć się, dziewczyno. - Ciotka połała obficie rany na jej klatce piersiowej wodą utlenioną. Zasyczało i Łucja poczuła dotkliwe pieczenie rozlewające się po skórze.

- To tak bardzo boli! - załkała.

- Trzeba było nie włączyć do psiej budy. Pan Bóg cię chyba opuścił. Zresztą co się dziwić, niedaleko pada jabłko od jabłoni - mruknęła kobieta, wylewając kolejną strugę płynu na poranione ciało.

- To Arek mi kazał.

Ciotka spojrzała na nią ze złością.

- Co ty też opowiadasz, wstrętny dzieciaku?! Arek ci kazał w samej koszuli nocnej na bosaka latać po podwórku i psa rozwścieczać?!

- Tak, Arek.

- Jak będziesz takie głupoty opowiadać, to cię oddam do bidula, bo wysłuchiwać tego nie będę.

- Ale, ciciu, naprawdę. Ja...

- Wcale się nie dziwię, że twoja matka cię nie kochała! Masz chorą krew, jak twój ojciec! - zaperzyła się kobieta. - Jesteś jakaś popsuta. Może to wszystko by się tak nie skończyło, gdybyś nigdy się nie urodziła.

W jasnej kuchni roznosił się zapach smażonej ryby.

- A panienka co robi w święta? - zapytał wesoło pan Staszek, przekładając dorodnego karpia z patelni na talerz.

Przy stole kilka starsuszek w skupieniu lepiło pierogi. Na długim blacie błyszcząły bloki czekoladowe. Pani Wanda bez słowa wpatrywała się w okno, o które bezszelestnie uderzały płatki śniegu.

– Właściwie to nic – odpowiedziała Łucja.

– Jak to nic? Przecież w święta trzeba coś robić.

– Ja spędzam je po swojemu.

Mężczyzna o wyraźnych zakolach zmarszczył czoło.

– Z rodziną trzeba się spotkać. Pogadać. Tak jest najweselej.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, dlatego szybko zmieniła temat.

– Chyba powoli będziemy siadać do stołu. Pani Halinko, pani Krysiu, proszę tutaj z tymi półmiskami, trzeba sałatki nałożyć.

– Ale chyba jeszcze opłatkami się przedtem przełamiemy. – Starszka w ciemnoróżowej garsonce wyjęła kopertę z torebki.

– To nie będzie konieczne – odparła Łucja.

– A gdzie tam nie będzie konieczne. Pewnie, że konieczne. Wystawmy wszystko na stół, a później zgodnie z tradycją podzielimy się opłatkami. – Pan Staszek włożył patelnię do głębokiego metalowego zlewu.

Powtórzyła kilka razy tę samą banalną i nieszczerą formułkę, wymieniła kilka uścisków. Zapach starych ludzi wrzynał jej się w nozdrza. Czuła się jak w potrzasku. Starła się oddychać miarowo, żeby uspokoić narastającą panikę, która rozpulchniała gardło i napinała mięśnie szyi.

„Jeszcze tylko pani Wanda”, powtarzała w myślach. Zgarbiona starszka stała przy oknie, niemrawo potakując głową w odpowiedzi na składane jej przez innych pensjonariuszy życzenia. Łucja odczekała, aż pani Krysia zakończy swój wywód o życiu w Bożej łasce, i podeszła niepewnie.

– Dużo szczęścia, zdrowia i spełnienia marzeń – wymruczała bez przekonania, nachylając się nad starszuską.

– Zosiu kochanieńka, jak się czujesz? – odpowiedziała niespodziewanie pani Wanda, gwałtownie się ozywając.

Nie miała pojęcia, jak zareagować.

– Zosia, co ty dziecko tak patrzysz? Mdli cię? Mój wnuczek daje ci pewnie popalić. A właśnie, wiadomo już czy to chłopiec, czy dziewczuszka?

– Pani Wando, to ja, Łucja. Prowadzę zajęcia kulinarne – wyszeptala niepewnie po długiej pauzie.

– Co też opowiadasz, kochanieńka. Przecież widzę, że to ty. Mnie starą chcesz nabrać? To jakaś zabawa? Żarty? – W głosie kobiety zabrzmiało zdenerwowanie.

– Pani Wando, proszę. Może wyjdziemy na świeże powietrze.

– Jaka pani? Dlaczego tak do mnie mówisz? Co tu się wyprawia? – Ostatnie pytanie kobieta wykrzyczała łamiącym się głosem.

Pan Staszek wziął ją delikatnie pod rękę.

– My już pójdziemy. Chodź, chodź, Wandziu.

– Ja nie chcę nigdzie iść! Chcę zostać z Zosią i moim wnukiem. Puszczaj, wstrętny dziadzie!

Kiedy mężczyzna, nie zważając na jej opór, wyprowadził ją z sali, zapadła cisza. Wszyscy utkwili wzrok w podłódze, jakby zawstydzeni tym, co przed chwilą zobaczyli.

Kolacja ciągnęła się w nieskończoność. W końcu Łucja z ulgą wsiadła do samochodu. Dotknęła zimnej kierownicy i powoli ruszyła przed siebie.

## ROZDZIAŁ 6

Dni zlewały się w ciąg plam o nieregularnym kształcie. Zajęcia w świetlicy zostały okrojone do minimum, co przyjęła z ulgą. Po ostatnim ataku pani Wandy to miejsce wywoływało w niej jeszcze bardziej negatywne emocje. Życie zawęziło się więc do granic uniwersytetu i zimnego pokoju w Świerczynach. Codziennie przed snem Łucja dokładnie zasłaniała okno, jakby spodziewała się, że ktoś może się za nim pojawić. Tak jak tamtej nocy. Lalkę ukryła głęboko na dnie jednej z szuflad i postanowiła wyprzec jej istnienie ze swojej świadomości.

– Jeszcze tylko zerówka ze wstępu do filozofii i święta – mruknęła Rita, przerzucając torbę przez ramię. Korytarz rozbrzmiewał mieszaniną rozmów i muzyki.

– Nie wiem, czy w ogóle próbować – westchnęła Łucja. – Raczkowski mówił, że zerówka też będzie w formie ustnej, a ja jakoś nie czuję się na siłach.

– Daj spokój, on podobno jest dużo bardziej lajtowy na zerówkach niż na egzaminie we właściwym terminie. Co nam szkodzi spróbować? Wysłę ci notatki, załatwiłam takie super od tej nawiedzanej laski, co wpatruje się w Raczka maślanymi oczami.

– No sama nie wiem.

– Jutro rano widzę cię pod jego gabinetem i koniec – oznajmiła stanowczo Rita. – Co robisz w święta? – zapytała nieco łagodniej.

– Co wy wszyscy macie z tymi świętami? Nic nie robię, jem chipsy i oglądam Netflixa.

– Sorki, nie wiedziałam, że to jakiś drażliwy temat. Ja mam służbę w wigilię, ale kolejne dwa dni będę obżerała się do porzygu i piła litrami czerwone wino.

– No to ja mniej więcej podobnie, tylko bez asysty śmierdzących tanimi perfumami ciotek i charczących na talerzyk wujków.

– W takim razie wygrałaś – roześmiała się Rita i na szczęście skończyła już maglować temat świąt.

W drodze do domu Łucja kupiła na stacji benzynowej dwa hot dogi z sosem tysiąca wysp i trzy energetyki. Miała zamiar przygotować się do egzaminu na tyle, by przynajmniej uniknąć kompromitacji. Włączyła komputer i zmusiła się do tego, by otworzyć dokument od Rity.

– Cholera, pięćdziesiąt stron – mruknęła, przewijając nerwowo tekst.

Próbowała czytać, ale co kilka zdań jej myśli odpyływały w zupełnie innym kierunku. To, że Arek pojawił się na pogrzebie ciotki, było dla niej pełnym zaskoczeniem. Sądziła, że po tym wszystkim chłopak nigdy nie wróci do Kwietników, a jednak się pojawił. W dodatku jego powrót niepokojąco zbiegł się z zabójstwami przypisywanymi lalkarzowi. Skupiła się znów na zagadnieniach traktujących o źródłach poznania. „*Idea innatae*, pojęcia i myśli wrodzone” przeczytała, zagryzając zimnego już hot doga. Z wysiłkiem przedzierała się przez kolejne zdania, ale ich sens stawał się coraz mniej zrozumiały.

Obudziła się z uczuciem strachu palącym w przełyku. Komputer wciąż żarzył się niebieskim światłem. Spojrzała na zegarek. Dochodziła czwarta trzydzieści. Uznała, że nie ma sensu walczyć z paraliżującym zmęczeniem. Zamknęła klapę laptopa, okryła się kocem i zasnęła.

Trzy godziny później nerwowo paliła papierosa przed wydziałem, dygocząc z zimna. Za plecami usłyszała krótkie „hej”.

– Już myślałam, że jednak zdezerterowałaś – powiedziała na widok Rity.

– Nie, no coś ty. Spróbować warto, chociaż jestem totalnie nieprzygotowana. – Dziewczyna wyjęła opakowanie papierosów, z którego wystawała mentolowa wkładka.

- Daj spokój - zachnęła się Łucja. - Te notatki były tak potwornie nudne, że nawet nie wiem, kiedy zasnęłam.

- To i tak umiesz więcej niż ja, bo nawet ich nie otworzyłam.

Łucja spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Myślałam, że ty z tych sumiennych. W końcu zawód zobowiązuje.

Rita rozejrzała się nerwowo na boki. Wokół nie było nikogo. Najbliższa grupka studentów stała przy drzwiach wejściowych jakieś dwieście metrów od nich.

- Chłopaki zakończyły przeszukiwanie Choinki - powiedziała ściszym głosem.

- I?

- I potwierdziło się, że zwłoki były tam przetrzymywane pod prowizorycznym pomostem dla łódek schowanych w szuwarach. Trafiliśmy na części czegoś w rodzaju uprzęży. On nie chciał utopić ciała, nie pozbywał się dowodów, tylko raczej... zostawił je sobie na pamiątkę. - Wzdrygnęła się. - Poza sezonem nikt tam nie trzyma łódki, więc pewnie założył, że to bezpieczna kryjówka. Biegli mają hipotezę, że umieścił je tam po to, by móc w to miejsce zaglądać. Przynajmniej w taki sposób skonstruował tę uprzęż.

- Zaglądać? Kto chciałby... - Łucja urwała i przełknęła głośno ślinę. Na samą myśl o tym poczuła gwałtowne mdłości.

- Nie, nie. Nie robił tego w celach seksualnych - odparła Rita, domyślając się, o co jej chodzi. - Pewnie po prostu obserwował rozkładające się w wodzie zwłoki. Ohyda! - Wydęła usta z obrzydzeniem. - On jest chyba bardziej popieprzony, niż ktokolwiek przypuszczał. A takich świrów lepiej nie lekceważyć. - Spojrzała nerwowo na wyświetlacz samsunga z potłuczonym górnym rogiem ekranu. - Idziemy? Za dziesięć minut zaczynamy, a moje nazwisko jest na B, więc pewnie wejść jako jedna z pierwszych.

Pół godziny później Łucja z żołądkiem związanym w supeł stała pod drzwiami gabinetu Raczkowskiego. Obok niej zadowolona z siebie Rita przeglądała Instagram.

- Pamiętaj tylko, żeby coś gadać. Cokolwiek, co ci przyjdzie do głowy. Ja mówiłam od rzeczy, a trójczynę jakoś wywalczyłam. Mati był przede mną, podobno zaciął się kompletnie i oblał - mruknęła, nie odrywając wzroku od ekranu.

Przez przeszklony sufit prześwitywały ciemne chmury. Łucja próbowała uspokoić oddech. Myśli galopowały w nieznanym kierunku.

Siedziała na wersalce rozłożonej pod brudną ścianą w pomarańczowe wzorki. Spod koszuli nocnej wystawał poszarzały bandaż.

- A ty nadal tutaj?

Nie odpowiedziała. Zaciśnęła tylko kurczowo palce, jakby chciała w ten sposób obronić się przed Arkiem.

- Leż, leż. Matka mówiła, że musisz odpoczywać - mruknął i usiadł obok niej na łóżku.

Zastygła w bezruchu z przerażenia. Powietrze boleśnie skumulowało się w płucach. Nie miała odwagi, by je wypuścić.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że Azorowi było przykro, że tak szybko go zostawiłaś. Podobało mu się towarzystwo - zaśmiał się.

Przygryzła usta. Poczowała metaliczny smak.

- No i tak sobie pomyślałem, że mu kogoś podrzucę w twoim zastępstwie.

Wstał i nachylił się nad nią tak, by każde słowo wpadło prosto do jej ucha. Czowała jego kwaśny oddech i rozbryzującą się ślinę.

- No i uznałem, że najlepiej w twoim zastępstwie wypadnie Mruczek. Znalazłem go pod schodami, ale mocno się opierał. Nawet mnie zadrapał zaszary kocur.

Wypuściła powietrze, łapczywie wciągając do płuc kolejną porcję tlenu. Jeszcze wczoraj tuliła miękkie kocie futro. Czuła bijące pod skórą małe serduszko.

– Proszę, niech pani usiądzie.

Głos Raczkowskiego brzmiał łagodnie. Nieco tłuste włosy opadały mu na ramiona, przez pomazane okulary przebijały szare oczy. Duszący zapach korzennych perfum roznosił się w gabinecie zagraconym książkami, które zajmowały nie tylko trzy wysokie regały, ale wały się też po biurku i podłodze.

Opadła na krawędź krzesła. Podał jej zakurzoną szklaną kulę z pociętymi paskami papieru.

– Teraz wystarczy wylosować, odpowiedzieć i po krzyku – uśmiechnął się przyjaźnie, prezentując nierówne zęby.

Wyjęła pierwszą lepszą karteczkę i omiotła wzrokiem zagadnienia. „Jaka jest natura materii w ujęciu Kartezjusza?” – brzmiało pierwsze. Nie знаła odpowiedzi. Z nadzieją spojrzała na kolejne: „Podaj reprezentantów epistemologicznego idealizmu immanentnego”. W głowie miała kompletną pustkę. Z rezygnacją przeczytała ostatnie pytanie: „Scharakteryzuj koncepcję trzech światów Poppera”. W tej kwestii też nie miała nic do powiedzenia. Odchrząknęła.

– Nie będę zabierać czasu panu profesorowi, bo obawiam się, że nie znam odpowiedzi na te pytania.

Spojrzał na nią rozczarowany.

– Nawet pani nie spróbuje? Może jednak warto powalczyć?

– Niestety, ale składam broń. Nie chcę kompromitować siebie ani umniejszać wagi tego egzaminu opowiadaniem bzdur.

Zmrużył oczy.

– Bardzo dojrzała postawa. Ale u mnie na zerówkach zwykle obowiązują pewne bonusy w formie jednego pytania ekstra, które może zmienić los każdego egzaminu. Chce pani je usłyszeć?

Nie chciała. Wiedziała, że z tym stanem wiedzy trudno będzie trafić na zagadnienie, które pozwoli jej zdać ten egzamin.

– Chyba będzie lepiej, jak się douczę i przyjdę we właściwym terminie – odpowiedziała wymijająco.

– Proszę tak szybko nie rezygnować. Jeśli nie będzie chciała pani odpowiedzieć, po prostu się pożegnamy. W tym przypadku nie ma żadnego ryzyka, przynajmniej po pani stronie – zaśmiał się i zawiesił głos, jakby chciał coś dodać, ale ostatecznie się rozmyślił.

– W takim razie chyba nie mam wyjścia i muszę usłyszeć to pytanie ratunkowe – odpowiedziała, marząc o tym, by jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz.

– Dla wszystkich jest takie samo, więc nie trzeba losować. Proszę odpowiedzieć, czy śmierć dla nieżyjącego człowieka jest dobra czy zła, i uzasadnić swoją odpowiedź.

Poczuła, jak krew zaczyna coraz szybciej krążyć w żyłach. Śmierć w jej życiu zajmowała ważne miejsce, miała więc na ten temat dużo do powiedzenia.

– Warto odwołać się tutaj do stanowiska Martina Heideggera, który wskazywał, że wymiar naszej egzystencji wyraża się w bycie ku śmierci... – zaczęła ostrożnie.

Z każdym wypowiedzianym przez nią zdaniem oczy Raczkowskiego coraz bardziej błyszczały.

Kilka minut później z ulgą wyszła na korytarz.

– I co? – spytała Rita, ściskając w dłoni paczkę papierosów.

– Jakoś wycisnęłam trójkzynę – mruknęła.

– Widzisz, mówiłam.

– Gdyby nie to pytanie ratunkowe, w życiu nie dałabym rady.

Dziewczyna spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– To o śmierci?

– Yhym.

– Skąd ty, do cholery, wiedziałaś, co powiedzieć?

Łucja sięgnęła do torby po croissanta.

– Kiedyś dużo czytałam na ten temat – odparła wymijająco.

Rita parsknęła śmiechem.

– To brzmi trochę dziwnie, ale chyba nie chcę wiedzieć, bo od razu wyobrażam sobie ciebie jako emonastolatkę ze śmiesznymi kreskami na oczach.

– Lepiej się do tego nie przyznawaj – wyszeptwała teatralnie Łucja. – Na całym tym wydziale tylko my jesteśmy na tyle stare, by wiedzieć, co znaczy emo.

– A ta jak zawsze to samo! Daj już spokój, bo przez to twoje paplanie o tym, jakie jesteśmy stare, prawie znienawidziłam cię już pierwszego dnia. – Rita wyszczerzyła się do niej w uśmiechu. – I z kim bym wtedy paliła szlugi pod wydziałem?

W wigilię obudziła się dopiero w południe. Spojrzała niechętnie na zegarek i zarzuciła sobie na głowę koc. W domu było jeszcze zimniej niż zwykle. Najwyraźniej właściciele wyszli z założenia, że wszyscy lokatorzy wyjadą na święta, i skręcili ogrzewanie do minimum. Nie odsłoniła okna. Nie miała ochoty patrzeć na świat, który dzisiaj wydawał jej się wyjątkowo obcy. Poczłapała do kuchni i wyjęła z lodówki butelkę supermarketowego prosecco oraz kabanosy.

– Wesołych świąt, Lusiu – mruknęła i pociągnęła solidny łyk prosto z gwinta.

Bąbelki przyjemnie łaskotały podniebienie. W nieco lepszym nastroju wróciła do pokoju, naciągnęła na piżamę gruby golf, odpaliła Netflixa i włączyła pierwszy polecany film z kategorii horror.

– To będzie super czas – przekonywała samą siebie, moszcząc się w łóżku, ale i tak wciąż wracała myślami do obrazów, które natrętnie przewijały się w jej głowie.

– Zjedzone? To trzeba pozmywać. Łucja, pomóż mi, bo zaraz spóźnię się na pasterkę. – Ciotka Teresa niezgrabnie podniosła się z krzesła.

Arek zapalił papierosa.

– Prosiłam cię, żebyś nie palił w domu, a już na pewno nie w kuchni, i to jeszcze przy wigilii – skarciła go matka.

– Zgaś – mruknął Bartek, wrywając bratu papierosa z ust.

– Dobra, dobra, luzik. Przestańcie się tak spinać, bo wam zwieracze puszcza.

– Ciociu, mogę iść z tobą do kościoła? – zapytała prosząco Łucja.

– A gdzie tam. Kto to słyszał z dziećmi po nocy łązić. Do łóżka i spać.

– Właśnie, spać, bo Mikołaj do ciebie nie przyjdzie... – Arek zrobił pauzę. – A nie, czekaj, on i tak nie przyjdzie – zaśmiał się ochryple.

– Oj, już przestań, dobrze wiesz, że brakuje nam pieniędzy na jedzenie, a na takie fanaberie jak prezenty to już w ogóle nie ma skąd brać.

Skończyła zmywanie kwadrans przed północą. Cicho wspięła się po schodach i w ubraniu weszła pod kołdrę. Kiedy tylko drzwi na dole szczerknęły, ze swojego pokoju wyszedł Arek.

– Barto, dawaj, Luśka chce z nami poświątować.

– Daj mi spokój, ja nie chcę w tym uczestniczyć. – Usłyszała z oddali matowy głos drugiego kuzyna.

– No jak tam sobie chcesz. W takim razie tylko ty i ja. – Arek nachylił się nad nią tak nisko, że poczuła jego kwaśny oddech.

Udawała, że go nie słyszy. Leżała w bezruchu.

- Dawaj, podzielimy się opłatkiem, jak to w święta. Tylko widzisz, tak się składa, że wpadł mi do klozetu. Więc będziesz musiała po niego zanurkować.

Szarpnął ją za włosy i zawlókł do łazienki. Nawet nie protestowała. Nauczyła się, że Arkowi nie wolno się sprzeciwiać. Gdy zimna woda z kibla wlewała jej się do oczu i nosa, marzyła o tym, by się w niej rozpuścić.

Kiedy na zewnątrz zrobiło się ciemno, zgasiła lampę, jakby chciała w ten sposób zlać się z otoczeniem, ukryć przed światem. Jedyne z ekranu komputera sączyło się blade światło. Leżała, wpatrując się bezmyślnie w przewijające się obrazy. Pozostawała w dziwnym zawieszaniu między snem a jawą, jakby ciało chciało odpoczywać, a mózg pozostał w trybie czuwania. W końcu wszystko pochłonęła czerń. Rano czuła się jeszcze bardziej zmęczona. W domu panowała przenikliwa cisza, przerywana jedynie uderzeniami wiatru w okna. Strugi deszczu spływały po szybie. Pod kaloryferem suszyły się przemoczone trampki. Zatrzymała na nich wzrok. Próbowła przypisać je do jakiegoś momentu z wczorajszego wieczoru, osadzić w czasoprzestrzeni, ale bezskutecznie. Desperacko chciała sobie przypomnieć, czy przed snem wychodziła na zewnątrz, nie mogła jednak przywołać żadnych wspomnień.

Narzuciła na ramiona polar i poszła do kuchni. Wsypała do miseczki rozmiękczone od wilgoci płatki, zalała je odrobiną zimnego mleka, wróciła do pokoju i sięgnęła po laptopa. Już miała włączyć Netlixa, kiedy w prawym dolnym rogu ekranu mignęło jej powiadomienie z lokalnego serwisu informacyjnego.

„Lalkarz znów atakuje” przeczytała i poczuła, jak płatki stają jej w gardle. Kliknęła w dymek. Strona ładowała się kilka przerażająco długich sekund.

„W wigilijny wieczór doszło do pożaru w lokalu przy ulicy Kraszewskiego 14” – przeczytała pierwsze zdanie i poczuła, jak treść żołądkowa boleśnie wraca do przelyku. Znała ten adres. Kilka tygodni temu była w mieszkaniu na tej ulicy. „Pozyskaliśmy informację z anonimowego źródła, że nie był to wypadek, a za tragedią stoi lalkarz. Według wstępnych danych policyjnych jedna osoba nie żyje” – te koślawe, byle jak zredagowane zdania z leada przeczytała kilkukrotnie. Dopiero po chwili z boleśnie zaciśniętym żołądkiem omiotła wzrokiem resztę tekstu. Jeśli dziennikarz miał rację i za pożarem rzeczywiście stał lalkarz, to po raz kolejny jego działanie ząbebiało się w jakiś sposób z jej życiem. Tym razem nie mogła tak po prostu odrzucić od siebie tej myśli. Te zbiegi okoliczności stawały się coraz bardziej niepokojące.

„Znowu zaatakował?” – wystukała w oknie komunikatora i wysłała do Rity.

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast.

„Na to wygląda, ale nie wiem za dużo, bo Damian nie odbiera. Musi być tam niezły syf”.

„Odezwij się, jak będziesz coś wiedziała”.

„Spoko, dam znać, chociaż przez to, że mamy święta, wszystko będzie szło pewnie dwa razy wolniej niż normalnie. Właśnie, wesołych i pysznego prosecco”.

Nie odpisała. Poczowała, że musi natychmiast pozbyć się tego ciężaru, wyczyścić głowę, dać upust kumulującym się w niej emocjom. Odpaliła Tindera, pobieżnie przejrzała zdjęcia dostępnych użytkowników z okolicy. Kompulsywnie przesuwiała w prawo. Po kilkunastu minutach nawiązała rozmowę z barczystym brunetem, którego bałaby się spotkać wieczorem na ulicy. Dwie godziny później ocierała się nagimi piersiami o jego owłosiony tors. Potrzebowała potwierdzenia, że wciąż istnieje, a jej skrawki zimnej skóry nadal mają czucie.

A jednak wcale nie poczuła ulgi. Emocje wciąż odbierały jej oddech. Długo stała pod prysznicem, próbując zmyć z siebie zapach oprycha, który mówił wyłącznie monosylabami. Otworzyła kolejną butelkę prosecco i zaczęła gorączkowo przeszukiwać internet, licząc na to, że znajdzie nowe informacje o pożarze, nie trafiła jednak na żaden tekst. Rita też milczała. Z tyłu głowy wciąż majaczyło jej pytanie, czy wybór tego mieszkania był przypadkowy. A może lalkarz po raz kolejny chciał jej w ten sposób przekazać jakąś wiadomość.

## ROZDZIAŁ 7

Następnego dnia nie wstała nawet z łóżka. Żołądek boleśnie zaciskał się jej z głodu, ale czuła, że nie byłaby w stanie niczego przełknąć. Miała wrażenie, że myśli, które przez kilka ostatnich tygodni odsuwała od siebie, eksplodowały w jej świadomości z nieprawdopodobną wręcz siłą, w wyniku czego doznała porażenia wszystkich mięśni. Kilka minut po dwudziestej dźwięk dzwonka telefonu zawrócił ją z mrocznej mentalnej podróży.

– Miałam się odezwać, ale w sumie nie wiem nic nowego, więc nie chciałam ci zawracać dupy w tej twojej alternatywnej wersji świąt – odezwała się Rita.

– To na pewno lalkarz?

– Pogadamy jutro na wydziale.

– Chyba nie bardzo, bo do czwartego stycznia nie mamy zajęć.

– A właśnie, co ja plotę! Chyba wypiałam o jedno mohito za dużo. W takim razie może ustawimy się na jakąś kawę na mieście, co? Muszę kończyć, bo wołają mnie do stołu. – W tle słychać było głośnie rozmowy i śmiechy.

– Jasne. Dzięki, że zadzwoniłaś.

Zamknęła oczy i pozwoliła, by smolista czerń znów rozrosła się w jej głowie, zacierając granice między jawą a snem.

Przez zasłonięte okno wiała się smuga ciepłego światła. Łucja niechętnie otworzyła oczy i w tej samej chwili poczuła, że żołądek ssie ją z głodu. W kuchni kompulsywnie wrzuciła sobie do ust kilka plastrów topionego sera, po czym zalała błyskawiczną zupę tajsą wrzątkiem i powlokła się do łazienki. Po szybkim prysznicu i jedzonym w pośpiechu śniadaniu wcale nie poczuła się lepiej. Za godzinę miała być w świetlicy dla seniorów. Włożyła dzianą sukienkę w butelkowym kolorze i zapalając papierosa, pośpiesznie wyszła na zewnątrz. Ostre światło słoneczne natychmiast ją oślepiło. Padający przez ostatnie dni deszcz zamienił się w ciekłą warstwę lodu, który pokrył chodniki, dachy i szyby. Powoli podeszła do samochodu, ostrożnie stawiając kroki. Zamek odpuścił dopiero po kilku minutach. Spojrzała na lusterko od strony kierowcy i zamarła. Jakby mróz ściał w jej organizmie wszystkie płyny ustrojowe. Na plastikowym czarnym uchwycie na telefon zawieszona była starannie wpleciona słomiana laleczka. Miała płomiennie rude włosy z wełny i ślady kleju w miejscu, gdzie powinny być oczy. Brzegi pomarańczowych kosmyków zostały nadpalone.

Świat przez chwilę zawirował. Oparła się o lodowate drzwi, żeby uchronić się przed upadkiem. Już знаła odpowiedź na pytanie, które dręczyło ją przez ostatnie dni. Wiedziała, że wybór mieszkania w kamienicy nie był przypadkowy.

W niewielkiej sali z ogromnymi przykurzonymi oknami panował zaduch. Łucji ulżyło na wieść, że zamiast zajęć kulinarnych ma zorganizować dzień gier planszowych. Mogła w spokoju posegregować myśli, kiedy seniorzy z zaangażowaniem rozgrywali kolejne partie bierok, szachów, warcabów i pokera.

– Może wpuszczymy nieco świeżego powietrza. Duszno tu, prawda? – rzuciła, naciskając ogromną kłamkę.

– A gdzie tam, kochanieńka, taki mróz na zewnątrz, że jeszcze się tu wszyscy pochorujemy – odpowiedziała pani Kryśka, jednocześnie dokonując podwójnego bicia pionków pana Józefa.



Lucja zrezygnowana opadła na krzesło.

– A co wy poszaleliście? Dajcie dziewczynie odetchnąć. Jak to w stanie błogosławionym, pewnie męczą ją mdłości i inne takie. Już zapomniałaś, jak to jest? – zwróciła się napastliwie do koleżanki pani Wanda.

Siwowłosa pulchna staruszka spojrzała na nią ze zdziwieniem, ale nic nie powiedziała.

– Zosieńko kochaniutka, otwórz sobie choćby na oścież. Mój wnuk jest teraz najważniejszy. A my starcze kości też powinniśmy przewietrzyć. Kiedy Jędrzek po ciebie przyjedzie? Nie powinnaś się tak męczyć. Mam nadzieję, że mój syn zdaje sobie sprawę z tego, że kobietą w ciąży trzeba się odpowiednio opiekować.

Lucja nawet nie drgnęła. Nie miała siły się z tym mierzyć.

Dwie godziny później zaciągała się dymem przed klaustrofobiczną kawiarnią na starówce. Przywarła plecami do zimnego muru. Chodnikami snuły się pojedyncze osoby pogrążone we własnych myślach. Miasto było ospałe, jakby nie wybudziło się jeszcze ze świątecznego marazmu.

– Damian za bardzo nie chciał mówić, chyba szef zakazał im nawet wspominać o tej sprawie poza firmą – powiedziała z irytacją Rita, wypuszczając dym i naciągając kaptur na głowę. – Pewnie góra szaleje, bo ktoś znowu sprzedał informacje gazetom – dodała, jakby chciała przekonać siebie samą.

– Nic kompletnie nie wiesz? – zapytała zawiedziona Lucja.

– Nie no, coś tam wiem – zaśmiała się cicho.

– Kim była ta dziewczyna?

– Studentka pierwszego roku filologii polskiej. Miała dwadzieścia dwa lata, przeprowadziła się tu chwilę temu z Gołdapi albo jakiejś miejscowości niedaleko.

– Musiał ją znać, skoro zginęła w domu.

– Pewnie tak, chociaż... – Rita się zawahała. – Nie wiem, czy nawet największy psychopata byłby w stanie rozczłonkować ciało znajomej osoby i wsadzić je do pieca kaflowego.

Lucja spojrzała na nią z przerażeniem.

– Spalił ją w piecu?

– Nadpalił. Do całkowitego spalenia była za niska temperatura. Ale nieźle ją poćwiartował, żeby w ogóle zmieściła się przez te drzwiczki. – Przelknęła ślinę z obrzydzeniem.

– A pożar?

– Prawdopodobnie podпалиł mieszkanie później. Może kilkanaście minut, może godzinę po tym, jak ją wpakował do pieca. W sumie nie wiadomo, po co to zrobił, skoro wiedział, że i tak nie spali się doszczętnie. Albo nie wiedział, trudno oszacować. Ale raczej nie zrobił tego po to, żeby zatrzeć ślady – westchnęła. – Porąbał ją w tym mieszkaniu. Wszędzie było pełno krwi.

Lucja zadrzała. Przypomniała sobie tamtą małą ohydłą norę z piecem kaflowym w kuchni. Co powiedziała wtedy właścicielka? Że wystarczy rozpalić wieczorem i robi się ciepło w try miga? Zrobiło jej się słabo. Ale przecież to wcale nie musiało być to mieszkanie.

– A sąsiedzi nic nie słyszeli? – spytała. – Niczego nie czuli? Przecież palone zwłoki muszą strasznie cuchnąć.

– Ta kamienica to trochę melina. Dużo patologii tam mieszka. Może i nawet coś poczuli, ale zanim zdążyli lub zechcieli zareagować, płonęło już całe mieszkanie.

Nie mogła sobie ułożyć w głowie tych obrazów. Ktoś rąbie kobietę na kawałki, a później nadpala ją w piecu kaflowym. Widziała w swoim życiu wiele zła, ale nigdy w tak przerażającej formie. Wzdrygnęła się.

Rita spojrzała na nią z troską.

– Za bardzo się tym przejmujesz – powiedziała.

Ale jak miała się tym nie przejmować, skoro była niemal pewna, że oglądała wcześniej to mieszkanie, skoro na lusterku golfa znalazła nadpaloną dyndającą laleczkę? Przez chwilę miała ochotę wyjąć ją z torby

i wszystko opowiedzieć Ricie, jednak szybko porzuciła ten pomysł. Musiałaby wtedy się przyznać, że tamtego dnia była w lesie, słyszała błagalne wołanie mordowanej dziewczyny i nic nie zrobiła. Gdyby o tym powiedziała, nie mogłaby dłużej wmawiać sobie, że to tylko jej wymysł. Zostałaby osądzona i uznana za winną nieudzielenia pomocy.

– Wracamy do środka? – zapytała, siląc się na obojętny ton.

– Chyba powinniśmy, bo zaraz tu zamrzniemy.

Dokończyły kawę, rozmawiając o sesji i innych niewiele znaczących sprawach.

Kolejne dni były do siebie ludzaco podobne. Spanie, jedzenie, zakupy w lokalnym sklepie, spanie, jedzenie, kompulsywne czytanie artykułów o lalkarzu i znowu spanie. Nadejście sylwestra zwiastującego koniec przerwy świątecznej przyjęła z ulgą. Wzięła prysznic, zrobiła pełny makijaż i włączyła Tindera. Potrzebowała zapachu czyjejś skóry, jej ciepła i dotyku. Po ostatnim niezbyt udanym spotkaniu tym razem wnikliwie przyglądała się kandydatom. Wybrała bruneta o łagodnych rysach twarzy i zadbanych dłoniach, a kilkadziesiąt minut później była już w drodze do niego. Kiedy wjeżdżała do Olsztyna, zaczął padać śnieg. Ulice opustoszały, pojedyncze osoby obciążone torbami pełnymi zakupów czekały na przystankach albo zmierzały w stronę parkingu. Dopiero gdy zaparkowała przy niewielkim pawilonie, zdała sobie sprawę, że już tu była.

– Konwaliowa – mruknęła do siebie, zapalając papierosa.

Wysiadła z auta i spojrzała w kierunku pawilonów. Kierowana jakimś nieznanym instynktem poszła w tamtą stronę. Przez roletę w oknie gabinetu Tomasza przebijało światło. Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta. Trudno było jej uwierzyć, że o tej porze w sylwestrowy wieczór przyjmuje pacjentów. Niewiele myśląc, nacisnęła mokrą od śniegu klamkę. Tak jak przeczuwała, poczekalnia była pusta. I ciemna – jedyne źródło światła stanowiła żółta smuga prześlizgująca się przez uchylone drzwi gabinetu. Łucja wstrzymała oddech i nasłuchiwała przez chwilę. Ze środka nie dochodziły żadne dźwięki. Zrobiła dwa kroki do przodu. Z tej perspektywy kątem oka widziała jego sylwetkę. Pochylił się nad laptopem. Cicho zapukała. Spojrzał w jej stronę zdziwiony i lekko rozzłoszczony.

Od razu pożałowała, że tu przyszła.

– Cześć – powiedziała niepewnie.

– Cześć – odparł, patrząc na nią pytająco.

Miał na sobie kremową koszulę w drobne wzorki układające się w kształt kieliszków do wina.

– Przechodziłam akurat, zobaczyłam zapalone światło i pomyślałam, że zajrzę. – Dopiero kiedy wypowiedziała te słowa, dotarło do niej, jak bardzo żałośnie brzmią.

Twarz Tomasza nieco złagodniała.

– Przepraszam, chyba to trochę niegrzeczne – dodała szybko. – Albo niedorzeczne. Pewnie jedno i drugie. Pójdę już. – Zmrużyła oczy z zawstydzenia, ale nie ruszyła się z miejsca.

Kąciki ust mu zadrżały.

– Zostań – uśmiechnął się i zamknął klapę komputera.

– Pracujesz w sylwestra o tej porze?

– Nie do końca. Miałem właśnie otwierać wino. Napijesz się?

– Przyjechałam autem.

– Tak się składa, że mam butelkę kupionego kilka tygodni temu Moscato di Scanzo, więc ta propozycja nie podlega negocjacji. Na szczęście rozwój cywilizacji zapewnił nam taksówki.

Poczuła delikatne laskotanie pod pępkiem. Wciąż mogła odwrócić się na pięcie i wyjść z poczekalni, ale wcale nie miała na to ochoty. Pchnęła szerzej drzwi gabinetu i weszła do środka.

– Jeśli chodzi o wino, nie potrafię odmawiać.

– No to świetnie się wpasowałem. Gdybyś jeszcze usiadła, byłbym w pełni ukontentowany.

- Na miejscu pacjenta?

Zmarszczył brwi.

- Może po prostu na miejscu dla gości. - Wstał z fotela. - Tu będzie ci wygodniej - powiedział, a potem przysunął do niego krzesło i sam na nim usiadł.

Kilka minut później sączyli wino, zaśmiewając się głośno. W tle pomrukiwał Zaucha.

- Lubię czasami klasykę. Szkoda, że gość zginął w tak głupi sposób. Zabił go mąż kochanki.

- W takim razie umarł w imię miłości. Romantycznie - zauważyła.

- Jesteś taką idealistką? - uśmiechnął się.

- Nie, ale co innego posłuchać romantycznych historii, a co innego nimi żyć. Ja zdecydowanie preferuję to pierwsze.

- Spryciuła.

O północy wyszli podziwiać fajerwerki, a potem otworzyli drugą butelkę wina i zamówili pizzę. Łucja czuła się, jakby ta noc należała do kogoś innego. Wszystko, co do tej pory знаła, było zimne, smutne i pozbawione emocji. Teraz zyskało smak i zapach.

- Ale pachnie - mruknęła, kiedy Tomasz otworzył kartonowe pudełko z margheritą.

- Całkiem dobrze, ale do aromatu placka z włoskiej trattorii jeszcze trochę brakuje.

- Nie mam porównania, bo nigdy nie byłam we Włoszech. Właściwie to nigdy nie byłam za granicą.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Naprawdę? Powinniśmy jak najszybciej to zmienić.

Roześmiała się z powątpiewaniem.

Zjedli pizzę, zapijając ją winem. Śmiali się i rozmawiali, jakby znali się od lat. Łucja zupełnie zapomniała o umówionym spotkaniu i czekającym na nią gdzieś tam w jednym z bloków facecie bez tożsamości.

- Wyjdę zapalić - powiedziała, dopijając resztę wina z plastikowego kubeczka.

- Jasne, ja przez ten czas uzupełnię zapas. - Tomasz pomachał pustą butelką. - Ale tym razem chyba zostały mi już jedynie jakieś zwykłe supermarketówki.

- Prezenty od wdzięcznych pacjentów - roześmiała się.

- Coś w tym stylu.

Narzuciła ramoneskę i wyszła przed gabinet. Uderzył ją powiew lodowatego powietrza, które natychmiast wdarło się pod cienką swetrową sukienkę. Zapaliła papierosa. Wciąż słyszała śmiech Tomasza, czuła zapach korzennych perfum. Nie zapytała go, dlaczego spędza sylwestra w gabinecie z zupełnie obcą osobą. On też nie zadawał pytań. Tak było dobrze. Jakby ich znajomość stanowiła element jakiejś odrębnej rzeczywistości zarezerwowanej wyłącznie dla nich. Rzuciła peta na chodnik i pośpiesznie wróciła do gabinetu. Tomasz siedział z komputerem na kolanach. Spojrzała na zegarek. Dochodziła trzecia trzydzieści.

- Chyba powinnam już się zbierać - powiedziała, czując, że zaczyna mu przeszkadzać.

- Myślałem, że wypijemy jeszcze toast prosecco. - Wskazał na stojącą na biurku butelkę z pomarańczową etykietą.

- Toast? Wypiliśmy już niejednego - zaśmiała się.

- Za nowy rok tak, ale za udany wyjazd jeszcze nie. - Zatrzasnął klawisz komputera i sięgnął po butelkę.

- Wyjazd? - zapytała, obserwując, jak rozlewa wino do plastikowych kubeczków.

- Właśnie kupiłem dwa bilety do Bergamo na jutro na szesnastą dwadzieścia. Jeśli więc miałabyś ochotę, moglibyśmy wyskoczyć na taki mały... - odchrząknął - city break.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Jutro? Do Bergamo? - powtórzyła, niepewna, czy on mówi poważnie, czy po prostu się zgrywa.

- Stwierdziłem, że zachwyty Włochami w oczach kogoś, kto nigdy tam nie był, jest absolutnie bezcenny, dlatego gdybyś była tak miła i zechciała mi zrobić tę przysługę, będę szczerze wdzięczny. Lot powrotny mamy drugiego stycznia wieczorem, więc nie powinno to kolidować z żadnymi twoimi... - Urwał i posłał jej zakłopotane spojrzenie. - Tak pomyślałem, ale teraz, kiedy o tym rozmawiamy, zaczyna do mnie docierać, że to było dość samolubne z mojej strony, bo przecież ty możesz mieć inne plany. Zapomnij, zaraz anuluję tę rezerwację.

Położyła zmarznięte palce na jego dłoniach. Spojrzała prosto w jego brązowe oczy.

- Nie mam żadnych planów, więc jeśli twoje zaproszenie jest aktualne, chętnie skorzystam - powiedziała cicho.

- No to świetnie. W takim razie lecimy do Bergamo! - Wzniósł toast kubkiem, w którym nieśmiało syczało prosecco.

Poczuła lekkie rozczarowanie, kiedy wyswobodził dłoń z jej uścisku.

## ROZDZIAŁ 8

Kilka godzin później siedziała na przednim siedzeniu czarnego porsche cayenne, nie do końca wierząc, że to się dzieje naprawdę. Z głośników sączył się chropowaty głos Sinatry: *I've loved, I've laughed and cried I've had my fill; my share of losing*. Tomasz pomrukiwał pod nosem słowa piosenki, wymijając kolejne auta.

Miała ochotę zapytać go, czy może tak po prostu wyjechać na dobę, nie tłumacząc się żonie, uznała jednak, że nie ma to żadnego znaczenia. Trudno było jej zdefiniować, czy czuje się bardziej podekscytowana, czy zawstydzona tym, że najbliższe dwadzieścia cztery godziny spędzi z obcym facetem, który metrykalnie mógłby być jej ojcem. Zaraz skarciła się w duchu za myśl o ojcu. Miała zostawić wszystkie swoje lęki i traumy za sobą, razem z dwiema laleczkami leżącymi na półce w drzwiach po stronie kierowcy w jej aucie. Postanowiła sprawdzić, jak to jest zwyczajnie się cieszyć, spróbować przez chwilę żyć życiem, o jakim zawsze marzyła.

Lotnisko wyglądało na opustoszałe.

– W filmach na lotniskach zawsze jest gwar i zamieszanie – zauważyła, wkładając ramoneskę i niewielką skórzaną torbę do kuwety.

– Być może, ale na pewno nie pierwszego stycznia – odpowiedział, wyciągając pasek z džinsów.

Kiedy przeszli kontrolę bezpieczeństwa, z zachwytem przyglądała się kolorowym witrynom sklepów w strefie wolnocłowej. Większość z nich była zamknięta.

– Raczej nie zaszalejemy z zakupami, ale możemy wstąpić na kieliszek wina do Gate One. Tam zawsze jest otwarte. – Delikatnie złapał ją za ramię, wskazując kierunek, a ona momentalnie poczuła na plecach elektryzujący dreszcz.

Wnętrze lokalu, utrzymane w odcieniach brązu, w przyziemnym świetle lamp prezentowało się elegancko i dystyngowanie. Łucja w luźnym zielonym swetrze i džinsach miała nieprzyjemne wrażenie, że nie pasuje do tego miejsca. W odległym kącie sali siedziały dwie osoby, których twarze nie było widać w półmroku. Tomasz pewnym krokiem skierował się do jednego ze stolików i nie przeglądając nawet karty, zamówił dwie lampki prosecco oraz deskę serów.

– Niech to będzie odpowiedni wstęp do naszej wycieczki – uśmiechnął się.

Przez dłuższą chwilę nie odzywali się do siebie, a mimo to nie czuła się zakłopotana tą ciszą. Były w niej błogość i spokój, jakich wcześniej nie знаła.

Kiedy dwie godziny później zapinała pasy bezpieczeństwa, poczuła delikatny skurcz w brzuchu.

– Cholerne tanie linie, uwielbiam te spektakularne metraże – mruknął Tomasz, wbijając kolana w oparcie fotela przed nim.

– W droższych liniach jest inaczej?

– Zdecydowanie inaczej, ale na dzisiaj nic innego nie udało się znaleźć. – Przymknął oczy. – Poczekaj, aż zaczną serwis, to będzie istny jarmark. Zdrapki, zegarki, perfumy i wszelkie inne badziewia. A dla pani może plastikowy model naszego Airbusa? – zapytał, modulując głos.

Roześmiała się. W tle stewardesy prezentowały instrukcję bezpieczeństwa. Nawet nie zauważyła, kiedy samolot oderwał się od ziemi.

– No i widzisz, już po strachu. Lecimy.

Spojrzała na niego z podziwem. Wiedział, że się bała, choć nie wspomniała o tym nawet słowem, a jednocześnie taktownie nie poruszył tego tematu, dopóki nie znaleźli się w powietrzu.

– Zapraszam panią na drzemkę. Skorzystajmy z tego przywileju, że fotel obok jest pusty i nikt nie gdera nam nad głowami.

Kiedy złapał ją za rękę i zamknął oczy, zeszywniała. Siedziała tak cały lot, wpatrując się w jego palce oplatające jej. Miała wrażenie, że ten dotyk jest najintymniejszą formą bliskości, jakiej doświadczyła w całym swoim życiu.

Hala przylotów w Bergamo bardziej przypominała dworzec autobusowy niż lotnisko.

– Zaraz złapię nam jakąś taksówkę. – Tomasz przewiesił sobie jej torbę podróżną przez ramię, w drugiej ręce trzymał swoją elegancką kabinówkę.

– Taksówkę? – jęknęła z zawodem. – A nie moglibyśmy przejechać się autobusem? Chciałabym pooglądać zwyczajnych Włochów.

W jego oczach błysnęło rozbawienie.

– Jak sobie życzysz, ale ostrzegam: autobus do centrum jedzie chyba z godzinę.

– W takim razie to będzie bardzo fascynująca godzina.

Kupili bilety w automacie i powoli poszli w stronę przystanku. Nie było ciepło, temperatura oscylowała w okolicy siedmiu stopni powyżej zera, a jednak aura wydawała się znacznie łagodniejsza niż w Polsce.

– Tutaj wysiadamy – mruknął Tomasz pięćdziesiąt minut później, wpatrując się w wyświetlacz swojego iPhone'a. Przepchnęli się przez tłum stłoczony w autobusie i wysiedli na opustoszałej ulicy. Było już ciemno, jednak światło płynące z lamp ulicznych doskonale oświetlało małe zadbane domki.

– Gdzie mieszkamy?

– Dokładnie tam. – Wskazał ręką beżowy dom z białymi okiennicami.

– To pensjonat?

– Coś w tym rodzaju. Prowadzi go małżeństwo, bardzo sympatyczne. Mają śmiesznego buldoga francuskiego, który nie pije wody, tylko sok pomarańczowy. Zresztą zaraz go poznasz.

– Przyjeżdżałeś tu z żoną? – zapytała, zanim zdolała powstrzymać słowa, które odbiły się echem od opustoszałej ulicy.

– Nie, nigdy nie byłem tu z żoną. – W jego głosie usłyszała chłód. – Ale może chodźmy już, bo zaraz całą naszą włoską eskapadę spędzimy na chodniku, dyskutując o jakichś bzdurach.

Zrobiło jej się głupio.

Siedzieli w ciasnej trattorii, jedli sery, bruschetty i pizzę. Ich śmiech odbijał się od ścian obwieszonych fotografiami jeziora Como. Pomieszczenie było wręcz absurdalnie małe i z perspektywy obserwatora mogło wydawać się niezbyt komfortowe do spędzenia wieczoru, jednak towarzystwo karafki domowego wina i włoskiego jedzenia nadawały mu niepowtarzalny klimat.

– Nie jest to może luksusowy lokal, ale zdecydowanie najlepszy pod względem kulinarnym.

Wijąca się przed drzwiami kolejka lokalsów oczekujących na stolik była najlepszym potwierdzeniem słów Tomasza.

– Wiesz, że ten gość – wskazał podbródkiem kelnera – pojechał raz w ulewę na rowerze do sklepu, kiedy zabrakło prosciutto do zamówionych przeze mnie gnocchi? Byłem naprawdę wzruszony jego poświęceniem. To miejsce jedyne w swoim rodzaju.

– Tym razem naprawdę nie musisz mnie przekonywać – mruknęła, podnosząc do ust kawałek ociekającej sosem pomidorowym pizzą.

– Czy ty właśnie nawiązujesz do naszej milej wizyty w uroczym olsztyńskim barze? – Zmrużył teatralnie oczy.

– Ja? Ależ skąd!

- Nie chcę cię popędzać, ale jeśli mamy zdążyć na ostatni kurs kolejki do San Vigilio, to powinniśmy zaraz wychodzić.

- Nie mogę przegapić tego widoku.

- Istotnie. Nie możesz - przytaknęła, machając do kelnera, który jednocześnie był tu kucharzem i kasjerem.

Spakowali resztę pizzy do białego kartonika, kupili butelkę prosecco na wynos i popędzili przez rozświetlone lampami ulicznymi Bergamo. Kiedy wjeżdżali na górę zabytkowym czerwonym wagonem, Łucja czuła lekkie mrowienie w karku, a kiedy kilkanaście minut później dojadali pizzę na wzgórzu San Vigilio, podziwiając skrzące się w dole miasto, bała się, że za chwilę ktoś ją uszczypnie i ta chwila okaże się jedynie wytworem jej wyobraźni.

- Zarezerwowałem nam to miejsce na wyłączność - wyszeptał Tomasz, wyciągając korek z butelki.

Lecko zamroczeni bąbelkami zeszli do Città Alta, śmiejąc się głośno, jakby chcieli, żeby cały świat usłyszał wibrującą w ich gardłach radość. Starówka tętniła życiem. Gwarynymi ulicami niesły się zapachy z okolicznych restauracji. Tomasz pozwolił jej się zgubić kilka razy w wąskich uliczkach, zjedli polentę w jedynej czynnej o tej porze cukierni i przed północą zmęczeni wrócili do pokoju. Tak właśnie wyobrażała sobie Włochy. I życie, za jakim tęskniła.

- Zamawiam prysznic pierwsza - oznajmiła, wyjmując koszulę nocną z torby podróżnej.

- Mam nadzieję, że nie zasnę, zanim wyjdiesz - odpowiedział, kładąc się na dwuosobowym łóżku.

Z deszczownicy sączyła się ciepła woda, która przyjemnie rozluźniała mięśnie. Łucja przymknęła oczy, krople powoli spływały po jej ciele. Nie usłyszała, kiedy drzwi łazienki się otworzyły. Poczowała dotyk na ramieniu. Jego dłoń przesuwała się w stronę jej piersi. Nie odwróciła się. Pozwoliła, by odkrywał jej ciało centymetr po centymetrze. Odgarnął delikatnie rude włosy i czule pocałował szyję. Wsunął rękę pomiędzy uda i powoli ją odwrócił. Zamarła. Nagi blondyn z pojedynczymi siwymi pasmami wpatrywał się w nią uważnie. W dłoni trzymał słomianą lalczkę, z której skapywała woda.

- Hej, obudź się. Halo.

Poczowała ciepło na policzku. Ciepło jego dłoni.

Gwałtownie rozchyliła powieki, przez które wdarło się ostre światło. Tomasz w białym szlafroku patrzył na nią z niepokojem.

- Przepraszam, chyba miałam jakiś koszmar - mruknęła, zdając sobie sprawę, że leży w pościeli w ubraniu.

- Miałas iść pierwsza pod prysznic, ale zanim wyszedłem z łazienki, już spałaś, więc nie chciałem cię budzić.

- To chyba efekt przejedzenia i wypicia zbyt dużej ilości wina.

- Pewnie tego i tego, ale zmęczenie też zrobiło swoje - odparł, włączając lampkę na swoim stoliku.

- Pójdę w końcu wziąć ten prysznic - powiedziała, zabierając ze sobą koszulę i kosmetyki.

Kiedy wyszła z łazienki, ostrożnie położyła się obok Tomasza. Nie spał. Otulił ją cienką kołdrą. Przesunęła się w jego stronę. Była tak blisko, że czuła każdy jego oddech. Zgasił lampkę, zaplótł palce w jej włosy. W pokoju zapanował mrok, rozświetlany co jakiś czas światłami aut jadących za oknem. Oddychała szybko, czując pulsowanie każdej części ciała. Kiedy dłoń Tomasza powoli podciągnęła jej koszulę nocną, ciało od pępka w dół przeszedł dreszcz. Pozwoliła się rozebrać, a później przywarła do jego nagiego torsu. Wszedł w nią szybko, zachłannie ją całując. Miała wrażenie, że z każdym ruchem bioder część jego ciała przenika do jej krwiobiegu. Jeszcze nigdy nie była z nikim tak blisko. Nie w taki sposób. Chciała, by ta chwila nie miała początku ani końca.

Obudziła się przed Tomaszem. Narzuciła na siebie cienki kardigan i wyszła przed dom zapalić papierosa. Wspomnienia wczorajszego wieczoru wciąż tętniły jej w głowie, wywołując przyjemne skurcze brzucha. Pierwszy raz od ostatnich kilkudziesięciu godzin znalazła czas, żeby spojrzeć na telefon. Miała kilkanaście nieodebranych połączeń z nieznanymi numerów. Stwierdziła, że nie ma czasu ani ochoty zastanawiać się, kto i czego mógłby od niej chcieć. Wróciła do łóżka i wtuliła się w plecy mężczyzny.

– Wszystko pod kontrolą. – Męski głos wdarł się do płytkiego snu. Drgnęła i otworzyła oczy. – Panuję nad tym, będzie tak jak zawsze. W końcu się uspokoi. Muszę kończyć – powiedział Tomasz, spostrzegłszy, że się obudziła.

Pół godziny później jedli focaccię, którą zapijali schłodzonym peroni w ogródku niewielkiej knajpki niedaleko ich pokoju. Na zewnątrz nie było więcej niż osiem stopni. Przez chmury przebijały promienie słońca. Nie rozmawiali o wczorajszym wieczorze. Tomasz opowiadał anegdoty z gabinetu, a Łucja udawała zainteresowanie, błędząc myślami zupełnie gdzie indziej. Ze smutkiem myślała o tym, że ten dzień już nigdy się nie powtórzy. Że za chwilę będzie musiała wrócić do zimnego pokoju i lealeczek leżących w jej aucie. Do swojego życia. To, które przez chwilę wiodła, nie należało do niej.

– To co, ryzykujemy i jedziemy jeszcze nad Como? – zapytał, przebijając się przez myśli szumiące w jej głowie.

– Jasne, jeśli chodzi o ryzyko, to ja zawsze jestem na tak.

Spojrzenie na jezioro wciśnięte pomiędzy skaliste szczyty było warte każdego ryzyka. Łucja długo przyglądała się turkusowej wodzie, chciała utrwalić ten widok w głowie, by móc zawsze do niego wracać. Zjedli szybki obiad w restauracji z widokiem na strzelistą wieżę zabytkowego kościoła, srebrzącą się na tle gór, kupili lokalne sery i kilka godzin później siedzieli już w samolocie.

Droga powrotna z lotniska do Olsztyna upłynęła im na rozmowach o książkach, muzyce i gotowaniu. Śmiali się i śpiewali, a jednak w ich głosach pobrzmiwała jakaś fałszywa nuta. Przez śmiech przenikał smutek. Kiedy auto zatrzymało się przed domem wciśniętym pomiędzy leszczynę a jesion, Łucja poczuła się tak, jakby wydarzenia z ostatnich kilkudziesięciu godzin w ogóle nie miały miejsca. Jakby były wyłącznie wytworem jej wyobraźni. Tomasz wyłączył silnik i poruszył się niespokojnie.

– Łucjo, posłuchaj, ja...

– Wszystko rozumiem – weszła mu w słowo.

– Chcę, żebyś wiedziała, że ja nie mieszkam romansów ani skoków w bok. To było coś innego. Ale po prostu...

– Naprawdę nie musisz tego mówić. Nawet będzie lepiej, jeśli nie powiesz. Będę mogła udawać, że tak nie jest – zaśmiała się smutno.

Westchnął ciężko.

– Dziękuję ci za ten czas – dodała. – A najbardziej za myśli, do których będę chciała wracać.

– Przepraszam – wyszeptał.

Zabrała torbę podróżną z tylnego siedzenia i zamknęła za sobą drzwi.

Śmiech Arka niósł się po kuchni.

– Jeszcze tutaj – warknął i splunął na podłogę. – No, na co czekasz? Wycieraj, szmaciaro.

Łucja posłusznie wycierała kolejne plamy flegmy. Drobne dziecięce rączki działały mechanicznie. Myślami była zupełnie gdzie indziej. Siedziała między mamą a tatą przy stole w kuchni, jadła ryż z malinami i słuchała, jak tata opowiada mamie o tym, że dziura ozonowa znowu się powiększyła. Nie miała pojęcia, czym jest ta dziura, ale w jego ustach brzmiało to jak najbardziej fascynująca historia.

– Skup się, bo zaraz ci tu naszczam i dopiero będziesz miała wycierania. – Arek złapał się ostentacyjnie za krocze, po czym pociągnął ją za rudą kitkę.

Pisnęła.



– Co tu się wyprawia? – Ciotka Teresa z wałkami na włosach wkroczyła do kuchni.

– Nic, chcieliśmy trochę posprzątać, żebyś miała mniej roboty. – Arek wyszczerzył nierówne zęby w uśmiechu.

Ciotka spojrzała na niego podejrzliwie, ale nic nie powiedziała. Wyjęła z lodówki jajka i zaczęła rozbijać je do miseczki. Oczy chłopaka zalsniły. Chwyił jedno i cisnął nim o podłogę.

– Arek! – krzyknęła dyscyplinująco.

– No co? Niech się dziewczyna sprzątać uczy za młodu, bo później chłopca nigdzie nie znajdzie, jak będzie miała dwie lewe ręce. – Wzruszył ramionami, patrząc na Łucję.

Kącki ust kobiety zadrżały, ale zdusiła śmiech.

– Ale jajek do takich głupot szkoda – westchnęła, rzucając w stronę Łucji szmatę spod zlewu. – To trzeba na mokro – warknęła i przelała rozbite jajka na suchą patelnię.

Weszła do pokoju. Przeniknęły ją zimno i smród stęchlizny. Usiadła na łóżku, nie zdejmując kurtki. Spojrzała na porozrzucane ubrania i kluczyki leżące na stole. Pomyślała o schowanych w aucie laleczkach. Nieprzyjemne uczucie strachu wróciło. Miała wrażenie, że ani wyjazdu do Bergamo, ani Tomasza nigdy w jej życiu nie było. Jakby dwa ostatnie dni były tylko nawiasem, z którego ktoś wymazał zdanie. Wyjęła z szafki piwo i upiła kilka łyków. Gorycz osiadła na języku. Telefon zawibrował. Na wyświetlaczu znów pojawił się ten sam ciąg cyfr, co wcześniej. Było po dwudziestej pierwszej. Pomyślała, że to musi być coś ważnego, i odebrała.

– Dobry wieczór, nareszcie się do pani dodzwoniłam. – Kobięcy głos zanikał zagłuszany trzaskami. – Halo, czy mnie słychać?

– Dobry wieczór. Tak, słyszę panią. O co chodzi?

– Mówi Anna Bartkowska, sołtysowa Kwietników. Rozmawialiśmy niedawno o pochówku pani ciotki. Przez chwilę pomyślała, że kobieta dzwoni, żeby zapytać, dlaczego nie pojawiła się na pogrzebie.

– W czym mogę pomóc?

– Tragedia się tutaj wydarzyła, dlatego dzwonię i dzwonię od wczoraj. Bardzo mi przykro, naprawdę... – Reszta zatonąła w serii trzasków.

– Co się stało?!

– Pożar, w pani domu był pożar. Wszystko ogień pochłonął. Nic prawie nie zostało. Wiadomo, że to już rudera była, ale przecież i tak serce boli.

Kobieta po drugiej stronie słuchawki coś jeszcze mówiła, ale do Łucji przestał docierać sens jej słów. Nie mogła złapać powietrza. Upadła na kolana, uderzając boleśnie o podłogę. Telefon wyleciał jej z ręki. Próbowwała oddychać, ale miała wrażenie, jakby niewidzialne ręce zacisnęły się na jej szyi. Obraz nadpalonej laleczki momentalnie pojawił się przed oczami i w jednej chwili wszystko stało się jasne. Poczowała gwałtowną falę mdłości. Myśli, których od kilkunastu dni nie dopuszczała do siebie, nagle wybrzmiały w jej głowie ze zdwojoną siłą. To, że Arek wrócił, nie było przypadkiem. To on był lalkarzem.

## ROZDZIAŁ 9

Powietrze było parne. Na leśnej polance w półokręgu stała grupka nastolatków. Niektórzy palili papierosy, inni trzymali butelki z piwem. W środku kuliła się drobna rudowłosa dziewczynka.

– Przesuń się w prawo. A teraz siad. – Arek stał nad nią, obnażając żółte zęby. Nad wargą luszczyla się zaschnięta opryszczka. – Jedz. – Wyjął z kieszeni skórkę od chleba.

Dziewczynka posłusznie włożyła kawałek do ust.

Ktoś w anonimowym tłumie dzieciaków zagwizdał. Ktoś zaklaskał.

– A teraz pocałuj mnie w dupę – zarechotał chłopak.

Tłumek odpowiedział śmiechem.

– Nie, no dobra, żartowałem, ale podziękuj za moją łaskawość i uklęknij.

Dziewczynka rozejrzała się wokoło. Nie chciała tego robić, ale kiedy tylko poczuła na sobie spojrzenie kuzyna, natychmiast upadła na kolana. Na niebieskiej bluzce pod pachami zarysowały się mokre plamy. Kilka osób roześmiało się głośno. Opuściła zawstydzona wzrok.

– Dobra, dziękuję za uwagę. Cyrk zamknięty. – Arek otworzył piwo. – Możesz spadać – rzucił w stronę Łucji.

Nie czekała, aż powtórzy. Biegła w stronę wsi, ile sił w nogach.

– Dobrze się czujesz? – dopytywała Rita, kiedy stały w kolejce do automatu z kawą.

– Jest spoko, po prostu słabo spałam – mruknęła, wsuwając monety do kasetki.

– Pewnie zakuwałaś. Mnie też stresuje to zasrane zaliczenie z myśli społecznej.

Spojrzała na nią nieprzytomnie.

– To dzisiaj?

– No raczej.

– Cholera, to słabo. Przyjechałam, żeby napisać psychologię, i muszę się zmywać.

Rita pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Oszalałaś? Nie chcesz dobrnąć do oficjalnego rozpoczęcia sesji?

– Chcę, ale muszę jechać do Kwietników... – Łucja zawahała się. – Po prostu muszę.

– Coś się stało? – Koleżanka spojrzała na nią badawczo. – Nie chcesz, to nie mów, o co chodzi, ale dla mnie to niezbyt dobry plan, żeby zawałać zaliczenie.

– Spłonął mój dom rodzinny – powiedziała cicho.

Rita przygryzła wargi.

– O kurwa, przykro mi. Ktoś tam mieszkał?

– Nie.

– To całe szczęście. Jak doszło do zaproszenia ognia? Wypadek? Podpalenie?

Przełknęła ślinę, zawieszając wzrok na pogniecionych nogawkach dżinsów. Przez chwilę pożałowała, że nie wyprasowała ich przed włożeniem.

– Nie wiem. Najprawdopodobniej to było celowe podpalenie.

– Cholera, ilu świrów chodzi jeszcze po tym świecie.

W milczeniu upiła łyk kawy.

Kiedy godzinę później wychodziła z wydziału, czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Nie miała siły oglądać pogorzeliska, rozmawiać z sołtysową, odpowiadać na pytania policji. Ale wiedziała, że nie ma przed tym ucieczki.

Otwierając drzwi komendy policji w Orzyszu, pomyślała przez chwilę o Tomaszu. Wyobraziła sobie, że idzie obok niej, mamrocząc jej coś do ucha i bagatelizując powagę sytuacji. Na pewno miałyby wiele powiedzenia na temat groteskowego zachowania policjantów podczas przesłuchań. Nawet jeśli sam tego nie doświadczył, na pewno gdzieś o tym czytał. Uśmiechnęła się do tej myśli. Poczuli się pewniej.

– Dzień dobry, chciałabym porozmawiać z kimś w sprawie pożaru domu w Kwietnikach. – Nachyliła się do niewielkiego otworu w pomazanej pleksi.

Chudy blondyn w okularach w drucianych oprawkach spojrział na nią z zaciekawieniem.

– Musi pani chwilę poczekać. Można sobie usiąść. – Wskazał obskurne krzesła w rogu korytarza i podniósł słuchawkę telefonu.

Po kilku minutach kraty otworzył jej wysoki policjant o haczykowatym nosie.

– Proszę za mną – powiedział i wąskim korytarzem ruszył do pokoju, nie oglądając się za siebie. – Komisarz Norbert Krysiak. Czy chciałaby pani złożyć zeznanie? – spytał, wchodząc do środka i siadając za biurkiem. Najpierw położył na nim notes, potem włączył komputer.

– Zeznanie? Raczej nie mam nic do powiedzenia, nie mieszkam tam od lat. Chciałam zapytać, czy wiadomo, kto to zrobił.

Uniósł brwi i poprawił nerwowo granatowy sweter, spod którego wystawał biały kołnierzyk koszuli.

– Pani Muzyk? Szukaliśmy z panią kontaktu od kilku dni. Poproszę o dowód tożsamości. Muszę panią przesłuchać.

Wyjęła dowód z portfela i położyła na blacie biurka. Policjant zaczął coś wystukiwać na klawiaturze.

– Kiedy ostatni raz była pani w domu zlokalizowanym pod adresem Kwietniki 15? – Otworzył notes.

Zawahala się. Pomyślała o chwili spędzonej pod płótem w dniu pogrzebu ciotki Teresy, uznała jednak, że to zupełnie nieistotne dla sprawy.

– Jakies pięć lat temu – powiedziała po chwili.

– A kiedy się pani stamtąd wyprowadziła? – Spojrział na nią przenikliwie.

– Po śmierci ojca, kiedy miałam osiem lat.

– Dzisiaj ma pani... – zawiesił na chwilę głos i wziął do ręki jej dowód osobisty. – Dwadzieścia siedem, tak?

– Tak.

– Do czasu śmierci ojca mieszkała pani tylko z nim?

– Owszem. Wcześniej również z mamą, ale umarła, kiedy miałam pięć lat.

Zapisał coś w komputerze. Rytmiczne stukanie klawiszy niosło się po niewielkim pomieszczeniu.

– Skupmy się na okresie po śmierci pani matki. W zasadzie na dwóch, może trzech ostatnich latach, kiedy zostaliście z ojcem sami.

– Przepraszam, ale co to ma wspólnego z pożarem? – zapytała, chociaż gdzieś w otchłani umysłu знаła odpowiedź na to pytanie.

– Z pożarem pewnie nic, ale przy okazji przeszukiwania posesji trafiliśmy na ludzkie szczątki. Według wstępnych założeń patologa przeleżały w wodzie około dwudziestu lat. – Zmrużył oczy, przyglądając się jej reakcji.

– Szczątki? – Udała zaskoczenie. – To niemożliwe.

– Niestety jak najbardziej możliwe.

Zastygła. Bała się poruszyć jakimkolwiek mięśnieniem, bo wiedziała, że policjant będzie analizował każdy jej ruch.

Zimny wiatr przyjemnie chłodził piekące policzki. Wiedziała, że przedstawienie, które odegrała przed Krysiakiem, wypadło żenująco, a on wyczuł kłamstwo. Przez chwilę miała ochotę wrócić tam i spróbować przekonać go raz jeszcze, że nie ma pojęcia, skąd w studni wzięło się ciało, ale szybko uznała ten pomysł za kuriozalny. Zapaliła papierosa. Miasteczko wyglądało na pogrążone w letargu. Opustoszałe chodniki i obdrapane domy robiły przygnębiające wrażenie. Jak wszystko tutaj. Rzuciła peta na chodnik i pośpiesznie wsiadła do auta. Kilkanaście minut później zaparkowała przed domem obłożonym żółtym sidingiem. Dochodziła piętnasta. Niechętnie otworzyła uchyloną bramkę i wcisnęła dzwonek. Niemal natychmiast drzwi otworzyła siwowłosa drobna kobieta, ubrana w kraciastą spódnicę i beżowy sweter w serek.

– Łucja, kochana, to ty? – zapytała, ściskając ją za ramię. – Ale wyrosłaś. Jeszcze niedawno Tereska do sklepu taką małą istotkę przyprowadzała.

– Dzień dobry – mruknęła chłodno.

Nie pamiętała za bardzo tej kobiety, ale ciepła wypowiedź o ciotce sprawiła, że Łucja momentalnie poczuła do niej niechęć. W jej wspomnieniach zapisała się zaledwie jedna wizyta w sklepiku, który niegdyś mieścił się na parterze tego domu. Ciotka zabrała ją ze sobą, żeby pomogła jej zataścić worek z ziemniakami, kiedy Bartek i Arek chorowali na grype żołądkową.

– Wejdz, proszę.

W przedpokoju panował zaduch, jakby nikt w tym domu nie otwierał okien.

– Ja tylko na chwilę. Chciałam zapytać, czy coś... – zawiesiła głos. – Czy może coś pani wie o tym pożarze? Może ktoś coś we wsi mówił?

Kwietniki zawsze były dziurą, wiochą zabita dechami, ale plotki rozchodziły się tu w mgnieniu oka, zwłaszcza w sklepikach, do których przychodziło się po zakupy i wymianę informacji. Ta kobieta – Łucja wciąż nie mogła sobie przypomnieć jej nazwiska – prowadziła tu kiedyś sklep. Może stare nawyki zostały i ludzie wciąż przychodzili do niej pogadać?

– Butów nie zdejmuj, ale kurtkę sobie powieś tutaj i chodź do kuchni. Kawy zrobię.

– Dziękuję, śpieszę się – odparła.

– Ech, wy młodzi ciągle gdzieś ganiacie. Mój Wojtuś to też nawet do domu nie przyjechał na święta w tym roku, bo praca, bo obowiązki, bo życie w dużym mieście. Zresztą on od dziecka niesforny był, zawsze gdzieś gonił, do czegoś się śpieszył. Coś musiał sprawdzać. Nie raz za to pasem po tyłku od mojego świętej pamięci męża obrywał.

Łucja nie słuchała. Zastanawiała się, czy tamta wie coś o Arku. Chciała w jakiś sposób ją sprowokować, żeby podzieliła się z nią swoimi podejrzeniami.

– Cały czas analizuję, kto mógł to zrobić. Podpalić mój dom. – Celowo położyła akcent na dwa ostatnie słowa.

– No, straszna to tragedia, dobrze, że nikt nie ucierpiał. Ale co my tak w progu będziemy rozmawiać, usiądź chociaż na chwilę.

Weszła do kuchni wyłożonej zielonymi płytkami, której niemal połowę zajmowała ława narożna. Łucja opadła na welurowe obicie.

– Komu mógł przeszkadzać stary dom? – zaczęła jeszcze raz.

– Nic nie wiem, naprawdę. Ale tak pomyślałam... – kobieta zniżyła głos – że może podpalił ten, co te zwłoki w studni ukrył, żeby pozbyć się dowodów.

Łucja wypuściła powietrze z płuc. A więc wszyscy wiedzieli już o szczątkach.

– Efekt jest odwrotny, więc to raczej byłby chybiony plan.

Kobieta skrzyżowała ramiona na piersiach.

– Może i tak. Bóg jeden wie, kogo tam pochowali. – Przeżegnała się.

– A Arek na dłużej wrócił? Nie mogłam przyjechać na pogrzeb, ale słyszałam, że jemu udało się dotrzeć.

– Ano udało, ale tak szybko jak się pojawił, tak zniknął. I bardzo dobrze – dodała twardo. – Bo miejsca w Kwietnikach dla takich jak on nie ma.

– Może ludzie się zmieniają – powiedziała Łucja powoli, czekając na jej reakcję.

– Nie, kochaniutka. Zło zawsze w człowieku zostaje. Czasami w innej postaci, ale prędzej czy później wraca.

Przeszedł ją dreszcz.

– Będę się już zbierać. Chciałam jeszcze zobaczyć... co zostało z domu.

– Może lepiej sobie oszczędzić tego widoku, bo zostało naprawdę niewiele. Dziecko, los cię doświadczył, zabierając rodziców tak wcześnie, a teraz jeszcze rodzinnego domu cię pozbawił. – Kobieta wyciągnęła rękę w jej kierunku, jakby chciała ją objąć, ale Łucja się odsunęła.

– Dziękuję pani za poświęcony czas. – Wstała, poprawiając luźny sweter.

– Ależ nie ma za co dziękować. Gość w dom, Bóg w dom, jak to mawiają. Mam nadzieję, że ta sprawa... z tym trupem, że to się jakoś wyjaśni. Dość już w Kwietnikach zła się wydarzyło. – Spojrzała na swoje przybrudzone paznokcie. – Wierzbicy, jak gruchnęła wieść, że u was w studni nieboszczyka znaleźli, to przez chwilę znowu nadzieję mieli, że Witka znajdą, że w końcu go pochowają. Że może szlajał się gdzieś po pijaku, wpadł i się utopił. Jak to chłop. Ale zaraz potem okazało się, że to jakaś kobieta.

Łucja nie skomentowała. Pośpiesznie włożyła kurtkę i wyszła bez pożegnania.

– To wszystko? – Profesor Paprocka spojrzała na nią znad okularów.

– Chyba nic więcej nie wymyślę – bąknęła zrezygnowana.

Kobieta westchnęła. Granatowa garsonka wisiała na jej chudym, starczym ciele, głębokie zmarszczki i białe włosy wskazywały, że już dawno powinna być na emeryturze.

– Społeczeństwo ryzyka potraktowała pani bardzo pobieżnie. Jak na podejście do zaliczenia w drugim terminie oczekiwałam nieco więcej. – Oblizła wąskie usta, na których zostały resztki czerwonej szminki. – Niech pani będzie, dam tę tróję, ale to na kredyt – westchnęła. – Ale na egzamin radzę lepiej się przygotować, bo profesor Dworczyk taki łaskawy raczej nie będzie.

Podziękowała i z ulgą wyszła z gabinetu.

Kilka minut później przeglądały z Ritą w palarni notatki z ekonomii. Kartki łopotały na wietrze.

– Dobrze, że jakoś cię przepchnęła.

– Chyba tak.

Rita spojrzała w pustą przestrzeń między budynkami.

– Damiana odsunęli od sprawy lalkarza – oznajmiła zniechęta.

– Dlaczego?

– Przejęła ją główna. Niby przez te wycieki do mediów, ale wszyscy dobrze wiedzą, że żona starego pracuje w gazecie i to ona jest wtyką. Od lat nikomu to nie przeszkadzało, bo i tak w obieg puszczały tylko to, co chcieli. Teraz też „Gazeta Mazurska” o tym napisała krótko przed oficjalnym oświadczeniem. Przecież to nie mógł być przypadek.

– Mówiłaś, że stary się wściekł, jak wtedy poszło do mediów.

– Wściekł się albo dobrze odegrał swoją rolę. Tam każdy gra do swojej bramki.

Łucja wyjęła z kieszeni marlboro. Silny podmuch zgasił płomień zapalniczki. Odpaliła jeszcze raz, zakrywając papierosa dłonią.

– Minęło już tyle czasu – powiedziała powoli. – Naprawdę nie mają żadnego punktu zaczepienia? To niemożliwe.

– A jednak. Chociaż teraz trudno mi już z Damiana cokolwiek wyciągnąć, bo podszedł do tego bardzo ambicjonalnie i wkurza się, jak tylko zaczynam ten temat.

Łucja przez chwilę miała ochotę powiedzieć jej o swoich podejrzeniach odnośnie do Arka, ale szybko porzuciła tę myśl. Gdyby zaczęła o nim mówić, musiałaby podzielić się najmroczniejszymi wspomnieniami ze swojego dzieciństwa.

– Skoro mamy karnawał, to dzisiaj będziemy robić faworki – oznajmiła z udawanym entuzjazmem, stawiając torbę z mąką pszenną na kamiennym blacie.

Pani Krysia westchnęła z ekscytacją.

– Cudownie! – Pan Staszek klasnął w dłonie. – Będzie co nieco na jutro do kawki.

– Gdyby pan jeszcze śmietanę i olej z mojego auta przyniósł, mój kręgosłup byłby niezwykle wdzięczny – uśmiechnęła się do niego Łucja, podając mu kluczyki.

– Pani Wando, a może pani też nam pomoże? – zwróciła się do staruszki wpatrzonyj w okno i pocierającej kciuk o kciuk jak w transie. Podeszła do niej i lekko chwyciła ją za ramię.

Kobieta drgnęła. Spojrzała na nią jasnoniebieskimi oczami, w których odbijał się strach.

– On ją zabił. Zabił ją i mojego wnuka.

– Kto taki? – Łucja ukucnęła obok niej. Ciekawość była silniejsza od niechęci. Wokół panował rozgardiasz, seniorzy rozpakowywali zakupy z toreb. Nikt nie zwracał uwagi na panią Wandę.

– On. Zabrał mojego wnuka i Zosię. Syna też mi zabrał. – Zaciśnęła na jej rękę pomarszczoną dłoń. – Zosienka w ciąży była, a on ją zabił. Straciliśmy ją. Jędrak już nigdy nie był taki jak wcześniej. Ale co się dziwić po tym wszystkim, co przeżył. – Pokręciła głową. – Cośmy wszyscy przeżyli. Nikt nam nie pomógł i nie pomoże. A ja już nigdy nie wyjdę z tego szpitala. Nigdy, prawda, siostro?

Łucji zaschło w gardle. Czyżby Zosia była którąś z ofiar lalkarza?

– Kto ją zabił?

– Bóg jeden wie kto. Utopili ją jak psa niepotrzebnego. Dzieciątko już ponad dwadzieścia tygodni miało. Wyobraża sobie siostra? Ponad dwadzieścia tygodni i jakiś szaleniiec wziął i zabił ich oboje. Tęsknię za nimi. I za synem też tęsknię. Bo żyje, a jakby nie żył. Dla świata już umarł. Dla mnie trochę też. Takie to straszne rzeczy na tym świecie się wyrabiają. Da mi siostra jakieś tabletki na ból głowy?

Pan Staszek wszedł do kuchni, taszcząc karton z olejem.

– Ten zapas to chyba na cały rok – zaśmiał się, sapiąc.

Łucja kątem oka spojrzała na panią Wandę. Głowa staruszki osunęła się do przodu. Kobieta przysnęła na krześle.

Zajęcia ciągnęły się bez końca. Seniorzy świetnie się bawili podczas wypiekania chrustów, ale Łucja odliczała minuty. Chciała uciec od zapachu starości, od pustego spojrzenia pani Wandy, radosnego pomrukiwania pana Staszka. W tym momencie to miejsce budziło w niej większy niepokój niż myśl o lalkarzu.

Odetchnęła dopiero, kiedy wsiadła do zimnego auta. Powoli wcisnęła pedał gazu. Do domu miała kilkaset metrów, ale skręciła w przeciwnym kierunku. Po piętnastu minutach zatrzymała się przed eleganckim blokiem z lokalami usługowymi na parterze. W gabinecie było włączone światło. Drzwi co chwilę się otwierały. Ktoś wchodził, ktoś inny wychodził. Zazdrościła tym, którzy mieli pretekst, żeby zobaczyć się z Tomaszem. Posłuchać żartów, poczuć dotyk jego dłoni podczas badania, usłyszeć matowy śmiech. Zawstydyła się tą myślą, ale ciepło, które wraz z nią pojawiło się pod skórą, dało chwilę przyjemnej błogości. Straciła poczucie czasu. Odjechała dopiero, kiedy w eleganckim flauszowym płaszczu wsiadł do

swojego porsche. Wróciła do siebie z uczuciem niepokoju, które przeniknęło ją wraz z przeraźliwym chłodem. Basy dochodzące z piętra wprawiały w drgania sufit. Włączyła komputer i zaczęła kompulsywnie szukać informacji o Arku. Nie miał konta w mediach społecznościowych, nie widniał w żadnych szkolnych wykazach – dla internetu nie istniał. Pomyślała o leżących w aucie laleczkach. Włożyła buty i wyszła na zewnątrz w samym swetrze. Otworzyła drzwi auta i sięgnęła po dwie słomiane kukiełki. Powinny być lekkie, a mimo to miała wrażenie, że trzyma w rękach kamień. Przyglądała im się przez chwilę. Pomarańczowym sznurkom udającym włosy, starannie pozwijanej słomie, śladom kleju w miejscu oczu. W świetle lamp ulicznych wyglądały upiornie. Nagle Łucja poczuła czyjeś spojrzenie na plecach. Odwróciła się, ale za nią była tylko pusta przestrzeń. Ściskając lalki w dłoniach, pobiegła do pokoju, wrzuciła je na dno szafy i przysypała nienoszonymi już ubraniami. Zamknęła drzwi na klucz. Wydawało jej się, że po drugiej stronie ulicy ktoś stoi, chociaż w ciemności nie mogła nikogo dostrzec.

Rano przekonała się, że miała rację. Za wycieraczką tkwiło zdjęcie wydrukowane na kartce A4, która pofalowała się od wilgoci, ale obraz wciąż był wyraźny.

Patrzyła na fotografię swojego auta pod gabinetem Tomasza. Ktoś ją śledził i chciał, by o tym wiedziała.

## ROZDZIAŁ 10

– Proszę mi opisać relacje, które łączyły panią z ojcem. – Niski głos mężczyzny dźwięczał jej w głowie, zagłuszając wszystkie myśli.

Łucja przełknęła ślinę. Zamierzała powtórzyć wyłącznie to, co zeznała w komendzie. Nie miała nic więcej do dodania, ale prokurator prowadził rozmowę w zupełnie innym kierunku.

– Już mówiłam, to była standardowa relacja dziecka z rodzicem. Nic ponad normę, nic poniżej normy. Przeciętna rodzina.

Protokolantka rytmicznie stuknęła w klawiaturę.

– Chyba nie taka przeciętna, skoro pani matka popełniła samobójstwo.

– Jaki to ma związek ze sprawą?

– Droga pani... – spojrzął do leżących przed nim na biurku akt – ...Muzyk, to ja jestem tutaj od zadawania pytań. Jeśli kiedyś w toku nieprzewidzianych wydarzeń zamienimy się rolami, z pewnością dokładnie odpowiem na każde pani pytanie, ale na razie trzymajmy się wyznaczonych nam funkcji. Zapytam więc raz jeszcze. Jakie relacje łączyły panią z ojcem po samobójczej śmierci matki? – Położył nacisk na trzy ostatnie słowa.

– Bardzo dobre, tata dawał mi dużo wsparcia.

– A podczas alkoholowych ciągów?

– Nigdy nie stosował wobec mnie przemocy, jeśli o to pan pyta – odparła powoli.

– Nie był agresywny? Kilka osób z Kwietników twierdzi inaczej.

– Nigdy nie widziałam go zdenerwowanego – skłamała, patrząc prokuratorowi prosto w oczy.

– Rozumiem. Czy wie pani coś o zwłokach, które odnaleźliśmy w studni pani domu rodzinnego?

– Nie – odpowiedziała zdecydowanie. – Każdy mógł je tam porzucić, nasza posesja nie miała solidnego ogrodzenia.

– Tak, tak – mruknął. – Proszę powiedzieć w takim razie, czy pobieraliście wodę ze studni.

Nabrała powietrza w płuca.

– Nie pamiętam.

– Dziwne, bo zazwyczaj wspomnienia z okresu, kiedy ma się te osiem-dziewięć lat, są już dość wyraźne. – Popatrzył na nią przeciągle, a potem znów przeniósł wzrok na teczkę z aktami. – Pani ojciec wpadał w kilkudniowe ciągi alkoholowe, więc w tym czasie musiała być pani już dość samodzielna. I nie pamięta pani, czy pobieraliście wodę ze studni? – Zastukał długopisem w blat biurka, jakby chciał ją ponaglić.

– Pomagała mi ciotka – odparła wymijająco.

– Teresa Kołodziejczyk?

– Tak.

– Rozumiem. Z tego, co wiem, niestety nie żyje. W takim razie będziemy musieli zwrócić się do jej synów. Może oni mają lepszą pamięć.

Łucja zacisnęła palce na krawędzi krzesła.

Siedziała przy stole i niemrawo mieszała łyżką w talerzu z zupą.

– Nie baw się jedzeniem, to wszystko ciężkie pieniądze kosztuje – upomniała ją ciotka.



Łucja zerknęła na obu kuzynów, którzy kroili kotlety mielone i ostentacyjnie wpychali je sobie do ust.

- Nie lubię szczawiowej - powiedziała.
- Nie grymas, tylko jedz.
- Mogłabym kotleta? - zapytała cicho.
- Kotlety są dla chłopców, bo oni muszą mieć dużo siły. Dziewczynki jedzą zupy.
- A ty jesteś dziewczyną i też jesz kotleta.
- Bo jestem dorosła i też muszę mieć dużo siły. Zresztą nie zaglądam innym do talerza, tylko zajmij się swoim.

- Nie chcę. - Odsunęła taboret i wstała od stołu.
- Nie chcesz, to nie jedz. - Ciotka Teresa ciężko wciągnęła powietrze do płuc. - Ale nigdzie nie idziesz, moja panno, bo dzisiaj sprzątasz z chłopakami po obiedzie. Siadaj i czekaj, aż zjemy.

Posłusznie osunęła się na taboret. Dziesięć minut później szorowała druciakiem upačkane tłuszczem talerze. Arek siedział na blacie szafki kuchennej i obserwował ją, pogwizdując pod nosem.

- Nieźle jej idzie, co nie, Bartek? Może jakąś robotę na zmywaku kiedyś dostanie? - Zacmokał.

Bartek wziął kromkę chleba z szuflady, maślanek z lodówki i bez słowa wyszedł z kuchni.

- Widzisz, taki pożytek z tego mojego braciaka. Miał pomagać, a poszedł w cholere. Ale nie martw się, ja ci towarzystwa dotrzymam.

Łucja bez słowa zmywała dalej.

- No co się nie odzywasz? Pogadajmy sobie, to przynajmniej ci czas zleci szybciej przy robocie. - Wyjął z kieszeni wykałaczkę i zaczął nią dłubać w zębach. - Nie chcesz, nie gadaj. To ja ci coś opowiem, bo dobry kuzyn jestem. O twojej matce na przykład. Chcesz?

Poczuła, jak piecze ją twarz.

- Dobra z niej kobieta była, ładna taka, ułożona, nawet elegancka. No, wstydu to do takiej ciotki machać przed sklepem nie było.

Plusk wody niósł się echem po kuchni.

Arek z uśmiechem opowiadał dalej:

- Ale coś jej się porobiło w głowę i jakiejś podobno depresji dostała. Życ jej się odechciało. Aż w końcu się zabiła. I wiesz co, ja to młody byłem i nie ogarniałem sytuacji, ale słyszałem, jak mama opowiadała twojemu ojcu. Ona się przez ciebie zabiła.

Łucja spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- No, nie patrz się tak jak downiara. Zniszczyłaś jej życie. Nienawidziła cię, chciała, żebyś umarła. A skoro ty wciąż żyłaś, to sama się zabiła. Smutne, co nie?

Zacisnęła palce na talerzu.

- Zamknij się - wyszeptwała, sama przestraszona własną odwagą.

- Co ty do mnie powiedziałaś, szmaciaro zawszona?! - Arek zeskoczył z blatu i podszedł do niej.

- Prosiłam, żebyś nie mówił tak o mojej mamie - powiedziała cicho.

Podszedł do niej i złapał ją za włosy.

- Nigdy więcej tak do mnie nie mów, rozumiesz? - Pociągnął mocniej, aż wygięła się do tyłu. - Jesteś takim śmieciem, że nawet twoja matka wołała umrzeć, niż żyć z tobą pod jednym dachem. Więc docień to, że w ogóle cię tutaj tolerujemy, albo zrobię wszystkim przysługę i się ciebie pozbędę. - Przyciągnął ją do podłogi.

Talerz wysunął się jej z drobnych rąk. Brzdęk tłuczonego szkła poniósł się po kuchni.

Palila papierosa przy uchylonym oknie. Na zewnątrz było już ciemno. Pomarańczowe światło lampy żarzyło się na tle czarnego nieba. Bała się wyjść przed dom. Po tym, jak zobaczyła tamto zdjęcie, gdzieś

w odmętach podświadomości czuła strach, który powoli rozchodził się po całym ciele. Nie bała się, że Arek ją zabije – od dziecka była oswojona ze śmiercią, tylko obsesyjnie obawiała się tego, co nastąpi przedtem. Znała go nazbyt dobrze. Wiedziała, że nie pozwoli jej zginąć od ciosu w głowę ani pchnięcia nożem. Nie, on wymyśli coś okrutnego, żeby napawać się jej bólem i bezradnością. Tyle że nigdy nie był zbyt błyskotliwy – laleczki i zdjęcie wetknięte za wycieraczkę auta wydawały się nieco zbyt wyrafinowane jak na niego. No chyba że nie działał sam. Może miał współnika. Jakiegoś równie wypaczonego psychopata, który mordował dla przyjemności. Mogłaby iść na policję, zgłosić, że ktoś ją prześladowe, powiedzieć o swoich podejrzeniach względem Arka. Potrząsnęła głową, jakby chciała przekonać siebie, że to zły pomysł. Nikt by tego nie zrozumiał. Żadne słowa nie były w stanie oddać tego, jakim człowiekiem jest jej kuzyn. Mogła jedynie czekać. Na dzień lub noc, kiedy postanowi po nią przyjść.

Obudziła się z silnym bólem głowy. Kiedy szukała w torbie tabletek przeciwbólowych, poczuła nagle, że cały ten dręczący ją od kilku dni niepokój wyparował. Została w niej tylko czysta wściekłość. Chciała odzyskać życie, o które przez ostatnie lata tak zaciekle walczyła. Żałowała, że nie może już liczyć na ojca. On zawsze jej bronił. Zawsze, za wszelką cenę. Nawet najwyższą. Wróciła myślami do tamtego dusznego sierpniowego popołudnia. Niemal poczuła mdlący zapach samochodowego odświeżacza powietrza. Ojciec powiedział wtedy, że ją ochroni i już nikt nigdy jej nie skrzywdzi. Minęło kilkanaście lat, a ona wciąż miała do niego żal, że nie dotrzymał słowa.

Zimowe powietrze zostało wyparte przez łagodne masy ciepła, przywodzące na myśl przedwiośnie. Kalendarz wskazywał styczeń, ale świat wyglądał już marcowo. Powoli przeszła przez parking pełen pośniegowego błota.

– Łucja! – Usłyszała stłumiony krzyk za plecami. Obejrzała się, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów. Rita machała z przystanku. Poczekała na nią. Dziewczyna szła szybko, zerkając na zegarek.

– Mamy jeszcze dwadzieścia pięć minut – oznajmiła, nieco zasapana. – Może zapalimy dzisiaj tam? – Wskazała brodą tyły uczelnianej stołówki.

Łucja poczuła dreszcz na plecach – Rita musiała mieć jakieś nowe informacje o lalkarzu. Poganiała ją spojrzeniem, gdy ta długo szukała fajek w torbie. W końcu nie wytrzymała.

– Jakies nowe ustalenia w sprawie lalkarza? – zapytała.

– Nie o tym chciałam rozmawiać – odpowiedziała koleżanka, a ona poczuła rozlewające się pod skórą rozczarowanie. – Znaczy nie tylko o tym – dodała po chwili Rita.

– Więc o co chodzi?

– Co za przypał masz na chacie?

Łucji zaschło w gardle. Musiała odchrząknąć.

– Na chacie? Nie rozumiem.

– Przestań się zgrywać i mów, co tam się odpieprzyło w tych Kwiatkach czy Kwietnikach. Nie pamiętam dokładnie.

Nie było sensu iść w zaparte. Westchnęła.

– Podczas akcji gaśniczej odnaleziono w studni jakieś szczątki...

– Jakies? – Rita uniosła brwi.

– Chyba kobiety. Podobno zginęła od uderzenia ciężkim narzędziem w głowę, tyle wiem.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś wcześniej?

– Raczej nie było się czym chwalić. – Łucja rzuciła niedopałek na chodnik i sięgnęła po kolejnego papierosa.

– Słuchaj, sprawa jest podobno sprzed dwudziestu lat, więc ciebie raczej nie będą oskarżać, ale teraz każde zabójstwo kobiety rozpatrywane jest pod kątem lalkarza, nawet takie stare. W tej sytuacji lepiej uważaj na to, co mówisz policji.

– W tej sytuacji? – Popatrzyła na nią badawczo. Czyżby Rita podejrzewała, że ona ma coś wspólnego z tymi zabójstwami?

– Mogą postawić hipotezę, że to dzięki twojemu ojcu te zwłoki znalazły się w studni. A potem przypomniała sobie, że lalkarz zabija w pobliżu twojego aktualnego miejsca zamieszkania, rozumiesz? Dodadzą sobie dwa do dwóch i wyjdzie im, że córka zabójcy sprzed lat może być... Sama nie wiem, naśladowcą? – Rita wzruszyła ramionami. – Naprawdę lepiej uważać, bo będą chcieli ukreślić sprawę łeb i wsadzić kogokolwiek. Szczególnie że lalkarz na razie przestał zabijać.

Łucja przełknęła głośno ślinę. Lalkarz nie tylko działał w pobliżu miejsca jej zamieszkania... Przecież była wtedy w lesie, słyszała pierwszą ofiarę, była też w mieszkaniu, w którym znaleziono kolejną... A może – przemknęła jej przez głowę okrutna myśl, której nie była w stanie powstrzymać – może jestem równie chora jak mój ojciec i to ja zabiłam te kobiety? Czowała, jak nogi się pod nią uginają. W jej głowie było coraz więcej czarnych plam. A co z lalczkami w aucie? Sama je sobie podrzuciła? Nie, niemożliwe, przecież nie była na tyle zaburzona. I co niby jeszcze zrobiła? Pojechała do domu i go spaliła? Przecież pożar wybuchł podczas wyjazdu z Tomaszem do Bergamo. A jednak była w jej głowie jakaś nieprzenikniona ciemność, która podsyciała myśl, że to właśnie ona może mieć z tym wszystkim coś wspólnego.

– Hej, dobrze się czujesz? – Rita spojrzała na nią z troską.

– Tak, wszystko okej, po prostu ostatnio słabo śpię.

To była prawda: słabo spała i wciąż bolała ją głowa. I coraz częściej nie mogła sobie przypomnieć, co robiła poprzedniego wieczoru...

– Słuchaj, mam pewien trop w sprawie lalkarza – zaczęła powoli Rita przyciszonym głosem. – Tylko to musi zostać między nami. Wyłącznie między nami. Nie wspominałam o tym nikomu, nawet Damianowi. I nie mówiłabym tobie, gdybyś w pewien sposób nie była w to zaangażowana.

Łucja zadrżała. Co zaraz usłyszysz? Że to ona ma krew na rękach?

– No wiesz, w końcu razem znalazłyśmy zwłoki nad jeziorem – dodała Rita, uśmiechając się niepewnie, i Łucji ulżyło. Ona wcale jej nie podejrzewała, tylko nie chciała grzebać w tym sama.

Pokiwała głową.

– Jasne, pomogę ci, jak tylko będę mogła.

Dziewczyna westchnęła i przysunęła się do niej bliżej.

– Anna Leszczyńska, Marta Zagórska i Aniela Dąbek. To trzy ofiary lalkarza – wyszeptła. – Ostatnio robiłam wstępny research i przypadkiem natknęłam się na intrygujący post sprzed dwóch lat. Okazało się, że dwie pierwsze dziewczyny łączy jedna ciekawa sprawa. Obie polubiły ten sam wpis. Dotyczył jakiegoś psychologicznego wydarzenia. Nazywało się... Poczekaj. – Spojrzała w ekran telefonu. – Terapia konfiguracji społecznych. Inicjacja.

– Brzmi całkiem zwyczajnie – zauważyła Łucja. – Te fejsbukowe eventy zawsze mają jakieś wydumane nazwy. Ale to tylko lajk, tak?

Rita wzruszyła ramionami.

– Tylko lajk – przyznała. – Ale od czegoś trzeba zacząć. Zresztą nie uważasz, że to dziwne, że obie ofiary interesowały się tym samym wydarzeniem, a teraz gryzą ziemię?

– A trzecia dziewczyna?

– Miała konto widoczne tylko dla znajomych, więc jej interakcji nie można podejrzeć. Próbowала ustalić, kto jest autorem tamtego posta, ale ma zupełnie pusty profil, jakby fejkowy. Pogrzebałam trochę i znalazłam miejsce tego wydarzenia. To dworek w Bisztynku.

Łucji nic to nie mówiło, ale Rita miała rację – od czegoś trzeba było zacząć.

– To co, kiedy tam jedziemy? – rzuciła.

Twarz Rity momentalnie rozjaśniła się w uśmiechu.

- Po jutrzejszym egzaminie z logiki? Później mamy dwa tygodnie przerwy aż do nowego semestru. Właśnie, egzamin... - syknęła, zerkając na zegarek. - Nie chcę wyjść na jakąś szczególnie pilną, ale od trzech minut trwa ten z ekonomii.

Popędziły przez parking, popychane ciężkimi podmuchami wiatru. Łucja gorączkowo myślała o tym, że jeśli trop Rity jest słuszny, to Arek nie może być lalkarzem. Terapia konfiguracji społecznych nie mogła mieć nic wspólnego z człowiekiem, którego rozwój emocjonalny był na poziomie ameby. W pierwszej chwili jej ulżyło, ale sekundę później niepokój powrócił ze zdwojoną siłą.

Kto w takim razie był lalkarzem i czego od niej chciał?

## ROZDZIAŁ 11

Zapukała trzy razy. Po drugiej stronie sosnowych drzwi panowała cisza, ostrożnie więc nacisnęła klamkę. Dyrektorka siedziała pochylona nad papierami przy biurku. Zbyt ciasna bluzka w kwiaty opinała jej duże piersi i grube przedramiona.

– Mogę? – spytała Łucja.

Kobieta spojrzała na nią, mrużąc oczy.

– Ach, tak, tak. Proszę.

– Pukałam, ale...

– Nie słyszałam, tak się zasiedziałam nad rozliczeniami – weszła jej w słowo.

Nie wyglądała najlepiej. Przekrwione białka i wory pod oczami sprawiały, że wydawała się starsza o kilka lat od czasu, kiedy Łucja widziała ją ostatni raz.

– Pani dyrektor, potrzebuję kilku dni wolnego, dokładnie dwóch. Wtorku i czwartku. Wypadł mi niespodziewany wyjazd i...

– Trochę późno to pani zgłasza.

– No tak, ale na początku umawialiśmy się na elastyczny grafik.

– Elastyczny grafik to nie to samo co zmiana terminu zajęć dzień wcześniej – zauważyła cierpko dyrektorka. – Jak pani sobie to wyobraża? Dzisiaj jest poniedziałek, seniorzy mają już zorganizowany transport na ten tydzień. Dostali grafik rano.

– Rzeczywiście, nie pomyślałam o tym – odparła Łucja, ale w jej głosie nie słychać było skruchy.

Kobieta westchnęła ciężko.

– Proszę załatwić jakieś zastępstwo. Takie nieoficjalne. Kogoś, kto po prostu przyjdzie i spędzi z nimi trochę czasu, ugotuje coś prostego.

– Raczej nie uda mi się znaleźć nikogo takiego.

– A Monika? Kiedyś pomagała u nas jako wolontariuszka, zanim jeszcze pozyskaliśmy dofinansowanie na opłacanie kadry. Jestem pewna, że chętnie wyrwie się na kilka godzin z domu, ale musi pani ją zapytać. – Pochyliła się znów nad papierami, jakby chciała zaznaczyć, że rozmowa dobiegła końca.

Łucja poczuła się jak intruz. Dyrektorka w niczym nie przypominała tej rozentuzjasmowanej, miłej blondynki z rozmowy kwalifikacyjnej.

– Spróbuję – mruknęła rozczarowana.

– Pani Łucjo. – Usłyszała, kiedy była już przy drzwiach.

– Tak? – Zastygła z ręką na klamce.

– Jak już sobie tak rozmawiamy, chciałabym poinformować, że pani grupa nieco się uszczupli. Pani Wanda raczej nie będzie już uczęszczała na zajęcia.

Oparła się o drzwi. Nie bardzo wiedziała, co powinna powiedzieć.

– Wielka szkoda, to bardzo miła staruszka – wydusiła z siebie w końcu.

– Tak, ale postępująca demencja uniemożliwia jej już funkcjonowanie w grupie. Mówiąc wprost, niestety stała się niebezpieczna dla siebie i innych.

„Przynajmniej nie będę słuchać tych jej bezsensownych opowieści”, pomyślała Łucja, ale że dyrektorka wciąż jej się przyglądała, jakby czekała na jakąś reakcję, rzuciła:

– Wspominała coś o swojej córce albo synowej, niedokładnie zrozumiałam. Właściwie to chyba mnie z nią myliła. Powiedziała, że ktoś ją zabił.

Kobieta uśmiechnęła się pobłaźliwie i wzięła do ręki długopis.

– Cóż, wydarzenia, które pani Wandzia widzi na przykład w telewizji, często bierze za coś prawdziwego i później wplata je w swoje życie. Proszę się tym nie przejmować.

Łucja przypomniawszy sobie to pełne rozpaczy spojrzenie, które miała staruszka, opowiadając o śmierci Zosi.

– Wydawała się bardzo poruszona – zauważyła. – Jakby to wydarzyło się naprawdę, a nie tylko w telewizji.

– Mało pani jeszcze wie o starości, moja droga. – Słowa dyrektorki zabrzmiały lekceważąco.

Z trudem powstrzymała się przed rzuceniem kaśliwej uwagi, że odkąd prowadzi zajęcia dla seniorów, wie o starości znacznie więcej, niż by chciała.

– W każdym razie mam wrażenie, że czuje się bardzo samotna – dodała, żeby już zakończyć ten temat.

– Jej syn jest raczej zajęty swoim życiem, nie ma czasu opiekować się schorowaną matką. Chociaż był tu u nas raz czy dwa podpisać jakieś papiery – westchnęła kobieta, a potem spojrzała ostentacyjnie na stos dokumentów piętrzących się na jej biurku. – Bardzo przepraszam, ale sama pani rozumie.

– Jasne, nie będę już przeszkadzać. Do widzenia.

Wyszła stamtąd z ulgą. Ta podtrzymywana z grzeczności rozmowa strasznie ją wymęczyła. Tak naprawdę niewiele obchodziła ją ani pani Wanda, ani jej syn, ani tym bardziej Zosia, bez względu na to, czy istniała naprawdę, czy nie.

Przez wąski przesmyk między firaną a parapetem przebijała smolista czerń. Łucji przez chwilę wydawało się, że w ciemności dostrzega jakiś ruch. Szczelniej zasunęła zasłony, a potem wrzuciła ubrania do torby podróżnej. Nawet cieszyła się z tego wyjazdu – przynajmniej będzie z dala od tego, kto podrzucił jej zdjęcie i laleczki. Nie bardzo wierzyła w trop Rity, ale postanowiła skorzystać z możliwości wyrwania się z tego ponurego pokoju. Nie musiała długo przekonywać Moniki, by poprowadziła za nią zajęcia w świetlicy, właściwie wcale nie musiała jej przekonywać – dziewczyna była bardzo chętna, więc Łucja uznała, że może ją tym obarczyć bez wyrzutów sumienia, i szybko skończyła rozmowę. Obudziła się na chwilę przed budzikiem. Naciągnęła na T-shirt gruby sweter i poszła do kuchni wstawić wodę na kawę. Kiedy dwie godziny później wyjeżdżały z Olsztyna, wciąż czuła jej gorzki smak na języku.

– Będziemy musiały ogarnąć jakiś nocleg – mruknęła, wymijając ciężarówkę.

– Coś się znajdzie. W najgorszym razie weźmiemy coś po trasie. – Rita utkwiała wzrok w wyświetlaczu telefonu.

– Masz coś jeszcze? Jakies wskazówki?

– Nic. Założycielem tego wydarzenia był niejaki Mu Mu, który nie ma nawet zdjęcia profilowego. Napisałam do suportu prośbę o udostępnienie danych, ale kamień w wodę. Trzeba będzie wypytać miejscowych, no i przede wszystkim właścicieli dworku, w którym miały się odbyć te całe warsztaty.

– Myślisz, że będą chcieli rozmawiać?

– Pokręcimy się, zdobędziemy zaufanie, a później przyciśniemy kogo trzeba. Wszystko strategicznie. – Rita popukała się ze śmiechem po czole.

Łucja zawahała się, ale po chwili cicho zapytała:

– A w sprawie studni? Mają jakieś nowe ustalenia?

– Nic nie wiem. Zresztą celowo unikałam Damiana, bo nie chciałam mu wspominać o naszym wyjeździe, a na razie nie mam innego źródła informacji. Jestem za cienka w uszach, jak to u nas mówią.

Po dwóch godzinach jazdy z kilkoma przerwami na papierosa minęły zieloną tablicę z napisem „Biszynek”. Łucja zgodnie z instrukcjami nawigacji od razu skręciła w ulicę Ogrodową. Jechały wąską drogą wzdłuż pól i łąk. Nagle pomiędzy połaciami brązowej, podgniłej trawy pojawił się budynek ze zdobionym ogrodzeniem. Powoli zaparkowała w miejscu wyznaczonym dla gości.

- No to idziemy. - Podekscytowana Rita energicznie odpięła pasy.

Weszły do chłodnego hallu. Zielone ściany i wiszące ozdoby z suszonych kwiatów prezentowały się dość prząśnie. Wokół roznosił się zapach stęchlizny pomieszany z jakimś słodkim odświeżaczem powietrza.

- Dzień dobry - zagadnęła niska brunetka, która ledwo co wystawała znad lady recepcyjnej.

- Dzień dobry - odpowiedziała dziarsko Rita.

Łucja spojrzała na nią zdziwiona - nigdy nie słyszała w jej głosie aż takiej pewności.

- W czym mogę pomóc? - Recepcjonistka uśmiechnęła się przymilnie. Miała pewnie nieco ponad dwadzieścia lat.

- Chciałybyśmy porozmawiać.

- O rezerwacji?

- Niekoniecznie. - Rita oparła ręce na brązowym, lekko zakurzonym blacie.

Dziewczyna spojrzała na nie ze zdziwieniem.

- Więc o co chodzi?

- Długo pani tu pracuje?

- W marcu miną trzy lata. Zaczęłam od razu po maturze, ale co to panią... Znaczą, jakie to ma znaczenie? - poprawiła się szybko.

- Chciałabym podpytać o pewne wydarzenie sprzed dwóch lat. Warsztaty konfiguracji społecznych, październik dwa tysiące dwadzieścia. To była grupa, pewnie potrzebowała jakiejś przestrzeni konferencyjnej. Może przygotowywali państwo potykacze z nazwą warsztatów? Z pewnością coś pani pamięta. - Rita sięgnęła do kieszeni kurtki i pomachała jej przed oczami legitymacją policyjną. - Prawda?

Recepcjonistka się spłoszyła. Zlizała błyszczkę z ust.

- Rzeczywiście, było u nas takie wydarzenie. Pamiętam, bo ten cały organizator był taki... dziwny. Chciał tylko jeden potykacz przy serwisie kawowym na powitanie. Nawet żadnych identyfikatorów czy jakichkolwiek materiałów.

- A dane meldunkowe uczestników? Może pani je wyciągnąć z systemu?

Dziewczyna głośno wciągnęła powietrze.

- No właśnie to też mnie wtedy zdziwiło, ale szefowa nie kazała ich meldować. Wszystkie pokoje były na organizatora. Powiedziała, że zapłacił ekstra za anonimowość. On też nie dał żadnego dokumentu tożsamości. - Nagle przestraszyła się, że powiedziała za dużo, ale Rita posłała jej uspokajające spojrzenie.

- Wie pani, jak to jest, dużo gości szczególnie poza sezonem tu nie mamy, to i nie wybrzydząmy za bardzo - uśmiechnęła się niepewnie. - Nic nie zniszczyli, nie było kłopotów, więc...

- A jakie dane podał ten organizator?

Dziewczyna przez chwilę klikała w wysłużonego laptopa.

- Jan Kowalski - odpowiedziała cicho.

- Kurwa - zaklęła pod nosem Rita.

- Jeszcze coś mi się przypomniało - rzuciła recepcjonistka, gdy już wychodziły. Zupełnie jakby chciała w ten sposób udobruchać policjantkę. - Całe dni spędzali na sali konferencyjnej, nie mieli nawet przerwy obiadowych. I nie wolno było tam wchodzić.

Łucja przysłuchiwała się całej tej rozmowie z boku. Doceniła szczerą dziewczyny, choć pewnie jej szefowa miałaby na ten temat inne zdanie. Dopiero kiedy opuściły dworek, sięgnęła po papierosa do kieszeni ramoneski i spytała:

- I co myślisz?

- W sumie nic - wzruszyła ramionami Rita. - Nie mamy żadnego punktu zaczepienia poza dowodem, że te warsztaty rzeczywiście się tu odbyły. Ale nie wiemy nawet, czy ofiary lalkarza wzięły w nich udział.

Zaczekaj chwilę. Zapomniałam o najważniejszym. – Wręczyła jej swojego dopiero co zapalonego papierosa, odwróciła się na pięcie i zniknęła za drzwiami budynku.

Wróciła po pięciu minutach z błyskiem w oku. Z jej marlboro pozostał już tylko tłący się filtr. Łucja rzuciła jej pytające spojrzenie.

– Te warsztaty odbyły się więcej niż raz. Dziewczyna sprawdziła te ostatnie: kwiecień zeszłego roku. Zawsze ten sam schemat: zamknięta salka, zakaz wchodzenia, pełna anonimowość. Wiesz, co to oznacza? – Zatarła dłonie i uśmiechnęła się szeroko. Łucja już dawno nie widziała jej tak podekscytowanej. – Ruszamy do miasta i podpytujemy miejscowych. Może ktoś coś słyszał, widział albo nawet brał udział w tych spotkaniach.

Centrum Bisztyńka było klaustrofobiczne i przygnębiające – kilka niskich budynków, knajpa z kebabem, spożywcza. Wokół prowizorycznego rynku nie kręcili się żadni ludzie poza bezdomnym, ciągnącym za sobą psa na sznurku.

– Może spróbujmy tam – zaproponowała Łucja, wskazując na mały sklep z tak brudnym oknem, że nie było widać, co jest w środku. – W takich dziurach to prawdziwe centrum informacji.

W sklepiku panował półmrok. Wszędzie ustawiono skrzynki z owocami i warzywami, tak że trudno było podejść do lady, za którą stała otyła kobieta około pięćdziesiątki.

– Słucham? – zapytała od niechcienia.

– Poproszę wodę niegazowaną.

– Liter czy dwa?

– Może być litrowa.

– To se pani sięgnie, za plecami w lodówce stoi. – W głosie zabrzmiało wyraźne poirytowanie.

– Ach tak, nie zauważyłam – uśmiechnęła się, chociaż w środku aż ją skręciło.

– Weź jeszcze dwie drożdżówki, bo padam z głodu. – Rita utkwiała wzrok w wystawionych na witrynce na ladzie sznekach.

– Poproszę dwie w takim razie – zwróciła się do sklepowej Łucja, a ta polizała palec wskazujący i wzięła bułki przez foliowy woreczek. Jej fartuch w kwiaty napiął się przy tym niebezpiecznie na obfitym biuście.

– To wszystko?

– Tak, dziękuję.

– Osiem czterdzieści będzie.

– Poproszę kartą.

– Zdurniała chyba – prychnęła kobieta. – Takie grosze kartą chce płacić! To wszystko bank capnie i nic już z tych zakupów nam w kieszeni nie zostanie.

– Spoko, ja mam gotówkę. – Rita szybko sięgnęła po portfel i położyła na ladzie dwudziestozłotowy banknot. – Nie trzeba reszty.

– A co to, jałmużna jakaś? – obruszyła się ekspedientka. Fartuch zaszeleścił, jeden z guzików niebezpiecznie zatrzeszczał, jakby zaraz miał się oderwać i z impetem uderzyć w Łucję. Zanim ta zdążyła się na wszelki wypadek odsunąć, Rita zareagowała:

– Nie, nie. Po prostu nie chciałam, żeby się pani kłopotowała z szukaniem reszty.

– Kłopotać się nie będę – oznajmiła kobieta i ostentacyjnie wysypała na ladę garść monet.

– Właściwie to chciałyśmy panią podpytać, czy kojarzy może pani grupę osób, która przyjeżdżała do Dworku Szlacheckiego na warsztaty.

– Tam to co chwilę ktoś przyjeżdża i odjeżdża, w końcu jak to w hotelu.

– Tak, tak. Ale to była taka specyficzna grupa. Na warsztaty psychologiczne przyjeżdżali – wtrąciła się Łucja. – Ostatni raz jakoś chyba w kwietniu byli.



Ekspedientka spojrzała na nie uważnie i sięgnęła po kilka ziaren słonecznika z otwartej paczki.

- A to te nawiedzenie - powiedziała po chwili. - To kojarzę.

- Nawiedzenie?

- Czasami przychodzili tu po drobne zakupy. Jakies chipsy brali, piwko, nic wielkiego. Ale jedna babka opowiadała, że oni tam jakies czary robią.

- Czary? - powtórzyła zaskoczona Rita, zgarniając z lady drobniki.

- To nie na moją głowę takie rzeczy. Duszami się zamieniali czy coś takiego. Wnikać nie chciałam, bo samo myślenie o takim szarlataństwie to grzech - zakończyła twardo i zacisnęła wargi, po czym, nie zwracając już uwagi na dziewczyny, sięgnęła po krzyżówkę.

- To kto kolejny na liście do przepytania? - zapytała Łucja, zamykając za sobą drewniane drzwi sklepu.

- Rodzice Leszczyńskiej. Pochodziła z Węgorzewa, więc to niedaleko stąd. Co prawda raczej wątpliwe, by zwierzyła im się z tego, że wybiera się na jakies warsztaty psychologiczne, ale nie zaszkodzi sprawdzić.

Mróz przenikał każdy centymetr jej ciała. Zamarznięte kałuże skrzyły się w słońcu.

- Właz. - Arek szarpnął mocniej.

- Ale ja nie chcę, boję się.

- Powiedziałem: właz. - Popchnął ją i wtedy upadła na skutą lodem tafle jeziora.

Przy brzegu była gruba, ale kilka metrów dalej pobłyskiwała niepokojąco, jakby tuż pod powierzchnią znajdowała się woda. Temperatura spadła poniżej zera dopiero trzy dni temu, a wcześniej przez kilkanaście dni padał ulewny deszcz. Przesiaknięte wodą powietrze zdawało się przez to jeszcze zimniejsze, niż wskazywał termometr.

Czapka zsunęła się po jej rudej grzywce, zasłaniając oczy. Łucja poprawiła ją szybko i powoli przesunęła się do przodu. Arek z dwoma kolegami na brzegu palili papierosy.

- Kurwa, dawaj szybciej, nie będziemy tu sterczeć cały dzień!

Zrobiła dwa kolejne kroki.

- Dobra, pierdolić to - odezwał się jeden z chłopaków. - Po co nam to wędkowanie w przerębli. Chodźmy po jakiegoś sikacza lepiej.

- Nie - uciął ostro Arek. - Najpierw ryby.

- Co się tak upierdoliłeś na to? Nie wiadomo, czy jezioro zdążyło zamarznąć.

- No i właśnie to sprawdzamy. - Rzucił w plecy Łucji małym kamieniem. - Albo się pośpieszysz, albo się policzymy w domu.

Piekący ból rozlał się wzdłuż łopatki. Znów zrobiła kilka kroków. Lodowaty wiatr smagał ją po policzkach. Stopa za stopą. Serce łomotało pod żebrami. Nagle poczuła gwałtowne szarpnięcie. Tysiąc igieł wbiło jej się w udo, kolano, łydkę. Krzyknęła. Wysoki dziewczęcy pisk rozdarł ciszę.

Godzinę później leżała, dygocząc pod starą koldrą. Gdzieniegdzie przez poźółkłą poszwę wystawały pióra, które drażniły skórę.

- Rozumu to ty za grosz nie masz - mruknęła ciotka, stawiając obok łóżka na podłodze kubek ze smolistą herbatą. - Co cię naszło, żeby po lodzie łaźić? Całe szczęście, że Arek i ten jego kolega w pobliżu byli i ci tyłek uratowali. Inaczej ziemię byś już gryzła, jak twoja matka i ojciec.

Nie odezwała się.

- Wdzięczności byś trochę okazała - mruknęła ciotka, a z jej ust wydobyły się maleńkie kropelki śliny.

Dziewczynka przymknęła oczy. Zęby wciąż szczękały jej z zimna. Wiedziała, że gdyby Sylwek nie rzucił jej szalika, by mogła się chwycić, nigdy już nie wyszłaby z tej wody. A Arek patrzyłby tylko rozbawiony, jak ona się topi.

Łucja była w Węgorzewie tuż po maturze na festiwalu muzycznym. Pojechała tam wtedy ze znajomymi. Miasteczko wydawało się pełne zapachów, barw i dźwięków. Teraz odniosła wrażenie, jakby ktoś wyłączył fonię i kolory w starym telewizorze. Przekrzywione szyldy jadalni, opustoszały rynek i śmieci walające się po chodnikach – tak właśnie wyglądało to miejsce. Zatrzymała auto przed budynkiem z czerwonym napisem „Salon meblowy”. Prostokątna bryła pozbawiona okien wyglądała bardziej na magazyn niż sklep. W środku panowało przesywające zimno. Przyciemnione światło rzucało posępne cienie na prezentowane w każdym kącie meble. Stoły, kanapy, szafki i łóżka porozstawiane bez żadnego porządku sprawiały raczej wrażenie porzuconych niż przeznaczonych na sprzedaż.

– Szukamy właścicieli, państwa Leszczyńskich – powiedziała Rita do sprzedawczyni krzątającej się po sklepie.

– Szefa nie ma, wyjechał na targi, a szefowa jest u siebie.

– U siebie, czyli gdzie?

– U góry i w prawo – burknęła, podążając już w kierunku starszej kobiety, która właśnie pojawiła się w sklepie.

Powoli weszły po schodach. Białe drzwi ze złotym napisem „Biuro” wyglądały jak wyrwane z zupełnie innej przestrzeni. Łucja zapukała dwa razy. Otworzyła im wysoka kobieta w za dużej czarnej sukience. Przez spłowiałe blond pasma włosów prześwitywały szare refleksy.

– O co chodzi? – zapytała bez emocji.

– Dzień dobry, chciałybyśmy pani zająć chwilkę – zaczęła łagodnie Rita.

– Ale w jakiej sprawie? – Kobieta nie ruszyła się z miejsca, zagradzając im wejście do biura.

– Chciałyśmy porozmawiać. – Zawiesiła głos, jakby bała się wypowiedzieć kolejną część zdania. – O pani córce – dodała ciszej.

Leszczyńskiej zalsniły oczy. Malowała się w nich złość.

– Nie będę z wami rozmawiać, hieny okropne! – krzyknęła chrapliwym głosem. – Nachodzicie nas, wypytujecie, a później piszecie te bzdury w swoich brukowcach!

Kilkoro klientów spojrzęło z zaciekawieniem w ich stronę.

– Mamo, o co chodzi? – Za jej plecami rozległ się łagodny damski głos.

– Znowu przyszyły węszyć – odparła wzburzona kobieta.

– Nie, nie, źle nas pani zrozumiała. – Rita podnosiła ręce na wysokość piersi, jakby chciała w ten sposób podkreślić, że ma dobre zamiary. – Nie jesteśmy dziennikarkami, jesteśmy... – zawahała się – ...z policji.

Leszczyńska zmrużyła oczy.

– Przecież śledztwo prowadzi ten łysy policjant – powiedziała już ciszej po chwili namysłu.

– Może wejdziemy do środka i na spokojnie porozmawiamy? – Z głębi biura wyłoniła się jasnowłosa dziewczyna z twarzą upstrzoną piegami i objęła matkę ramieniem. Spojrzała wymownie na klientów spacerujących po sklepie.

– Tak, rzeczywiście. Porozmawiajmy w środku – mruknęła Leszczyńska i wycofała się, pozwalając im wejść.

Ciasne pomieszczenie wyglądało na zadbane. Kwiatowa tapeta, niewielka skórzana sofa i dwa dębowe biurka robiły dobre wrażenie.

– Proszę usiąść. – Młoda blondynka wskazała na kanapę. – Napiją się panie czegoś?

– Nie trzeba – odpowiedziała szybko Łucja, nie czekając na reakcję Rity. Nie chciała spędzić tu więcej czasu, niż to będzie konieczne.

Leszczyńska bez słowa opadła na sofę. Za jej plecami w przeszklonej witrynie stała ramka ze zdjęciem. Uśmiechała się z niego ładna dziewczyna o kręconych blond włosach i piegowanej twarzy. Bardzo podobna do tej, która siedziała przed nimi, ale starsza od niej o kilka lat. To musiała być Anna.

– O co więc chodzi? – zapytała jej matka lodowatym tonem.

– Zabójca pani córki wciąż pozostaje na wolności – zaczęła ostrożnie Rita. – Chcemy go złapać, ale potrzebujemy pomocy. Każdy szczegół może mieć tutaj niebagatelne znaczenie. Prześledziłam profil pani córki w mediach społecznościowych i zauważyłam, że interesowała się terapią konfiguracji społecznych.

Leszczyńska patrzyła na nią obojętnym wzrokiem, jakby słowa w ogóle do niej nie docierały.

– No i co w związku z tym? – rzuciła chłodno.

– Orientuje się pani może, czy to było tylko zainteresowanie, czy może Ania brała czynny udział w tych spotkaniach?

– Po pierwsze, Anna. Nienawidziła, kiedy ktoś zdrabniał jej imię. Po drugie, nic nie wiem na temat żadnych terapii. Może coś tam sobie kliknęła, coś polubiła, ale to nie znaczy, że od razu potrzebowała jakiejś pomocy psychologicznej.

– Ja nie mówię, że potrzebowała pomocy psychologa – zapewniła szybko Rita, domyślając się, że dla matki ofiary to drażliwy temat. – W tej terapii chodziło o coś innego. Jest teraz bardzo modna w większych miastach. To naprawdę bardzo ważny trop.

– Już pani powiedziałam, że nic na ten temat nie wiem – ucięła Leszczyńska, poprawiając na kolanach czarną sukienkę. – To wszystko?

Kiedy schodziły po schodach, Łucja czuła, że pieką ją policzki. Rita wyglądała na zrezygnowaną. Obie marzyły w tej chwili tylko o papierosie.

– Dziewczyny, poczekajcie – syknęła za ich plecami siostra Anny Leszczyńskiej, gdy wyszły ze sklepu. – Chodźmy tu na bok. – Wskazała brodą biały namiot, na którym czerwienił się napis „Kiermasz mebli”. W środku było niewiele cieplej niż na zewnątrz. Pstrokate, kwieciste kanapy, obdrapane krzesła i niedbale zwinięte dywany wały się na ziemi. – Przepraszam was za mamę. Wciąż nie przeboleła śmierci Anki. Zresztą nikt z naszej rodziny tego nie przeboleł i nigdy nie przeboleje. Mam nadzieję, że złapiecie tego zwyrola!

Łucji zrobiło się żal tej dziewczyny i już chciała powiedzieć, że wcale nie są policjantkami śledczymi, że tylko je udają, ale Rita nie dała jej dojść do słowa.

– Wiesz coś o konfiguracjach? – zapytała szybko.

– Anka była na dwóch zjazdach, ostatni raz w kwietniu zeszłego roku.

Do namiotu weszła para starszków, którzy z zainteresowaniem przyglądali się wzorzystym tapicerkom. Drżącymi rękami z namaszczeniem dotykali kanap, jakby wybierali meble z najwyższej półki. Dziewczyna jeszcze bardziej ściszyła głos. Teraz musiały się nachylić w jej stronę, żeby słyszeć, co mówi.

– Za każdym razem wracała stamtąd dziwna, jakby nieobecna. Ciężko było się z nią dogadać.

– Opowiadała, co się tam działo?

– Niechętnie. Powtarzała, że tego nie da się zrozumieć, dopóki się w tym nie uczestniczy. Mówiła, że to transcendentalne doświadczenie. Za pierwszym razem wspomniła tylko, że wcielali się w jakieś role. Podobno dzięki temu dowiedziała się, że przyczyną jej kłopotów emocjonalnych jest zaburzona relacja z ojcem. Matka, jak to usłyszała, naprawdę się wściekła. Powiedziała, że Anka wymyśla jakieś głupoty z nudów. Ojciec też się wkurzył. Wtedy pierwszy raz podniósł głos. Nigdy go takiego nie słyszałam. Nie wróciliśmy już nigdy do tej rozmowy. Nic więcej nie wiem. Zresztą ja nie lubię takich mistycznych głupot. Ale poznała tam taką dziewczynę, Idę. Utrzymywały ze sobą kontakt. Może ona będzie wiedziała coś więcej.

Ricie zabłyśły oczy.

– Masz na nią jakiś namiar?

– Policja zabezpieczyła telefon Anki, ale złapiecie ją na Facebooku. Nazywa się Ida Marchlewicz. Mieszka w Baniach Mazurskich.

## ROZDZIAŁ 12

Noc spędzili w tanim, ale schludnym pensjonacie, położonym kilka kilometrów za Węgorzewem. Rano zjadły zimną jajecnicę, którą popiły kawą rozpuszczalną, i ruszyły w drogę. W większości trasa prowadziła przez gęste lasy. Prawie w ogóle się do siebie nie odzywały. Łucja czuła dziwną mieszaninę emocji. Z jednej strony miała nadzieję, że rozmowa z Idą Marchlewicz wykluczy z grona podejrzanych Arka, co przyniesie jej ulgę, z drugiej kiełkowało w niej przeczucie, że dowie się czegoś, co okaże się znacznie bardziej przerażające niż Arek.

– Zatrzymam się na fajkę na stacji – zagadnęła w końcu.

– Spoko – przytaknęła Rita, po czym znów pograżyła się w rozmyślaniach.

Stacja okazała się niewielkim budynkiem, w którym nie było nawet automatu z kawą. W małym okienku można było kupić napoje z niezrozumiałymi etykietami, opisanymi cyrylicą, i dwa rodzaje popularnych batonów.

– Tutaj to już jest inny świat.

– Egzotyczny – mruknęła Rita. – Nawet mam problem z zasięgiem, bo próbuje mnie przerzucić na roaming.

– Jak znajdziemy tę Idę?

– To nie powinno być trudne. Sprawdziłam ją jakieś pięćdziesiąt kilometrów temu, kiedy internet jeszcze działał normalnie. Według Google'a osoba o tym nazwisku ma jeden z dwóch salonów fryzjerskich w tej wsi. Studio fryzur Afrodyta.

Słońce przyjemnie grzało w twarz. Dzień był wyjątkowo ciepły jak na początek lutego.

– Szkoda czasu, jedźmy. – Łucja rzuciła peta w roztopiającą się zaspę śniegu i pośpiesznie wsiadła do auta.

W Baniach Mazurskich czas zatrzymał się kilkanaście lat wcześniej. Lumpeksy z kratami w witrynach i lokalne spożywcze sklepiki pochodziły z innego świata, o którym dawno zapomniano. Dziewczyny zaparkowały przed budynkiem ze spłowiłym już szyldem.

– Może lepiej idź sama. – Łucja zaciągnęła hamulec ręczny, ale nie zgasiła silnika.

– Co? Dlaczego niby?

– Głupio się czuję, gdy tak siedzę z rozdziawioną buzią i słucham, jak próbujesz coś wyciągnąć z tych ludzi.

– We dwie wyglądamy wiarygodniej – zaoponowała Rita. – Zawsze tak jest, że jedna osoba pyta, a druga obserwuje. Chodź, nie wygłupiaj się. Czuję, że nareszcie jesteśmy blisko znalezienia jakiegokolwiek tropu.

Miała takie samo przeczucie. Strach przed tym, czego zaraz się dowiedzą, aż odbierał jej dech w piersiach.

– Muszę wyjść na chwilę do pana dyrektora. Proszę w ciszy robić ćwiczenie czwarte ze strony pięćdziesiątej drugiej. – Nauczycielka, niska, chuda blondynka z włosami obciętymi na krótko, zabrała z biurka dziennik i zniknęła za drzwiami.

Kiedy jej kroki ucichły na korytarzu, w sali eksplodował gwar.

– Ej, brudaśnico, podobno pływałaś w bajorze – zawołał jeden z chłopców i rzucił w Łucję ołówkiem.

Nie reagowała. Pochylona nad zeszytem próbowała ułożyć równanie do przeczytanego przed chwilą zadania.

– Nie tykaj gówna, bo zacznie śmierdzieć! – wykrzyknął jego kolega z ławki.

– To pływałaś czy nie, zawszona sieroto?

Tym razem dostała długopisem.

– Wczoraj nie byłaś taka odważna i mój brat musiał cię ratować.

Gwar zamieniał się powoli w szum. Dzieciaki z zainteresowaniem zaczynały im się przyglądać.

– Może teraz też popływasz, co? – Chłopiec podszedł do niej i wylał jej na głowę butelkę wody.

Klasa wypełniła się dziecięcym śmiechem. Woda spływała dziewczynce po policzkach, mieszając się ze łzami. Łucja przypomniała sobie tamto popołudnie, kiedy wróciła do domu z płaczem, twardy głos ojca, a później tępy dźwięk bejsbolowego kija, odbijającego się od twardych kości czaszki. Szum w uszach wyparł skrzące śmiech. Chwyliła za cyrkiel. Ostra końcówka gładko weszła w skórę. Raz, drugi i kolejny.

Wnętrze obskurnego budynku okazało się eleganckie i nowoczesne. Wielkie lustro w złotych, zdobionych ramach, skórzana sofa i chrobotek na ścianie przywodziły na myśl trójmiejskie salony urody, które Łucja zwykle oglądała tylko przez szybę. W środku unosił się słodkawy zapach lakieru do włosów.

– Były panie umówione? – zapytała uprzejmie kobieta w obcisłym czarnym T-shircie z napisem „Studio Afrodyta”.

– Chciałybyśmy chwilę z panią porozmawiać – odpowiedziała Rita, opierając dłonie o białą ladę recepcyjną.

– Przykro mi, ale teraz mam strzyżenie. – Kobieta spojrzała do notesu. – A później ondulację. – Przewróciła nieznacznie oczami, jakby chciała dać do zrozumienia, że to nie jest ulubiona część jej pracy. – A o co chodzi?

– Lepiej będzie, jak porozmawiamy na osobności. – Rita zawiesiła znacząco wzrok na siedzącej na fotelu klientce.

– Za dwie godziny powinnam mieć przerwę.

Przez ten czas trzy razy okrążyły całą miejscowość, zjadły hot dogi z niewielkiej drewnianej budki z napisem „Kebsoburger”, wypily kawę z automatu w ośrodku zdrowia, który był jedynym miejscem, gdzie znalazły ciepłe napoje na wynos, i wypaliły niezliczoną ilość papierosów. Kiedy ponownie usiadły na skórzanej sofie w Studiu Afrodyta, śmierdziały dymem i ketchupem.

– Nie mam wiele czasu, za pół godziny przychodzi kolejna klientka. – Ida Marchlewicz pokręciła przegubem, na którym delikatnie zabręczały srebrne bransoletki.

– W takim razie przejdźmy do rzeczy. – Rita odchrząknęła. – Chodzi o terapię konfiguracji społecznych. Wiemy, że była pani jedną z uczestniczek tych warsztatów.

Ida spojrzała na nią z uśmiechem.

– Oczywiście. Wiele rzeczy dzięki tej terapii udało mi się poukładać w moim życiu – odpowiedziała z entuzjazmem. – Pójść do przodu. – Wskazała podbródkiem na wiszące nad lustrami dyplomy.

– Ile razy uczestniczyła pani w tych zajęciach?

– Czy to jest jakieś przesłuchanie? Bo nie bardzo rozumiem. – Tym razem w głosie kobiety zabrzmiała irytacja.

– Powiedzmy – odpowiedziała Rita, pokazując legitymację policyjną.

– Ale w jakiej sprawie?

– Pozwoli pani, że najpierw my zadamy kilka pytań, a później odpowiemy na pani – wtrąciła się Łucja, widząc, że jej koleżanka zaczyna się niecierpliwić. – Jak często bywała pani na tych warsztatach?

Iza przyglądała się jej przez chwilę, jakby nie była pewna, czy przystać na tę propozycję, ale w końcu się odezwała.

– Przez ostatnie trzy lata byłam jakieś sześć razy. Dwa wyjazdy w roku, ostatni był w wakacje. Mieliliśmy się spotkać tradycyjnie zimą, ale... – zawahała się. – Spotkanie zostało odwołane.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Dostaliśmy wiadomość, że jest odwołane i tyle.

– Kto jest organizatorem tych warsztatów?

– Darek.

– Nazwisko?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie znam. Dla nas to po prostu Darek.

Rita westchnęła.

– Może pani opowiedzieć, jak przebiega taka terapia?

Iza przejechała palcami po grzbiecie grubego magazynu, leżącego na stoliku przy sofie.

– Trudno to opisać – zaczęła po chwili, nie patrząc żadnej z nich w oczy. – Nie wiem, jak to się działo, ale po prostu wchodziliśmy w rolę. Darek mówił, że każdy człowiek ma wokół siebie aurę, w której zapisane są wszystkie nasze doświadczenia, relacje z bliskimi i problemy. To coś na kształt duszy. I on jakimiś swoimi sposobami zaklinał tę aurę w laleczce uczestnika, którego dotyczyła dana konfiguracja. Osoba wcielająca się w daną rolę czerpała informacje z kukielki. – Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Łucji. Wydawała się trochę spłoszona. – Nie wiem, jak to działało, może jakoś podświadomie, ale działało się naprawdę. Konfiguracje były losowe, nie dało się do tego przygotować. Nagle stawałam na środku sali i czułam dokładnie to, co na przykład mąż alkoholik jednej z uczestniczek albo gnębiona córka faceta, którego widziałam pierwszy raz na oczy. To było zupełnie... – przez kilka sekund szukała właściwego słowa – ...takie pozaumysłowe. Bóg jeden wie, jak on to robił. Może rzeczywiście zaklinał w te laleczki nasze dusze, naprawdę nie wiem. – Wzruszyła ramionami.

– Laleczki? – zapytały równocześnie Łucja i Rita.

Ida pokręciła przecząco głową.

– Nie, nie, nie czepiajcie się laleczek. Wiedziałam, że jak o tym wspomnę, zaraz pomyślicie, że ma to coś wspólnego z tym mordercą, o którym teraz ciągle piszą. Ale wśród nas nie było zabójcy, proszę mi wierzyć. Tam miałyby świetne warunki, żeby nas wszystkich zabić, a jednak tego nie zrobił. Nawet podczas specjalnych sesji w nocy, w środku lasu, zawsze czułam się bezpiecznie. Ufam tym ludziom bezgranicznie, mimo że nie znam ich nazwisk.

Rita wpatrywała się w nią zachłannie, niemal spijając każde słowo z jej ust.

– Jak wyglądały te laleczki? – spytała. – Do czego służyły?

– Coś jak voodoo – odparła Iza. – Darek je przygotowywał, tworzył rozpiskę układów dzień wcześniej na podstawie rozmów z nami. Wtedy też odczytywał te wszystkie zaklęcia, dzięki czemu podobno skupiały się w nich cechy, wspomnienia i doświadczenia ludzi, których dotyczyła dana konfiguracja.

Łucja zerknęła na koleżankę. Miała dziwne wrażenie, że właśnie patrzy na kogoś, kto bierze udział w konfiguracji, o której opowiadała Ida – wyglądała, jakby była w transie.

– Ile płaciliście za te warsztaty?

– Sporo. Każdy taki wyjazd kosztował pięć tysięcy. Ale był wart każdej złotówki – dodała z pełnym przekonaniem.

– Anna Leszczyńska, Marta Zagórska i Aniela Dąbek też prawdopodobnie brały udział w tych spotkaniach. Zna je pani? – spytała Rita, przyglądając się bacznie jej twarzy.

Ida pokręciła przecząco głową.

– Nie figurowaliśmy tam pod nazwiskami. Musiałabym zobaczyć zdjęcia. Chociaż i tak nie wiem, czy kogoś rozpoznam, bo część osób brała udział w perukach albo specjalnie na wyjazd farbowała włosy.

Niektórzy faceci zapuszczali brody. Darek zawsze podkreślał, że każdy uczestnik jest tam zupełnie anonimowy.

Rita pokazała jej fotografie w smartfonie.

– Tak, kojarzę je – powiedziała z uśmiechem Ida. – Te dwie były tylko raz, ale pierwsza przyjeżdżała regularnie, tak jak ja.

Łucja z Ritą wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

– Wyróżniały się czymś? Nawiązały z kimś stamtąd szczególnie bliskie relacje?

– Nic mi się nie rzuciło w oczy. Tej drugiej nie znałam zbyt dobrze. Z Anką miałam jakiś kontakt między zjazdami, ale też nic szczególnego. Byłyśmy jedynymi uczestniczkami, które regularnie wracały, wytworzyło się między nami coś na kształt więzi.

– Tylko między wami? – zapytała znacząco Rita, a ta popatrzyła na nią spod zmrużonych powiek.

– O co właściwie pani pyta?

– Może wracałyście, bo miałyście jakąś nietypową relację też z prowadzącym?

Łucja miała wrażenie, że gdy tylko padło to pytanie, kobieta się spięła, naprężył się każdy mięsień jej ciała, jakby szykowała się do ucieczki.

– Na to chyba nie muszę odpowiadać? – Ida zmierzyła Ritę karcącym spojrzeniem.

– Wie pani, że Anna nie żyje? – zapytała policjantka nieco łagodniej.

– Wiem. Chciałam nawet jechać na pogrzeb, ale jak się prowadzi własny biznes, nie zawsze można robić to, co się chce.

– Dwie pozostałe dziewczyny też zostały zamordowane. Nie słyszała pani o tym?

Nie spuszczały z niej wzroku, obserwując reakcję. Kobieta wytrzeszczyła oczy, ale jej twarz zastygła w bezruchu.

– Nie, nie śledzę mediów, unikam telewizji i gazet... To bardzo przykre – powiedziała po chwili.

– I przy każdej z nich znaleziono słomianą lalczkę – dodała powoli Rita.

Fryzjerka na chwilę przymknęła oczy, jakby medytowała. Po chwili odezwała się spokojnym głosem:

– Może ktoś chciał pogrążyć Darka, dopiec mu, zaszkodzić terapii, ale jeszcze raz podkreślę, wśród nas nie było mordercy. Tego jestem pewna. Musicie szukać gdzieś indziej.

Łucja nachyliła się w jej stronę.

– To nie może być przypadek, że wszystkie ofiary brały udział w konfiguracjach. Wszystko, co pani wie na temat tych spotkań, może uratować życie kolejnej osobie... Może nawet pani – powiedziała cicho.

Ida Marchlewicz wstała gwałtownie z sofy.

– Muszę przygotować stanowisko dla klientki. Panie wybaczą, ale trochę się zasiedziałyście.

Zanim wyszły, na ulotce reklamowej odżywek do włosów Rita zapisała swój numer.

– Gdyby coś pani sobie przypomniała, proszę dzwonić.

– Co za pizda. Na pewno coś wie, ale nie chce powiedzieć – mruknęła pięć minut później, zdejmując buty i kładąc stopy na desce rozdzielczej.

– Nie za wygodnie ci? – rzuciła kąśliwie Łucja.

– Sorry, jak się denerwuję, puchną mi nogi. Te lalczki... Przecież zabójca musiał mieć coś wspólnego z tymi konfiguracjami. – Rita spojrzała na nią półprzytomnie. – Jak Damian mógł to przegapić? Nie mogę tego ogarnąć.

– Co robimy dalej?

– Trop się urywa, wracamy do Olsztyna. Musimy znaleźć tego całego Darka choćby na końcu świata.

– A bliscy pozostałych dziewczyn? – Łucja powoli wyminęła ciężarówkę.

- Zagórska pochodziła z Olsztyna, trochę już się przy niej pokręciłam, ale nikt z jej rodziny ani przyjaciół nie słyszał o konfiguracjach. A rodzina Dąbek mieszka w Krakowie; trochę za daleko na takie wycieczki. Zresztą nie tam powinniśmy grzebać. Te dziwne zasady, anonimowość, peruki. - Skrzywiła się. - Raczej nie wygląda na to, by uczestnicy paplali o tym, co tam się działo, na lewo i prawo. A już na pewno nie rodzicom.

Łucja przytaknęła. Pomyślała, że zna już odpowiedź na najważniejsze pytanie. Skoro wszystkie ofiary powiązane były z terapią konfiguracji, to lalkarzem na pewno nie jest Arek. Tylko kto?

- Może podsunąć Damianowi ten kierunek? - zasugerowała. - Wszystkie trzy ofiary brały udział w tej terapii plus sprawa laleczek... Za duży zbieg okoliczności, nie sądzisz?

Rita przygryzła wargi.

- Podsunę. Ale poczekam jeszcze dwa, trzy dni. Liczę, że tę Marchlewicz tknie sumienie i się odezwie, a jak Damian sprzeda nasze ustalenia gorzej, na pewno to spalą. Oni już nie szukają prawdy, tylko chcą ukreślić sprawie łeb.

- Ciekawe, czemu Damian nie sprawdził mediów społecznościowych ofiar - mruknęła w zadumie Łucja.

- Nie jestem pewna, czy on w ogóle wie, jak sprawdzić, kto polubił dany post na fejsie - westchnęła Rita. - Woli babrać się w smarach albo wyciągać zabójców z melin. Pewnie sprawdzili głównego walla, listę znajomych i to wszystko. Gdyby nie przypadek, ja też bym na to nie wpadła.

Kiedy wjechały na ekspresówkę, Łucja dodała gazu i samochodem lekko szarpnęło.

- Zastanawiam się tylko, dlaczego ludzie, którzy brali udział w tym cyrku, nie zgłosili się sami na policję, kiedy wypłynęła sprawa lalkarza. Przecież trąbiły o tym wszystkie media.

- A ty byś się zgłosiła? Daj spokój, przecież to jasne. Bali się, że będą podejrzani. A co do tej Marchlewicz, to dają stówę, że ten cały Darek ją pukał.

- Jak pewnie połowę babeczek z tej grupy - zaśmiała się Łucja. - Tacy nawiedzeni szamani zazwyczaj mają wzięcie u zagubionych duszyczek. Ej - spojrzała na nią poważniej - może to on jest lalkarzem?

Rita pokręciła przecząco głową.

- To byłoby za proste. Sam by się podkładał. W jednym ta laska ma rację: wygląda na to, że ktoś chce go zrobić. Swoją drogą niezły z niego gość. - Zamyśliła się, patrząc przez okno. - Najpierw myślałam, że wszystko zerznął żywcem z ustawień hellingerowskich, ale on dodał laleczki voodoo i reklamował to jako autorską, jedyną w swoim rodzaju terapię i kosił kasę aż miło. Kurwa, musimy go znaleźć, po prostu musimy.

- A później co?

- Jak z nim pogadamy, od razu daję cynk Damianowi. Same wiele nie zdziałamy, ale chcę go przycisnąć przed nimi. Chyba przynajmniej na tyle zasłużyłam, wykopując z otchłani internetu te całe konfiguracje...

- Ostatnie zdanie wymruczała bardziej do siebie niż do Łucji.

Kiedy wjeżdżały obwodnicą do Olsztyna, rozdzwonił się telefon Rity. Odebrała niemal natychmiast.

- Słucham?

Przez kilkanaście sekund nie wydobyła z siebie ani słowa, a jej twarz mieniła się różnymi odcieniami błądosi.

- Dziękuję - wykrztusiła z siebie w końcu.

- Co jest? - Łucja spojrzała na nią ze strachem.

- Skręcaj do Biskupca.

- Co?

- Mam zamiar na tego Darka. Marchlewicz się namyśliła. Wyrzuty sumienia dały o sobie znać szybciej, niż obstawiałam.

- Dochodzi osiemnasta. Może zostawimy to sobie na jutro?



– W sumie masz rację – westchnęła z rezygnacją Rita. – Nie mam jego adresu, tylko zamiar na pracę, a zanim dojedziemy do Biskupca, raczej już go tam nie będzie. Ale, kurwa, nie wiem, jak wytrzymam do jutra! To będzie cholernie długa noc.

W zakrystii panował półmrok. Zapach starych murów pomieszany z kadzidłem osadzał się w nozdrzach. Ciotka Teresa popchnęła Łucję do przodu.

– Dobrze, że księdza proboszcza zastałam. Bo tylko w księdzu jest nadzieja. – Chwyliła go za rękę.

Mężczyzna najpierw wymownie spojrzął na ministranta, a gdy ten pośpiesznie wyszedł z pomieszczenia, zdjął komżę i został w samej sutannie.

– Proszę spocząć. – Podsunął jej obite bordowym welurem krzesło. – W czym mogę pomóc?

Skulona Łucja stanęła przy ciotce.

– To dziecko, proszę księdza, z samym diabłem na rozumy się pozamieniało. Nie mam już do kogo iść po pomoc. Może ksiądz jakoś z niej to zło wypleni.

Proboszcz opadł na krzesło po drugiej stronie biurka. Zaplótł pulchne palce, na których błyszcząły dwa złote sygnety.

– Pani Teresko, spokojnie. Zaraz temu zaradzimy. Na wszystko jest jakaś rada. – Mrugnął.

– Nie chciałam, żeby takie dzieciństwo w bidulu miała jak ja i jej ojciec. Dom jej chciałam dać, opiekę, ale sprowadziłam do własnego gniazda taką kanalię. Jeszcze mnie próbuje na Arka szczuć, podburzać. A to taki dobry chłopak, sam ksiądz wie. Na szczęście on mi wszystko opowiedział, co ona wyprawia, jak go prowokuje. Boże najświętszy, aż wstyd mi mówić o tym głośno, toć to jeszcze dziecko. Ale tak naprawdę to szatanica o twarzy dziecka. A teraz w szkole, ksiądz sobie wyobrazi, kolegę cyrklem zaatakowała. Naprawdę już sił mi braknie. – Ciotka ukryła twarz w dłoniach.

Rozmawiali, jakby jej tam w ogóle nie było. Kuliła się, dotykając zimnego oparcia krzesła.

– Pani Teresko, jak już nie ma innego wyjścia, to trzeba sięgnąć po kary cielesne. Jeśli dziecko opętało jakieś licho, trzeba je z niego wygonić siłą.

Ciotka spojrzała na niego z nadzieją.

– Myśli ksiądz?

– Ano chciałbym się mylić, ale różne podczas tylu lat posługi widziałem.

– To co? Bić?

– Bić. Ano i może trochę w odosobnieniu potrzymać gdzieś. W piwnicy na przykład. Niech sobie przemyśli o głodzie i chłódzie, co toto wyprawia.

– Daje ksiądz przyzwolenie? Grzechu nie będzie?

– A gdzie tam grzech. Pani dobry uczynek dla świata robi, jeśli z tego natchnionego przez szatana dziecka wyrośnie człowiek mający Boga w sercu.

## ROZDZIAŁ 13

Kilkanaście godzin później nerwowo paliły marlboro przed Centrum Psychoterapii i Leczenia Uzależnień w Biskupcu. Obie miały sińce pod oczami i przekrwione białka. Nie zasnęły nawet na chwilę.

– A jak się zaprze i nic nie powie? Kurwa, może lepiej od razu dam cynk Damianowi? – westchnęła Rita.

– Mówiłaś, że powiadomi górę, a oni to spalą.

Mimo ujemnej temperatury słońce przyjemnie grzało w twarz. Łucja przymknęła oczy.

– No pewnie tak, ale jak ja to spieprzę, będzie jeszcze gorzej. Cholera. Sama już nie wiem. Może to jest za gruba sprawa, żebym sama w tym grzebała...

– Daj spokój, skoro już tu jesteśmy, spróbujmy go wypytać i tyle. Jeśli nic nie powie, przekażesz zamiar Damianowi. Nie nakręcaj się tak.

Po dwudziestu minutach z budynku wyszedł wysoki mężczyzna około pięćdziesiątki. Stał obok nich i zapalił papierosa. Przyjrzała mu się z ukosa. Mimo głębokich zmarszczek, siwizny i łysiny w zakolach wydawał się przystojny. Miał w sobie coś interesującego.

– Przepraszam – zagadnęła z uśmiechem. – Szukamy pana Dariusza, terapeuty.

Rita spojrzała na nią ze zdziwieniem. Łucja z nerwów zacisnęła zęby, wiedziała, że jeśli ta spontaniczna improwizacja okaże się kłapą, koleżanka będzie miała do niej pretensje. Kiedy odpowiedział łagodnym uśmiechem, odetchnęła.

– Z tego, co wiem, nie pracuje tu żaden inny Dariusz poza mną, więc najprawdopodobniej to mnie panie szukacie.

– Świetnie, w takim razie mogłybyśmy zająć chwilę? Mamy, a raczej mam... problem – zaszczebotała.

Mężczyzna spojrział na nią, mrużąc oczy.

– Dostałam na pana namiar od zaufanej osoby, którą wyciągnął pan z zaawansowanego stadium depresji – dodała poważniejszym już tonem.

Rita sięgnęła do kieszeni po legitymację, ale Łucja kiwnięciem głowy dała jej do zrozumienia, żeby się wstrzymała.

Facet podciągnął rękaw skórzanej kurtki i spojrział za zegarek. Promienie słońca odbiły się od tarczy czarnego g-shocka.

– Mogę poświęcić paniom maksymalnie pół godziny. Wystarczy?

– Będzie musiało.

– W takim razie zapraszam do gabinetu – powiedział. – Chyba że... Tu za rogiem jest taka przyjemna restauracyjka. Może napijemy się kawy? – dodał, przenosząc wzrok z twarzy Łucji na jej nogi.

– Świetny pomysł – odpowiedziała z udawanym entuzjazmem, ignorując Ritę, która ostentacyjnie przewróciła oczami.

Usiedli przy okrągłym stoliku, przykrytym dzierganą kremową serwetką. Wnętrze lokalu stylizowane na zabytkowy zamek prezentowało się dość karykaturalnie – z ceglastymi ścianami uderzająco kontrastowały plastikowe zielone okna i białe kafelki na podłodze. Restauracja była całkowicie opustoszała. Zamówili latte, które bez entuzjazmu przyniosła anemiczna kelnerka z przypiętą do koszuli złotą plakietką z napisem „uczę się”.

– Więc w czym mogę pomóc? – zapytał Dariusz.

Rita spojrzała na nią wyczekująco.

- Jest pan moją ostatnią deską ratunku - powiedziała Łucja, wpatrując się w kołyszącą się pomiędzy podwójnymi ściankami szklanki beżową kawę.

- A mogłaby pani trochę jaśniej? - Objął swoją szklankę dłonią z krótko obciętej paznokciami. - Jak wspominałem, mam tylko pół godziny... Teraz to już pewnie zostało z jakieś dwadzieścia minut.

- Odkąd mój narzeczony popełnił samobójstwo, nie potrafię, po prostu nie potrafię wrócić do normalnego życia. Minęły już dwa lata, a ja nadal nie poukładałam tego w głowie. Różne terapie, leki, nic nie pomaga. Kompletnie. - Przygryzła wargi, nie podnosząc wzroku. - Została jeszcze jedna opcja. Ostatnia. Znajoma mi wspominała o konfiguracjach, o tym, że dzięki temu podniosła się...

- Nie ma o czym mówić - wszedł jej w słowo. - Nie prowadzę już tej formy terapii.

- Teraz nie, a w przyszłości? Może jest szansa na choćby jedno spotkanie?

- Nie. To zamknięty etap - powiedział twardo.

- Wielka szkoda - westchnęła z rezygnacją. - Dlaczego właściwie pan już tego nie robi, skoro pomógł tyłu osobom? Ocalił pan pewnie wiele żyć, rodzin - dodała cicho, widząc, że jej słowa wyraźnie polechły jego ego.

Upił łyk kawy.

- Konfiguracje to był cel mojego życia. Czuję, że w ten sposób spłacam dług wobec świata, że robię coś, co przybliży mnie do nirwany. Ale szybko znaleźli się naśladowcy, którzy wypaczyli całą ideę. Sprowadzili terapię do nadużywania substancji psychoaktywnych i wokół konfiguracji narosło wiele złych legend, najczęściej nieprawdziwych. Odciałem się od tego. Wszystko poszło w złą stronę - skrzywił się. - Zresztą nie czuję się w obowiązku, żeby się paniom tłumaczyć - dodał po chwili, a w jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie.

Dziewczyny wymieniły spojrzenia.

- Gdzie działali ci naśladowcy? Czy to legalne takie podszywanie się pod kogoś? - zapytała Łucja z udawanym oburzeniem.

- Wszędzie. Wystarczyło, że kilka osób opisało na forum przebieg spotkań i lawinowo to poszło. Ale chyba doprawdy nie spotkaliśmy się tutaj, żeby rozmawiać o upadku mojej autorskiej metody terapii.

Łucja subtelnym ruchem głowy, niewidocznym dla postronnego obserwatora, dała do zrozumienia Ricie, by zostawiła ich samych.

Do lokalu weszła para rozchichotanych nastolatków. Kiedy Rita podreptała w stronę toalety, Łucja odgarnęła włosy i podciągnęła sweterkową sukienkę tak, by odsłaniała kawałek uda.

- Może indywidualna terapia tylko dla mnie? Naprawdę potrzebuję pomocy. Zapłacę. - Oblizwała figlarnie usta.

- Konfiguracji nie da się zrobić w pojedynkę ani we dwójkę. Chciałbym pani pomóc, ale do tego potrzebna jest grupa, której ja nie jestem w stanie zorganizować. Nie prowadzę już zajęć grupowych. Przykro mi. - Zaczął bawić się zapalniczką, nie spuszczać wzroku z jej nóg.

- Naprawdę jest mi bardzo trudno. Chwilami tracę kontrolę nad swoim życiem, mam wrażenie, że tonę, że brakuje mi powietrza, jakby to wszystko, co się wydarzyło, ciągnęło mnie w dół. Boję się, że pewnego dnia ulegnę tym głosom z głębi mojej głowy i zniknę jak on - wyrzucała z siebie kolejne słowa, obserwując jego reakcję.

- Gdyby było gorzej, proszę do mnie zadzwonić, postaram się pomóc. Ale niestety nie w taki sposób, jakiego pani by oczekiwała. - Położył na stoliku wizytówkę i pięćdziesiąt złotych. Wyszedł, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- Kurwa, uprzedź mnie następnym razem, jak będziesz chciała takie improwizacje urządzać - syknęła Rita, opadając na krzesło. - Gdzie on jest? Też poszedł do łazienki?

- Wyszedł już.

- Jak to wyszedł? Powiedział coś?

– Nawet nie zdążyłam go docisnąć o te konfiguracje.

– Czyli spaliłyśmy temat. Bardziej koncertowo niż zrobiłaby to góra. Ja pierdołę.

Łucja nie powiedziała jej o wizytówce. Niepostrzeżenie wsunęła ją do kieszeni kurtki wiszącej na oparciu krzesła. Wiedziała, że jeśli skorzysta z tej propozycji, będzie musiała dać coś w zamian, a aż tak bardzo nie zależało jej na poznaniu tajników metody konfiguracji.

– Gdybyś mu pozwoliła, to by cię bzyknął na tym stole. – W głosie Rity zabrzmiało zdeglustowanie.

– Wiem, to taki śliski typ, co podbija do wszystkiego, co się rusza. Próbowalam to wykorzystać, ale chyba z marnym efektem.

– Do dupy z tym. Niech się wezmą za to śledczaki, skoro biorą za to kasę. Ja mam dość. – Zarzuciła czarny flauszowy płaszcz na ramiona i wyszła z kawiarni.

Kolejne dni minęły Łucji na picciu supermarketowego prosecco, czytaniu książek, przeglądaniu lokalnych serwisów z wiadomościami i sprawdzaniu w sieci wszystkich osób, które mogły mieć coś wspólnego z terapią konfiguracji społecznych. Czekala też na jakąkolwiek wiadomość od lalkarza, ale nic nie znalazła ani za wycieraczką samochodu, ani nigdzie indziej. Kiedy w poniedziałek rano wchodziła po pokrytych cienką warstwą lodu schodach na wydział, czuła się wycieńczona. Zupełnie jakby oddychanie i załatwianie potrzeb fizjologicznych były jedynymi czynnościami, na które mógł pozwolić sobie jej organizm. Nie widziała się z Ritą od wyjazdu do Biskupca. Czuła się winna i miała wrażenie, że tamta myśli podobnie. Być może gdyby pokazały Dariuszowi legitymację policyjną, udałoby się wyciągnąć z niego więcej niż na te nieudolne zaloty. Zapaliła papierosa i oparła się o ścianę budynku.

– Tu nie wolno palić. – Usłyszała.

– No tak, stróż prawa zawsze na służbie – roześmiała się.

– Akurat wzięłam urlop – odparła Rita. – Muszę odpocząć.

– Powiedziałaś Damianowi o swoich ustaleniach?

– Powiedziałam, ale wcześniej zdążyli w jego mniemaniu go zdegradować, dając mu do wyjaśnienia jakieś drobne garażowe kradzieże, więc powiedział, że ma w dupie i niech sobie prowadzą to śledztwo po swojemu. Podobno już kogoś wstępnie posadzili.

– Mają lalkarza? – zapytała zbyt głośno, bo kilka osób przechodzących obok spojrzało w ich kierunku.

– Ciszej – syknęła Rita. – Ta, lalkarza sralkarza. Mają jakiegoś kozła ofiarnego, z którego chcą zrobić lalkarza. Jeśli ten ponownie nie zaatakuje, to im się uda, a jak nie, to wymyślą jakąś bajkę o naśladowcy albo współniku i też się będzie zgadzać.

– A ty nie palisz?

– Nie zdążę już. Pierwszy jest Raczkowski, więc lepiej się nie spóźniać, bo będzie skuteczniał te swoje moralizatorskie gadki. Już chyba wolę mieć nieobecność, niż słuchać tego pierdolenia – westchnęła.

– Raczkowski w tym semestrze? Przecież wstęp do filozofii kończył się egzaminem, więc...

– Zaglądałaś w ogóle do USOS-a? Powtarzają się prawie wszyscy wykładowcy, tylko przedmioty pozmienniali. Z Raczkowskim teraz będzie etyka mediów. Niż demograficzny, cięcia etatów, każdy orze jak może i chwytta się każdej możliwej formy zarobku.

Kiedy ruszyły niechętnie w stronę szklanych drzwi obrotowych, Łucja poczuła pulsowanie w skroni. Zastanawiała się, czy ma w torbie tabletki przeciwbólowe, bo wiedziała, że za kilka godzin dopadnie ją migrena.

– Cześć! – Monika pomachała do niej pod domem, uśmiechając się wesoło. Spod beżowego płaszcza wystawał ogromny brzuch.

– Hej, ale urosłaś – wypaliła, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- No, teraz to już jestem na tak zwanych ostatnich nogach.

- Kurde, gdybym wiedziała, nie fatygowałabym cię do prowadzenia zajęć w świetlicy.

- Daj spokój, dobrze mi to zrobiło. Inaczej bym siedziała w domu i pochłaniała kolejne opakowanie ptasiego mleczka - zaśmiała się Monika. - A te nadprogramowe kilogramy trzeba będzie w mękach zrzucić po porodzie.

Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, więc poprawiła włosy.

- A, czekaj chwilę. Ktoś zostawił dla ciebie list w naszej skrzynce. Chyba nie listonosz, bo on już zdążył ogarnąć, że te dwa budynki to dwa różne numery i oddzielne adresy. Zaraz ci przyniosę. - Weszła niezgrabnie po schodkach do domu. Wokół jej nóg skakał bernardyn. - Karl, uspokój się, nie skacz - upomniała go.

Po chwili wróciła z białą kopertą w rozmiarze A4.

- Nie ma znaczka, ale jest zaadresowany do ciebie.

Łucji przeszedł dreszcz po plecach, kiedy zobaczyła swoje imię i nazwisko wypisane koślawymi literami.

- Dzięki - wymamrotała.

Nagły atak bólu znów ścisnął jej skronie i Łucja poczuła, że musi się natychmiast położyć. Weszła do pokoju, rzuciła zakupy na podłogę i drżącymi rękami rozerwała kopertę.

W środku była zakładka do książki z nadgiętym lewym górnym rogiem. Zrobiło jej się słabo. Przytrzymując się biurka, podeszła do regału i nerwowo otworzyła *Szelmostwa niegrzecznej dziewczynki*, które zaczęła czytać kilka dni temu. Zakładkę w motyle z czarnym chwostem dostała trzy lata temu na urodziny od współlokatorki i od tego czasu towarzyszyła jej przy każdej lekturze. Przekartkowała książkę kilkakrotnie. Ani śladu zakładki. A więc to lalkarz ją zabrał. Był tutaj. Ponownie zajrzała do koperty. Na dnie znajdowało się coś jeszcze. Wsunęła rękę i wyjęła ususzoną różową stokrotkę. Poczuła nagły skurcz żołądka i zwymiotowała na dywan.

- Ej, no szybciej! Ludzie, czy wy wiecie, co to jest przyśpieszenie? - Arek z przewieszonym krzywo przez prawe ramię plecakiem biegł przez park.

Rudowłosa dziewczyna siedziała na ławce i skubała ziarna z wielkiego ogrodowego słonecznika. Nie zauważył jej. Odetchnęła. Razem z Grześkiem i Sylwkiem stanęli w drugiej części parku. Zmrużyła oczy, przyglądając się ich sylwetkom. Wyglądało na to, że się naradzają. Po kilkunastu minutach wyszli główną bramą. Pobiegła za nimi, trzymając się w takiej odległości, by jej nie zauważyli. Kilkaset metrów przed wejściem do parku stał Adrian, chłopak z klasy Arka. Inny niż rówieśnicy, wycofany i chyba trochę opóźniony w rozwoju.

- Aduś, mamy coś dla ciebie. - Arek z całej siły uderzył go w plecy, a ten aż się zachwiał, z trudem utrzymując równowagę. - Idziesz z nami na chłopacką eskapadę! - Wcisnął mu puszkę piwa do ręki.

Adrian spojrział w jego stronę, zezując.

- Ach, ty to masz farta, nigdy nie wiadomo, na kogo patrzysz - zarechotał Arek, a koledzy mu zawtórowali.

Łucja zrobiła kilka kroków w ich stronę i schowała się za krzakiem pigwowca.

- Pij pan na odwagę i idziemy. - Arek pociągnął chłopaka za rękaw kraciastej koszuli, ale on próbował się wyswobodzić.

- Nie chcę - powiedział.

Arek złapał go za brodę tak mocno, że aż mu pobielaly palce.

- Jak mówię, że idziesz, to idziesz.

Chłopak zapisał się i posłusznie przeszedł z nimi na drugą stronę, gdzie mieścił się cmentarz. Minęli dwie alejki, później boczną bramkę. Zatrzymali się przy cmentarnej kapliczce.

Dziewczynka przykucnęła przy jednym z filarów w takiej odległości, by dokładnie słyszeć każde słowo i widzieć wyraz twarzy chłopaków.

– Mamy taki patent na to, żebyś mógł być w naszej bandzie. Wejdiesz tam. – Arek poczerwieniałym paluchem wskazał na drzwi kaplicy.

– Nie chcę. Tam nie można.

– Można, można. My nawet już dla ciebie otworzyliśmy te piekielne drzwi. Ty masz tam tylko wejść i trochę pobyc. – Rozłożył ręce w zapraszającym geście. – Nie martw się, nie będziesz sam – zaśmiał się chrapliwie.

– Właż i nie gadaj – dodał Sylwek w szarej bluzie z kapturem.

– Nie chcę.

– To nie kwestia chcenia. – Klepnął go w plecy i we trójkę wepchnęli go za drewniane drzwi kaplicy.

– Dobra, zamykaj! – krzyknął Arek do Grzeška, a ten zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w żeliwnym zamku.

– Mamy to. – Arek otrzepał dłonie, jakby właśnie skończył jakąś ciężką pracę. – Do jutra nie ma już żadnych pochówków, raczej nikt nie będzie się tu kręcił. Otworzymy go rano. Możecie zabrać ze sobą jakąś zaufaną widownię, bo może być ubaw.

– Ma spędzić całą noc z tym trupem? – W głosie Sylwka zabrzmiał strach.

– Nie moja wina, że na tej naszej zasranej wsi rodzina niby chce trzymać nieboszczyka w domu, a na noc odstawiają go do kaplicy w zamian za jajka albo kawał prosiaka. – Wyszczrzył się w uśmiechu. – Pretensje do klechy sobie możesz zgłosić. Ciekawe, czy to jest w ogóle legalne, takie trzymanie trupa przez noc w kaplicy, skoro tu nie ma chłodni.

– Bogatszych wywożą do zakładu pogrzebowego w Piszcu.

– No, kogo stać, to stać. Wiadomo, kasa musi się zgadzać, to i na umarlaku oszczędzają. Zdanowicze tak niby tatusia kochają, że nawet zimnego na chacie trzymają, no bo przecież w Kwietnikach inaczej nie wypada. Ale w nocy to już strach z umarlakiem za ścianą. Lepiej dać coś proboszczowi i przywieźć do kaplicy.

– A jak ktoś tu przyjdzie?

– A kto niby? Toć to stary Zdanowicz, wszyscy już czekali na jego śmierć, bo od dwóch lat pod siebie robił. Różaniec drugi rano odkleпали, do pogrzebu nikt go odwiedzał nie będzie, żeby płakać nad ciałem. Oby tylko kościelny nie ogarnął, że mu drugi komplet kluczy gwizdnęliśmy. Dobra, idziemy na browara na żelazny most, bo już nuda się tu robi jakaś.

Kolejne dni zlewały się w jedną czarną plamę. Każdej nocy Łucja wpadała w dziwny stan, w którym ciało spało, a umysł czuwał. Pod powiekami przewijały jej się niepokojące obrazy, których nie potrafiła przypisać ani do znanych sobie miejsc, ani do osób. Budziła się jeszcze bardziej zmęczona, niż gdy zasypiała. Ta stokrotka... To musiał być Arek. To on jest lalkarzem. Czuła, że ją obserwuje i czeka na właściwy moment. Nie wiedziała tylko, kiedy nastąpi. Przez chwilę chciała się ratować, pójść na policję albo opowiedzieć o wszystkim Ricie. Zrobić cokolwiek, żeby uniknąć tego spotkania. Później przypomniała sobie krzyk tamtej dziewczyny w lesie i uznała, że to nie ma sensu. I tak od tego nie ucieknie. Wyparła strach i postanowiła żyć, jakby nigdy nie otworzyła koperty. Nie miała nic do stracenia. Przez całe życie uciekała przed przeszłością, a ona i tak wracała, dopadała ją najczęściej w ciszy i w ciemności. Ciężko nad nią fatum.

Zajęcia na uczelni i praca w świetlicy pozwoliły nadać dniom standardowy rytm, zachować proporcje. Rita po rozmowie z Damianem na temat swoich podejrzeń wyraźnie straciła zapał do kontynuowania śledztwa, a Łucji było to na rękę. Nie chciała wiedzieć więcej. Zdawała sobie sprawę z tego, że to i tak niewiele zmieni. Kiedy piętnastego marca wieczorem wychodziła ze świetlicy, zachłannie zaciągnęła się

łagodnym powietrzem. Zapowiadało wiosnę. Przez chwilę miała wrażenie, że odetchnęła głęboko pierwszy raz od dawna. Wsiadła do auta, pogłośniła muzykę. Z głośników wybrzmiał chrapliwy głos Janis Joplin.

– *Honey, nothing's going to harm you now. No, no, no, no, no, no, no, no, no, no, no* – mruczała wraz z nią.

Jechała przed siebie. Bez celu. Zatrzymała się dopiero pod dyskontem po drugiej stronie Olsztyna. Weszła po prosecco i czipsy. Kiedy wygrzebywała wino spomiędzy koszyków prezentowych ozdobionych serduszkami, usłyszała za plecami głos.

– Przez chwilę myślałem, że wymyśliłem sobie te rude fale pomiędzy butelkami włoskich bąbelków, ale prawda jest znacznie łaskawsza.

Tomasz w koszuli w drobne samolociki wystającej spod płaszczka uśmiechnął się do niej.

– Cześć – wymamrotała.

– Wieczorny toast?

– Coś w tym stylu.

– W jakimś doborowym towarzystwie? – dociekał, badawczo przyglądając się jej twarzy.

Przełknęła ślinę, próbując zebrać myśli. Jego przenikliwe spojrzenie wprowadziło ją w coś w rodzaju transu.

– W najlepszym. Własnym.

Roześmiał się.

– A ja właśnie odebrałem swoje zamówienie internetowe. Grüner veltliner będzie idealny do królika. – Podniósł papierową torebkę, którą trzymał w prawej dłoni.

– Świetnie. W takim razie udanej kolacji. Będę się już zbierać. – Zgarnęła pierwszą lepszą butelkę z półki i odeszła kilka kroków.

– Łucja.

Zatrzymała się, jakby tylko na to czekała.

– Tak?

– Może zjesz ze mną tego królika?

Wiedziała, że powinna odmówić. Elegancko podziękować i oddalić się, nie oglądając się za siebie. Zamiast tego pozwoliła mu się zawieźć do domu letniskowego nad Giłwą.

## ROZDZIAŁ 14

– Zapal światło. Po prawej masz włącznik.

Błysk żarówki łagodnie rozświetlił ciemność. Na drewnianych ścianach z wyraźnie zaznaczonymi sękami wisiały obrazy przedstawiające postacie bez twarzy.

– Zdejmuj kurtkę, a ja już rozpalam w kominku.

Zapach drewna mieszał się z wonią duszonego mięsa.

– Daj spokój, przecież jest ciepło.

– Bardziej chodziło mi o trzaskanie ognia.

– Może później?

Zrozumiał, co miała na myśli. Przywarł do niej, rozchylając jej wargi ciepłym językiem. Odpiał guzik dzinsów. Przyłgnęła do jego ciepłego torsu i poczuła mrowienie całego ciała. Tęskniła. Przez ten jeden moment pierwszy raz w życiu poczuła się kompletna. Kiedy w nią wchodził, marzyła o tym, by ta chwila zapętlila się w jej głowie już na zawsze. By stała się końcem i początkiem, jedynym punktem odniesienia, do którego będzie wracać.

Długo leżeli przytuleni na podłodze, przykrywając się cienkim kocem w pomarańczowe romby. Wiedziała, że to, co się właśnie wydarzyło, było błędem, a jednak nie żałowała ani sekundy.

– O czym myślisz? – zapytał, gładząc ją po bladym ramieniu.

– O tym twoim króliku – skłamała.

– Musisz go koniecznie posmakować. Niczego lepszego w życiu nie jadłaś. Zapewniam cię.

– A pierogi?

– Mówisz o tych ekskluzywnych pierogach, na które zabrałem cię do unikatowego lokalu, pielęgnującego nasze dziedzictwo kulinarne?

Jej śmiech poniósł się po niewielkim pokoju.

– Nie, mówię o zupełnie przeciętnych pierogach w dość obskurnym barze mlecznym.

– A to nic nie wiem, niczego nie słyszałem.

Wszedł na nią i ze śmiechem poturlali się po podłodze.

– Może pójde chociaż po wino.

– O tak, nareszcie zaczyna pan być trochę gościnnie, doktorze.

Kochali się jeszcze kilka razy. Później jedli gulasz z królika na tarasie i przekomarzali się na temat tego, gdzie jest Mały, a gdzie Wielki Wóz. Ta noc nie powinna była się zdarzyć. Łucja czuła, jakby wykradła ją kosmicznym siłom, jakby właśnie zaciągnęła dług, który będzie musiała spłacić, mimo to czerpała z niej całymi garściami. Przynajmniej na chwilę lalkarz i jej cała przeszłość zniknęły w ciemności otaczającego ich lasu.

Obudziła się długo przed nim. Patrzyła, jak śpi. Bała się go dotknąć, bo to oznaczałoby, że wszystko się skończy i będzie musiała wrócić do rzeczywistości.

Na śniadanie Tomasz zrobił jajecznicę na boczku. Jedli nago, śmiejąc się i rozmawiając na jakieś błahe tematy. Chłoneła dźwięk jego głosu, próbowała zapamiętać ruch ust.

– Za czterdzieści pięć minut zaczynam dyżur – mruknął nagle, patrząc na zegarek.

– No, to by było na tyle – uśmiechnęła się smutno, wciągając wczorajszy T-shirt i dzinsy.

– Nie mogę inaczej. – Złapał ją za prawe ramię, rozciągając rękaw koszulki, jakby chciał poczuć ciepło jej skóry.



– Kto namalował te obrazy? Są imponujące – powiedziała, odwracając od niego twarz. Nie chciała, by ją widział w tym momencie.

– Moja żona – odparł cicho.

Poczuła pieczenie policzków.

– Ma talent.

– Choruje na psychozę maniakalno-depresyjną. To dlatego. Dlatego muszę z nią być. – Przyciągnął ją do siebie i spojrzal jej w oczy. – To nie jest kwestia wyboru.

Przez chwilę poczuła niewiarygodną ulgę. Nie odstawiał jej jak zużytej rzeczy, nie wybierał żony. Nie dzielił każdego dnia, poranka na pół. Po prostu musiał z nią być. Z obowiązku.

Dał jej tymi słowami więcej, niż oczekiwała. Nie tylko wspomnienie, ale myśl, że gdyby nie konieczność, być może wybrałby ją.

Przylgnęła do niego, chowając twarz w cieplej szyi. Jego dłoń wsunęła się pod zmięty T-shirt. Chciała, żeby w nią wniknął, żeby choć na chwilę stał się jej częścią.

– Jeszcze tylko raz. Ostatni.

Nie musiała go namawiać. Po wszystkim objął ją czule, chowając twarz w jej włosach.

– Marzec odmienia się przez marzyć – szepnęła.

Mruknął przeciągle, całując ją w ucho.

Przerabiała ten ostatni raz w swoich myślach, analizując bez końca każde drgnięcie dłoni, napięcie podbrzusza i muśnięcie ust. Znów była w świecie, w którym powietrze pachniało stęchlizną, a gdzieś tam w przestrzeni między rozświetlonymi domami czał się lalkarz. Nie spała, pielęgnując w sobie tę piękną bliznę, która wryła się w pamięć i pozwalała jej oddzielić się od tego, co tu i teraz. Myśl, że wciąż nosi na sobie mikroślady Tomasza – jego naskórek, zapach – powodowała przyjemne łaskotanie pod pępkiem.

Włączyła komputer, a w lewym dolnym rogu mignęło powiadomienie.

„Lalkarz w rękach policji.

Od kilkunastu dni w areszcie śledczym w Olsztynie przebywa Mariusz M., który uważany jest za podejrzanego w sprawie makabrycznych zbrodni. W ostatnich dniach prokuratura zyskała pewność, bowiem podejrzany przyznał się do zarzucanych mu czynów”.

– Kurwa – zaklęła po nosem. – Co za bzdury.

Pomyślała o zasuszonej stokrotce i zakładce przesłanej w kopercie. Przez moment miała ochotę iść na policję i pokazać im je jako dowód na to, że lalkarz wciąż jest na wolności. Dopiero po chwili dotarło do niej, że nie będzie to miało żadnego znaczenia, bo w ich mniemaniu w żaden sposób nie łączy się z zabójstwami.

„Co to za brednie o lalkarzu tworzą pismaki?” – napisała do Rity.

Odpowiedź dostała niemal natychmiast.

„Mówiłam, że ukręcą sprawie łeb, i ukręcili. Szkoda prądu”.

„A Damian co na to?”

„Właśnie to samo. Sorry, ale po szybkiej analizie nie bierzemy roli Don Kichota w tym przedstawieniu. Niech się bawią bez nas”.

Wyglądało na to, że Rita definitywnie straciła zapał do swojego nielegalnego śledztwa. Może Damian przekonał ją, że nie ma sensu w tym grzebać, a może szybko zniechęciła się nieudolną próbą wyciągnięcia czegokolwiek z Darka. Łucja została więc sama. Tylko ona i lalkarz. Owinęła się kołdrą i zamknęła oczy, pozwalając obrazom przewijać się bez końca pod powiekami.

Obudziła się z nieprzyjemnym uczuciem niepokoju. Nie pamiętała żadnego ze snów, ale w jej podświadomości zapisał się strach, który odczuwała w nocy. Nie bała się lalkarza, tylko siebie samej. Przez

chwile wróciła myślami do tamtego wieczoru w lesie, kiedy morderca zabił pierwszą ofiarę. Była tak blisko tej zbrodni, a jednak nic nie zrobiła. Czy to czyniło z niej współwinną? I jeszcze to ciało nad Choinką... Znowu była niedaleko. Próbowwała zdusić w sobie myśl, że może mieć coś wspólnego ze śmiercią tych kobiet, jednak powtarzane przez ciotkę Teresę słowa, że jest tak samo chora jak jej ojciec, coraz wyraźniej przebijały się do świadomości.

- Przestań - upomniała się na głos i powlokła się do łazienki, próbując wykrzesać z siebie resztki energii.

- Idziesz na piwo wieczorem do Kotłowni? - zapytała zmieniona Rita w palarni.

Łucja spojrzała na nią zdziwiona.

- Mam zajęcia w świetlicy. A co to za okazja, że mnie zapraszasz na browara? - zażartowała.

- To może po zajęciach? Niecodziennie kończę dwadzieścia osiem lat, więc fajnie byłoby trochę poświętować.

- O, wszystkiego najlepszego. Czyli impreza?

- Impreza to zbyt szumnie powiedziane. W sumie myślałam, że tylko ty i Damian moglibyście mi potowarzyszyć w przekraczaniu kolejnego levelu mojej dorosłości. Jak ostatnio poszłam na browara w większym gronie, to nieciekawie się skończyło, więc wolę kameralnie.

Łucja poczuła się nieco zakłopotana tym zaproszeniem, ale uznała, że może przy okazji wyciągnie z nich coś więcej na temat śledztwa.

- Postaram się w takim razie wpaść po zajęciach. Mogę się trochę spóźnić.

- Super. Masz ogień? Bo ja chyba mój gdzieś zapodziałam. - Rita nerwowo grzebała w głębokich kieszeniach zgniłozielonej parki.

Łucja podała jej zapalniczkę.

- To co? Koniec sprawy lalkarza? - zagadnęła, siląc się na lekki ton.

- Na to wygląda. Jeśli możesz, nie poruszaj dziś tego tematu przy Damianie. Jest trochę drażliwy na tym punkcie. Dostaje teraz okropne spady, więc jest mega sfrustrowany pracą. A poza tym wkurwia go tak samo jak mnie, że ten zwyrodnialec chodzi gdzieś po świecie, a góra sobie jakiegoś słupa znalazła i wszyscy zadowoleni.

- Myślisz, że on jeszcze zaatakuje?

- Ja już o tym w ogóle nie myślę i tobie polecam to samo. To nie nasza sprawa i lepiej, żeby tak pozostało.

Kilka godzin później Łucja z impetem składała blachy na kuchennym blacie. Brzdęk metalu niósł się po kuchni.

- A co to panienska dzisiaj taka nerwowa? - zapytał pan Staszek, dojadając resztkę pizzy, która została na talerzu.

- Trochę się spieszę. Miałam wpaść na urodziny do znajomej po pracy.

- No jak na imprezę trza iść, to ja już resztę ogarnę. Leci już sobie.

- Na pewno? Nie chciałabym pana wykorzystywać.

- A gdzie tam. Mnie do domu się nie spieszy, bo i po co. Trzy podwórka od świetlicy mieszkam, a czasami jak kilka dni się z domu nie ruszę, czuję się, jakbym sam w całym kosmosie był. Więc dobrze mi zrobi, jak sobie zostaną trochę dłużej - odpowiedział, zabierając od niej blachę.

- Dziękuję.

- Nie ma co dziękować, tylko panienska leci za moje zdrowie tam kieliszeczek albo dwa wypić.

Uśmiechnęła się sztucznie i popędziła do auta. Z piskiem opon ruszyła spod świetlicy. Nie miała ochoty na piwo w pubie, ale skoro znalazła się na tak krótkiej liście gości, czuła się w obowiązku pojawić w Kotłowni chociaż na godzinę. Podjechała pod dom w Świerczynach. Planowała szybko zamienić spłowiełe dzinsy i trampki na sukienkę oraz szpilki. Kiedy zatrzymała samochód, odniosła wrażenie, że coś jest inaczej niż zwykle. Dopiero po chwili zorientowała się, skąd wzięło się to przekonanie. Choć na zewnątrz było już całkowicie ciemno, przy bramie ubrany w sam sweter i klapki stał mąż Moniki.

– Dobry wieczór.

Nie odpowiedział. Stał w bezruchu, wpatrując się w telefon. Pchnęła metalową bramkę i dopiero gdy ta głośno zapiszczała, spojrzął w jej stronę. Światło lampy rzuciło pomarańczową smugę na jego bladą twarz, na której malowało się przerażenie.

– Wszystko w porządku? – zagadnęła, przystając obok niego.

– Nie. Nie jest w porządku. Monika nie wróciła do domu – odpowiedział, nie odrywając wzroku od wyświetlacza.

– Może gdzieś się zasiedziała, wie pan, jak to kobiety. Zawsze mamy na wszystko czas – rzuciła żartobliwie.

Popatrzył na nią nieprzytomnie. Gęsta rudawa broda zasłaniała usta, a jednak Łucja odniosła wrażenie, że dostrzega rysujący się na nich grymas.

– Co też pani... Niemożliwe. O trzynastej miała USG, później wróciła do domu i poszła z Karlem na spacer. Od tej pory ich nie ma, a dochodzi dwudziesta. – Głos mu drżał. – Może zaczęła rodzić i jest w szpitalu – dodał z nadzieją.

– Być może – mruknęła, chociaż wydawało jej się to dziwne, że w takiej sytuacji nie zadzwoniła do męża. – A pan był cały czas w domu?

– Ma mnie pani za idiotę? – wycedził. – Gdybym był w domu, już wcześniej zacząłbym jej szukać. Dopiero wróciłem z pracy, przedłużyła nam się rada pedagogiczna. Ostatni raz rozmawiałem z nią przed czternastą, jak mieliśmy przerwę, a ona zbierała się na spacer. Boże, to już tyle godzin. Poszedłbym jej szukać, ale jak tu wróci, a mnie nie będzie... – Ukrył twarz w dłoniach. Wyglądał na zupełnie rozbitego.

– Ja zostanę, poczekam – zapewniła go, a zaraz potem pomyślała o spotkaniu w Kotłowni. Trudno, zadzwoni do Rity i ją przeprosi. – Może niech pan najpierw obejdzie okolicę, a później obdzwoni szpitale.

Nagle w oddali poniosło się szczekanie psa. Facet włączył latarkę w telefonie i skierował smugę światła przed siebie. Po kilku sekundach z ciemności wyłonił się zdyszany bernardyn.

– Karl! – krzyknął mąż Moniki, a w jego głosie zawibrowała ulga, którą szybko jednak wyparł strach.

Uczucie przenikliwego zimna przez chwilę odebrało Łucji oddech. Ukucnęła, przyglądając się czerwonej obroży psa. Pomiędzy długimi pasmami sierści coś dyndało. Delikatnie odchyliła brązowobiałe futro. Do zimnego karabińczyka doczepione były dwie słomiane laleczki.

Poranne majowe powietrze pachniało świeżo skoszoną trawą. Łucja wymknęła się z domu zaraz za Arkiem. Do rozpoczęcia lekcji pozostała godzina. Pod kaplicą na chłopaka czekali już obaj jego koledzy. Oprócz nich był też Wojtek, którego matka prowadziła spożywcza na parterze swojego domu, i jakaś dziewczyna o pociągłej twarzy.

– To jest ściśle tajne przedstawienie, tak? Tylko dla wybranych, rozumiemy się? – zapytał Arek władczym tonem.

Wszyscy pokiwali głowami.

Łucja wychyliła się zza drewnianego składziku na narzędzia, który stał kilkadziesiąt metrów od kaplicy. Wszyscy byli tak zaabsorbowani tym, co za chwilę miało się wydarzyć, że nikt nie zwrócił na nią uwagi. Sylwek podał Arkowi klucz, a ten włożył go do wielkiego żeliwnego zamka.

– No to, Adrian, nasz bohaterze, chodź do nas i opowiedz, jak się bawiłeś.

Wokół słychać było cykanie świerszczy z okolicznych łąk.

Wszyscy wpatrywali się w ciemny prostokąt pomiędzy jasnobrązowymi deskami. Ale nic się nie wydarzyło. Nikt nie wyszedł z kaplicy.

Chłopcy spojrzeli po sobie zdziwieni.

– Gdzie on jest? – zapytała dziewczyna, podchodząc do otwartych drzwi.

– Kurwa, przecież ten trup go nie załatwił. Grzesiek, włącz tam i ogarnij temat.

– Dlaczego ja? – burknął pulchny brunet.

– Ja pierdołę, wszystko muszę robić sam. Pierdoleni tchórze – mruknął Arek i zniknął w drzwiach kaplicy.

Grupka nastolatków czekała w ciszy, wpatrując się w ciemne wejście. Po chwili wybiegł z niego Arek.

– Zamykaj – wydyszał do Sylwka, podając mu klucz. – Zamykaj i spierdalamy.

– Co jest? – zapytał ze strachem Grzesiek.

Wojtek i dziewczyna odsunęli się od kaplicy, jakby chcieli podkreślić, że nie mają z tym nic wspólnego.

– Coś mu się, kurwa, stało. Leży tam, nie reaguje. Ja pierdołę. Zamykaj, mówię.

Pryszczaty nastolatek nerwowo przekręcił klucz w wielkim zamku.

– To wszystko przez nią, to ona go tu zamknęła, zasrana wariatka. – Obaj koledzy spojrzeli na Arka zdziwieni, ale nie odezwali się ani słowem. – Matka mówiła, że ona jest pierdolnięta, ale żeby go zabić... Trzeba znaleźć Łucję, bo to był jej pomysł i jej wina. Wszystkim powiemy, co narobiła – wydyszał Arek, patrząc po kolei w twarze nastolatków. – Miał przy sobie jej klamrę. – Uniósł plastikową spinkę z kwiatkiem imitującym stokrotkę, którą wyrwał jej kilka dni temu z włosów, kiedy o coś się sprzeczali. – To dowód, że ona maczała w tym palce, a ja tylko chciałem go uwolnić.

Łucja osunęła się na wilgotną ziemię. Poczowała, że brakuje jej powietrza.

## ROZDZIAŁ 15

Światła policyjnych migaczy odbijały się w szybie. Łucja gorączkowo przetrząsała torebkę w poszukiwaniu wizytówki, którą w kawiarni wręczył jej Darek. Miała nadzieję, że jego wskazówki dadzą szansę na uratowanie Moniki i dziecka. Że jest jeszcze czas. Uchwyciła się tej myśli. Po kilkunastu minutach spomiędzy papierków po batonach wyjęła zmięty kartonik. *Dariusz Kamiński Psychoterapeuta* napisano na beżowym tle ozdobną czcionką. Wstukała numer do swojego telefonu i nacisnęła zieloną słuchawkę. Dochodziła dwudziesta druga, ale nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Musiała spróbować.

– Halo. – Po trzech sygnałach odezwał się w słuchawce męski głos.

– Cześć – odpowiedziała niepewnie. – Widzieliśmy się jakiś czas temu w kawiarni Gama Smaków. Powiedziałaś, że gdybym potrzebowała pomocy, to mam zadzwonić. Potrzebuję jej właśnie teraz, bardziej niż kiedykolwiek. Mogę przyjechać? – zapytała bez zbędnych wstępów.

Po drugiej stronie na kilkanaście sekund zapadła cisza. Łucja słyszała tylko miarowe oddychanie.

– Czekam. Adres wyślę ci SMS-em – odpowiedział po chwili.

Dwadzieścia minut później siedziała już w samochodzie. Jechała szybko, łamiąc co najmniej kilkanaście przepisów. Nie włączyła nawet muzyki. Miarowa praca silnika koła nerwy, dawała poczucie, że z każdą chwilą była coraz bliżej Darka. I być może odpowiedzi na pytanie, kim jest lalkarz. W głowie pęczniały jej myśli. Laleczki przyłączone do obroży Karla wyglądały inaczej niż te, które wiozła teraz w torebce. Tamte niedbale zwinięto ze słomy, te spleciono starannie, dodając wełnę imitującą włosy. Na dodatek kukielki, które znalazła w swoim aucie, miały te przerażające ślady po kleju w miejscu oczu. Czy ta różnica między nimi była celowym działaniem lalkarza? Może chciał w ten sposób coś przekazać? Albo nigdy nie podrzucił niczego Łucji. Tylko kto w takim razie próbował ją przestraszyć i po co?

Zatrzymała się przed domem stojącym pod samym lasem. Krew pulsowała jej w skroniach. Nie wiedziała, czego może się spodziewać po tym spotkaniu, ale cena nie grała roli. Była gotowa na wszystko. Tym razem wiedziała, że chce pomóc, coś zrobić. Naprawić swój błąd z tamtego popołudnia, kiedy usłyszała krzyk w lesie. Przełknęła ślinę. I z tamtego wieczoru, kiedy po domu niósł się krzyk kobiety o wschodnim akcencie. Pchnęła drewnianą bramkę i przeszła długim chodnikiem obsadzonym tujami. Nie musiała dzwonić, Darek czekał już w drzwiach ubrany w gruby polarowy szlafrok.

– Cześć – powiedział, zamykając za nią drzwi. – Napijesz się czegoś?

– Nie, nie przyjechałam tu na herbatę ani ploteczki. Mam ważną sprawę i niewiele czasu. – Spojrzała mu prosto w oczy, starając się nie mrugać.

– To może przynajmniej usiądziemy? Czy będziemy tak rozmawiać w przedpokoju?

Zaprowadził ją do niewielkiego salonu wyłożonego boazerią. Na ścianach wisiały zwierzęce skóry i poroża.

– Jak mogę ci pomóc? Co cię trapi? Bo chyba coś cię trapi, skoro tak nagle zadzwoniłaś o tej porze.

– Rzeczywiście możesz mi pomóc. I nie tylko mnie.

Opowiedziała mu o Monice i dziecku. Kiedy mówiła, patrzył na nią bez emocji. Później wstał i nalał sobie whisky.

– Na pewno nie chcesz? – zapytał, po czym upił spory łyk.

– Każda informacja o konfiguracjach może mieć znaczenie. Lalkarz z pewnością był na którychś z twoich cykli terapeutycznych.

Usiadł na kanapie blisko niej, chociaż obok pozostawało mnóstwo wolnego miejsca. Jedną nogę podwinął pod pupę, szlafrok rozszedł się w kroku, obnażając czarne bokserki.

– Mówiłem ci już. On wcale nie musiał być na mojej terapii, szybko posypali się naśladowcy.

Możliwe, ale znała tylko jego, to był jej jedyny trop, a ona potrzebowała konkretów.

– Nie masz kontaktu do osób, które brały udział w warsztatach? Telefonu, starych SMS-ów? Przecież musieliście się jakoś komunikować, do cholery.

Dopił resztę whisky.

– Była u mnie policja kilka dni temu – powiedział, wpatrując się w puste dno szklanki.

– Co im powiedziałaś?

– To, co i wam wtedy w Gamie. Cholera, ja naprawdę nic nie wiem.

– Co z tymi kontaktami? – Nie ustępowała.

– Kiedy przeczytałem pierwszy artykuł o lalkarzu, wiedziałem, że prędzej czy później policja zapuka do moich drzwi, więc usunąłem całą moją bazę danych.

Poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

– Dlaczego?

– Dlatego, że moim podopiecznym obiecałem spokój i anonimowość. Czuję się za nich odpowiedzialny, mimo że nie znam ich nazwisk ani nie mam pojęcia, gdzie mieszkają. Nie mogłem pozwolić, by policja grzebała w ich wspomnieniach związanych z sesjami. To mogłoby zniweczyć cały efekt naszej pracy. Uwierz mi, nie robiłem tego dla pieniędzy, ja naprawdę ratowałem tych ludzi.

„Co za brednie”, pomyślała.

– A laleczki? Mówiłeś, że każda osoba z konfiguracji miała swoją. Co się działo z nimi po zajęciach? Wracały do ciebie, zostawały u osób, które wcielały się w daną rolę? Skąd ma je zabójca?

Darek wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Paliłem je po każdej sesji, żeby nie pozwolić na żadne nadużycia. Zaklinaliśmy w nich część duszy, aurę, przeżycia, emocje i wspomnienia konkretnych osób. Ich życie. Nie chciałem ryzykować, że uczestnicy użyją ich w nieodpowiedni sposób.

– Nie masz nawet jednej?

Wstał i dołał sobie whisky.

– Mam kilka z własnych ustawień. Po co ci ta wiedza? Zastanawiasz się, czy ja jestem lalkarzem? – prychnął. – Pewnie gdyby tak było, już byś nie żyła.

– Mogę je zobaczyć? Chociaż jedną.

Zniknął za białymi drzwiami, gryzącymi się z pociemniałą boazerią. Po chwili wrócił z niewielką lalką dyndającą na jutowym sznurku. Styl jej wykonania był niemal identyczny jak kukielek zwisających z obroży Karla. Rozmiar, niedbały splot, brak włosów i jakichkolwiek innych elementów. To mogło oznaczać tylko jedno: lalkarz wywodził się z grupy Darka. Albo to sam Darek był lalkarzem.

– Ty popieprzony darmozjadzie! Zdajesz sobie sprawę z tego, coś zrobiła?! – Głos ciotki Teresy niósł się po domu.

Łucja kuliła się na łóżku, przyciskając głowę do podciągniętych kolan.

– To nie ja, nie ja. – Próbowала powiedzieć, ale z jej gardła nie wydobywał się żaden dźwięk.

– Ten chłopak dostał udaru. Udaru! Masz pojęcie, co to znaczy? Może umrze, a może zostanie rośliną do końca życia. Zaraz tu będzie policja i za wszystko odpowiesz. Jesteś przekłeta, wisi nad tobą jakaś klątwa! Mój brat zawsze był furiatem, a bratowa popieprzoną egoistką, ale wszystko, co złe w ich rodzinie, zaczęło się dziać, kiedy ty się pojawiłaś. Teraz chcesz zesłać tę zarazę na mnie i moich synów, ale nie, ja ci na to nie pozwolę! Pójdiesz do poprawczaka, to się życia nauczysz. Tam nikt nie będzie się z tobą cackać

jak ja. Masz chorą krew. Cięży nad tobą jakieś fatum i prędzej czy później dosięgnie cię zło piekielne – wychrypiała ciotka, patrząc na nią ze strachem.

Dziewczynka potrząsała głową.

– Ja karku za ciebie nadstawiać nie będę, moje dzieci też nie. Koniec tego dobrego. Chciałam ci pomóc, nie udało się, trudno. Byłam zbyt litościwa. Trzeba było cię zamykać w piwnicy, jak ksiądz radził. A teraz już wszystko na nic. Żeby dzieciaka zamknąć z nieboszczykiem na noc całą... Panienko Najświętsza, kto to by pomyślał. – Kobieta spojrzała ostentacyjnie w górę, jakby spodziewała się, że nadejdzie stamtąd jakaś odpowiedź.

Łucja zacisnęła dłonie na poszwie kołdry.

– To Arek – oznajmiła.

– Coś ty powiedziała?

Podniosła głowę i patrząc jej prosto w oczy, powtórzyła:

– To nie ja. To Arek.

Ciotka zaparła się o łóżko i chwyciła ją za włosy.

– Ty durna kłamczucho! Ja się tych kłamstw z twojej chorej głowy razem z kłakami pozbędę!

Zbliżył twarz i powąchał jej włosy. Zapach alkoholu sączący się z jego wilgotnych ust mieszał się z ziołowymi męskimi perfumami. Zamarła. Bała się, że Darek niewłaściwie zinterpretuje jakikolwiek ruch z jej strony.

– Jeśli ta kobieta rzeczywiście jest w rękach lalkarza, nie uratujesz jej. Nie mamy na to wpływu – wyszeptał. – Dobrze o tym wiesz i nie ma sensu się zadreć. – Zsunął rękę na jej udo. Palce z krótko obciętych paznokciami błędziły po jasnoniebieskich dzinsach.

Przełknęła ślinę, żeby powstrzymać napad mdłości.

– Pomóż mi. Ona i jej dziecko nie zasłużyli na śmierć – wyszeptwała desperacko. Wsunął rękę między jej uda.

– Nie mogę ci pomóc, bo nic nie wiem. – Przysunął usta do jej szyi.

Odskoczyła od niego z obrzydzeniem.

– Jeśli lalkarz był uczestnikiem twoich zasranych konfiguracji, to jesteś tak samo winien śmierci tych wszystkich kobiet jak i on! – zawołała. – To ty stworzyłeś tego potwora! Ty je zabiłeś! On morduje, zostawiając lalecзки, dokładnie takie same, jakie tworzyłeś na potrzeby tych popierdolonych sesji. Naprawdę nie dostrzegasz tego, że on zabija przez ciebie albo dla ciebie?! Wolisz udawać, że tak nie jest, wmawiać sobie, że pochodzi z jakiejś innej tajemniczej grupy z odległego krańca Polski? Może policja łyka te kity, bo tak im wygodniej albo mają w tym jakiś ukryty interes, ale żaden trzeźwo myślący człowiek w to nie uwierzy. Sam w to nie wierzysz, tylko wolisz się oszukiwać, bo nie chcesz pogodzić się z tym, że przez ciebie umiera kolejna kobieta i jej nienarodzone dziecko. A mimo to nawet nie kiwniesz palcem, żeby im pomóc, zasrany gnoju! – wyrzuciła z siebie na jednym wydechu.

Czuła, jak lzy ciekną jej po twarzy. Miała wrażenie, że wypalają jej skórę. Nie płakała od chwili, w której wyprowadziła się z domu ciotki Teresy. Przez chwilę miała wrażenie, że ją uderzy. Ale on tylko poruszył się niespokojnie i zaczął głośno dyszeć.

– Stworzyłeś mordercę, więc sam jesteś mordercą – wychrypiała.

– Wypierdalaj z mojego domu.

Nie musiał tego powtarzać. Chwyciła z wieszaka czarną ramoneskę i wybiegła na zewnątrz. Drżącymi rękami przekreśliła klucz w stacyjce.

- Przypowieść o synu marnotrawnym mówi nam, czym jest miłosierdzie. - Katechetka w czarnym kostiumie zapisała na tablicy wersalikami słowo „miłosierdzie”.

W klasie panował szum. Dzieciaki rozmawiały między sobą, nie zwracając uwagi na nauczycielkę. Nagle drzwi do sali otworzyły się i stanął w nich przygarbiony, łysiejący mężczyzna w okularach z grubymi szklami, przywodzący na myśl denka od słoików.

- Basiu, muszę ci na chwilę przerwać - oznajmił wysokim głosem.

Spojrzała na niego usłużnie i kiwnęła głową.

- Oczywiście, dyrektorze.

Odchrząknął.

- Ehm, dzieciaczki drogie, przychodzę do was po to, by osobiście przekazać wam tę smutną wiadomość - zaczął, stając pod tablicą. Poprawił nerwowo spodnie z krzywo zaprasowanym kantem. - Adrian Zawadzki, wasz kolega, uczeń naszej szkoły, zmarł dzisiaj w szpitalu.

Wszyscy obecni w klasie łącznie z dyrektorem i katechetką utkwili w niej wzrok.

Łucja poczuła, jak podłoga zapada się pod jej stopami. Adrian nie żyje. Widziała, jak Arek zamyka go w kaplicy. Dlatego umarł. Ona tylko się przyglądała. Nie pobiegła po pomoc. Niewiele obchodził ją chłopak, którego widywała na szkolnych korytarzach. Smuciło ją to, że jego śmierć była niezawiniona. Ojciec nauczył ją, że odebranie życia to nie zbrodnia, gdy jest formą kary. A Adrian nie zasłużył na śmierć. Był jedynie ofiarą Arka. Zaczęła się bać, że ona będzie kolejną.



## ROZDZIAŁ 16

Następny dzień był sumą niewiele znaczących słów, mechanicznie wykonywanych czynności i setek przerażających obrazów, które pojawiły się przed jej oczami. Myślała o Monice, zastanawiała się, kiedy odnajdą ciało. Nie miała wątpliwości, że lalkarz nie daruje jej życia. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu czuła, że musi ją znaleźć żywą lub martwą, jakby w ten sposób miała wyrównać rachunki ze wszechświatem, odkupić swoje winy i zaznać spokoju. Oszukać przeznaczenie i udowodnić sobie, że nie ma żadnego fatum.

Podczas szybkiego papierosa między wykładami podzieliła się z Ritą swoimi przypuszczeniami, że kobieta nie żyje. Koleżanka przyznała jej rację. Policja prowadziła poszukiwania zwłok, choć nikt oficjalnie tego nie przyznał. W ogólnopolskich i lokalnych serwisach prezentowano zdjęcie uśmiechniętej blondynki z blad różowymi ustami. Na kolorowej fotografii stała na tle jeziora i trzymała się za wyraźnie zaokrąglony brzuszek, który wystawał spod płaszczka. Apel rzecznika prasowego komendy wojewódzkiej o pomoc w poszukiwaniach brzmiał pusto, jak wyuczona formułka modlitwy, której znaczenia nikt nie rozumie.

Narzuciła na siebie zmięty dres i wyszła z pokoju. Zimny wiatr na chwilę przywrócił jej czucie. Niezgrabnie weszła po kamiennych schodkach. Nacisnęła dzwonek. Po kilkunastu długich sekundach drzwi się otworzyły i stanął w nich mąż Moniki. Miał bladą, opuchniętą twarz.

– Przepraszam, że tak z rana pana niepokoję, ale mam jedno pytanie. Dość ważne w kontekście zaginięcia pańskiej żony.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Wiem, że to brzmi dziwnie, ale może będę mogła pomóc policji. Proszę tylko odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy pańska żona brała kiedyś udział w jakiejś terapii? Wyjeżdżała na jakieś warsztaty psychologiczne?

– O co pani chodzi? Nie mam czasu ani siły na bezsensowne... – Urwał i próbował zamknąć drzwi, ona jednak złapała za klamkę.

– Wiem, jak to brzmi – powiedziała szybko – ale proszę tylko odpowiedzieć. Moja koleżanka jest policjantką, może będzie mogła skierować śledztwo w kierunku, który być może pozwoli odnaleźć pańską żonę. Mamy pewną koncepcję.

Przymknął oczy, jakby robił to wbrew sobie.

– Tak, po poronieniu dwa lata temu. Gdzieś na Mazurach. Po tym wyjeździe stanęła na nogi. Ale co to ma wspólnego z jej zaginięciem? – spytał, ona jednak już go nie słuchała.

– Dziękuję. Powiem, jak tylko coś się wyjaśni – rzuciła i pobiegła w stronę pokoju.

Czuła pulsującą w żyłach wściekłość. Darek doskonale wiedział, że Monika brała udział w jego warsztatach. Przecież jej zdjęcie było we wszystkich programach telewizyjnych i na wszystkich czołowych portalach, a jednak podczas ich rozmowy zachowywał się tak, jakby nie miał pojęcia, o kim Łucja opowiada. Dlaczego krył lalkarza? Próbował w ten sposób oszukać sam siebie, że nie jest winny kolejnej zbrodni? A może miał jakieś inne powody?

Po południu, mimo pulsującego w skroniach bólu, Łucja zmusiła się, żeby pojechać do świetlicy. Połączyła seniorów w pary i z dostępnych w lodowce składników poleciła przygotować, cokolwiek przyjdzie im do głowy. Żadna z osób nawet nie drgnęła. Nikt nie miał ochoty na gotowanie. Wieść o zaginięciu Moniki dotarła do każdego z obecnych, siedzieli więc bez słowa przy wielkim stole. Przez głowę przeszła jej myśl, że jeszcze kilka dni temu w tym samym miejscu siedziała Monika. Poczowała zimny

dreszcz na karku. Czy lalkarz może mieć coś wspólnego ze świetlicą? Szybko uznała tę teorię za zbyt wyдуманą.

Kiedy wróciła do pokoju, odsunęła zasłony, by mieć dokładny widok na dom Moniki i jej męża. Wypatrywała w ich oknach światła, które mogłoby znaczyć, że kobieta wróciła i wszystko jest tak jak przedtem. Ale była w nich tylko bezkresna czerń. Świdrującą w uszach ciszę przerwał dźwięk powiadomienia. Dostała wiadomość od zastrzeżonego numeru. Przekonana, że to spam, od razu chciała ją usunąć, ale palec ześlizgnął się z wyświetlacza i przypadkiem rozwinęła się treść. „Jutro o 20.00 w parku Jakubowo przy jeziorze”. Do wiadomości dołączone było zdjęcie laleczki wykonanej w tym samym stylu, co te, które znalazła za wycieraczką.

Czas zwalniał i przyśpieszał. Łucja nie potrafiła ruszyć żadnym mięśniem. Leżała jak sparaliżowana, wgapiając się w sufit. Myślała o ojcu, o tym, czego próbował ją nauczyć. O tym, że kochał ją na swój pokretny sposób. Tęskniła za myślą, że gdzieś tam jest. Co by jej powiedział? Pewnie zabroniłby jechać do Jakubowa. Powiedziałby, żeby srała na innych i ratowała siebie. Tylko czy tak naprawdę właśnie tego nie robiła? Jeśli napisał do niej lalkarz, była kolejna na jego liście. Ona przynajmniej miała szansę – wiedziała więcej niż pozostałe ofiary.

Kiedy za oknem zaczęło robić się ciemno, z nadludzkiem wysiłkiem wstała, narzuciła na siebie sweter i dżinsy. Nogi jej drżały. Przez cały dzień nie jadła i nie piła. Miała wrażenie, że zapomniała, jak to się robi. Nawet oddychanie wydawało jej się nienaturalne. Nie miała pojęcia, jak dojechała na miejsce. Zaparkowała auto na chodniku i wbiegła do parku. Zacisnęła rękę na dezodorancie wrzuconym do torebki przed wyjściem. Nie sądziła, żeby mógł uratować jej życie, ale przynajmniej dawał poczucie, że panuje nad sytuacją. Szła powoli wzdłuż jeziora. Poza staruszką prowadzącą na smyczy opasłego jamnika nikogo nie było w pobliżu. Telefon zawibrował. „Czekam na Stadionie Leśnym. Pośpiesz się” – brzmiał SMS.

Poczuła bolesne ukłucie strachu pod pępkiem. Park Jakubowo nocą nie był najbardziej przyjaznym miejscem, ale Stadion Leśny wypadł w tym zestawieniu o wiele gorzej. Włączyła nawigację. Mapy Google'a pokazały, że pokonanie trasy pieszo zajmie jej jedenaście minut. Wbrew sztywniejącemu z zimna i strachu ciału ruszyła w tamtą stronę.

Gęsta ciemność odebrała jej na chwilę wzrok. Włączyła latarkę. Starła się ułożyć w głowie plan działania, ale nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Po kilku minutach dotarła na zalany czernią stadion. Las wokół pomrukiwał złowrogo. Skuliła się, jakby w każdej chwili spodziewała się uderzenia. Nagle ktoś położył jej dłoń na ramieniu. Krzyknęła, a jej głos potoczył się echem pomiędzy drzewami. Zakapturzona postać położyła palec na spierzchniętych ustach.

Spojrzała w szare oczy. Znała je.

Siedziała w zimnej wannie. Lodowate ścianki były suche, woda delikatnie przelewała się jedynie na dnie, obmywając kostki i krawędź pośladek. Nagle zamek szcęknął. Skuliła się, próbując zakryć drobne ciało. Arek wszedł do łazienki, mrużąc oczy. Chciała krzyknąć, ale zanim nabrała powietrza w płuca, włożył jej do buzi ręcznik.

– Zamknij się, kretynko.

Serce łomotało jej pod odstającymi zębami. Czuła się zawstydzona. Chciała ukryć się przed jego wzrokiem, gdy tak patrzył na nią i uśmiechał się szyderczo.

– Co się chowasz, idiotko? Chyba nie jestem tu po to, żeby te krosty oglądać. – Wskazał podbródkiem na jej klatkę piersiową. – Przyszedłem ci tylko przypomnieć, że gdybyś zechciała powiedzieć komuś jakiegokolwiek kłamstwa na temat zamknięcia tego półgłówka w kaplicy, to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobisz w życiu. Ale zanim cię zabiję, najpierw włożę ci to prosto w dupę. – Chwycił szczotkę stojącą przy sedesie i przejechał nią wzdłuż jej kręgosłupa.

Wzdrygnęła się. Czują, jak szorstki materiał ręcznika pęcznieje jej w ustach.

## ROZDZIAŁ 17

Wojtek wpatrywał się w nią wyczekująco, jakby spodziewał się, że będzie próbowała go obezwładnić, ona jednak skierowała strumień światła z latarki na jego twarz.

– Co ty tu, kurwa, robisz? – wydusiła z siebie.

– Zgaś to – powiedział twardo.

Posłusznie wyłączyła telefon. Jedynym źródłem światła był teraz księżyc przebijający się przez gęsto rosnące drzewa. W ciemności Łucja widziała jedynie zarys twarzy Wojtka.

– Czego chcesz, popierdoleńcu? Zabijesz mnie? Zgwałcisz?

Prychnął.

– Tak nisko mnie oceniasz?

– Nie wiem, nie znam cię. Raz się bzykaliśmy i to wszystko.

Pomyślała o SMS-ach, które wysyłał jej po tamtym spotkaniu z prośbą o kolejne. Więc o to chodziło? O zemstę, że nie chciała znów spotkać się na seks? Czy może Wojtek był lalkarzem i już tamtego wieczoru wybrał ją na swoją następną ofiarę?

– Serio jesteś aż tak bardzo zapatrzona w siebie ignorantką?

– Naprawdę nie wiem, o czym mówisz. Możesz jaśniej? – Głos Łucji zadrżał, choć bardzo starała się mówić spokojnie.

Jego oddech przyspieszył.

Przez zwisające nisko nad łąkami chmury prześlizgiwały się pojedyncze promienie sierpniowego słońca. Deszcz laskotał skórę. Drobne krople spływały po policzkach siedmiolatka kulącego się za krzakiem leszczyny. Kilkanaście minut wcześniej próbował wdrapać się na ogromy silos piętrzący się pośród zniszczonych budynków gospodarczych. Założył się z Piotrkim z domu naprzeciwko, że uda mu się sprawdzić, co jest w środku monumentalnej metalowej konstrukcji. Kiedy był kilka metrów nad ziemią, z chlewni niespodziewanie wyszła matka. Wściekła się. Chciała bić go ojcowskim pasem, który wciąż wisiał na drzwiach do kuchni, mimo że tata nie żył od ponad roku. Podchodzenie do silosów w ich domu od zawsze było surowo zabronione.

– Dopiero co go pochowaliśmy, a ty znowu chcesz śmierć na nas sprowadzić? Ja ci te głupie pomysły z głowy wybiję! – grzmiała, biorąc do ręki wąski skórzany pas.

Uciekł przed jej krzykiem i ciężkimi uderzeniami metalowej sprzączki. Nigdy wcześniej go nie uderzyła. Odkąd ojciec umarł, pasek tylko wisiał i straszył.

W cieniu leszczyny panowała cisza dająca poczucie bezpieczeństwa. Nagle usłyszał przeciągły warkot silnika. Przybliżył się do krzaka, ocierając się twarzą o mokre gałęzie. Auto zwolniło, a po chwili się zatrzymało. Ostrożnie spojrzął przez kołyszące się na tle poszarzałego nieba witki. Biały fiat stanął na środku szutrówki. Wysiadł z niego mężczyzna o chudych nogach i wyraźnie zaokrąglonym brzuchu, rozejrzał się, po czym wyjął coś z bagażnika. W dłoniach ścisnął kij. Taki sam jak ten, którym chłopcy grali w palanta na boisku szkolnym. Po kilku minutach obok fiata przystanął rowerzysta. Brzuchaty kierowca zamiast uciąć sobie z nim pogawędkę, podniósł kij i z całej siły uderzył tamtego w głowę. Chłopiec usłyszał głuchy odgłos. Na ciemnobrązową, napęczniałą od wilgoci ziemię spłynęła krew. Facet zachwiał się i spadł z roweru. Kierowca wpatrywał się w niego przez chwilę, przyklęknął i przyłożył ucho do jego ust, a później wrzucił go do bagażnika. Z trudem upchnął w nim męskie stopy w białych adidasach. Na końcu wpakował

do środka roweru, po czym przymknął klapę. Koła urała wystawały przez szeroką szczelinę. Mężczyzna wyjął z samochodu łopatę i czarny worek, a potem przesypał do niego zakrwawioną ziemię i wrzucił go na przednie siedzenie pasażera. Dopiero teraz chłopiec dostrzegł w aucie rudowłosą dziewczynkę z nosem przyklejonym do tylnej szyby. Wysiadła, nie bała się, na jej twarzy malował się lekki uśmiech. Przytuliła się do mężczyzny, a gdy ten szepnął jej coś do ucha, usiadła na mokrej trawie, ściskając w rękach różowego misia. Fiat pojechał w stronę przebijającego się przez chmury słońca. Chłopiec dygotał ze strachu. Zastanawiał się, czy to, co przed chwilą zobaczył, było śmiercią. Tym samym umieraniem, o którym babcia co jakiś czas mówiła przy niedzielnym obiedzie jedzonym tuż po mszy. Powtarzała, że na nią też niedługo przyjdzie pora. Pomyślał z przerażeniem, że rowerzysta umarł przez niego. Dlatego że próbował wejść na silos wbrew zakazowi. W duchu obiecał Bogu, o którym opowiadał ksiądz na religii, że już zawsze będzie posłuszny. Nie mógł pozwolić, żeby i babcia przez niego umarła. Gwałtownie wstał i pobiegł co sił w nogach do domu. Miał nadzieję, że jeśli matka zbije go wystarczająco dotkliwie pasem, to bolesna kara przepędzi śmierć.

Las szumiał coraz wyraźniej.

– Jak cię zobaczyłem, od razu wiedziałem, że to ty. Nawet przez chwilę nie miałem wątpliwości. Chciałem pogadać, może bym ci nawet wtedy powiedział, jakoś by mi ulżyło, ale tak niecierpliwie domagałaś się seksu, że odpuściłem. Nawet sobie pomyślałem, że może po prostu chcesz właśnie mnie, ale nie, ty jedynie chciałaś sobie ulżyć i spieprzyć. A ja miałem ci w tym pomóc.

Nie miała pojęcia, o czym on mówi. Musiał to wyczuć.

– Dalej nie wiesz, o co mi chodzi? A może tak jest ci wygodniej? Wolisz udawać, że przeszłość nigdy się nie wydarzyła?

Nie odzywała się. Ton jego głosu stawał się coraz bardziej napastliwy.

– Nie myśl, że ten raz z tobą był taki wspaniały, że tak bardzo chciałem go powtórzyć – prychnął. – Nie o to chodziło. Potrzebowałem kolejnego spotkania, żeby się przekonać, że nie tylko mnie zniszczyło to życie. Chciałem zobaczyć, że jesteś tak samo nieszczęśliwa jak ja. Ale ty wcale nie wyglądałaś na kogoś, kto się szarpie z życiem. I nawet nie odpowiedziałaś na SMS-a. Znowu mi pokazałaś, że jestem z tym zupełnie sam.

Po prawej stronie między drzewami coś zaszeleściło, ale chłopak w ogóle nie zwrócił na to uwagi.

– Przez te nasze – położył nacisk na ostatnie słowo – kilkanaście minut odniosłem wrażenie, że twoje życie to dobra zabawa. Nie miałaś w sobie żadnego smutku, żadnego bólu.

Nawet nie miał pojęcia, jak bardzo się mylił, ale nie próbowała zaprzeczyć. Bała się, że każdym słowem może go sprowokować do napadu wściekłości.

– Wychodziło więc na to, że twój pojebany ojciec spierdolił życie tylko mnie, a ty wyszłaś z tego bez szwanku. A ja od tamtego dnia żyłem w strachu, w poczuciu winy.

Zakreśliła jej się w głowie, gdy usłyszała „od tamtego dnia”. Kim był ten facet? Nie wiedziała, o czym on mówi, ale czuła narastający niepokój. Nagle włączyła latarkę, kierując strumień fioletowego światła prosto w jego twarz.

Zmrużył oczy.

– Nadal mnie nie poznajesz, co? – rzucił ironicznie. – W sumie nie powinienem się dziwić, zmieniłem się od tamtej pory. Lata depresji i chlania robią swoje. Zgaś to.

Nie posłuchała, więc wyrwał jej latarkę z ręki i wyłączył światło. Dopiero wtedy odważyła się odezwać.

– Posłuchaj, bardzo ci współczuję, naprawdę to smutne, że miałeś ciężkie życie, ale mnie los też nie oszczędzał, więc nie bardzo mam ochotę na umartwianie się twoimi rzewnymi historyjkami. Powiedz, do cholery, o co ci chodzi, albo odwal się ode mnie i daj mi żyć w spokoju.

Milczał przez chwilę. Czuła, że jego spojrzenie niemal przewierca ją na wylot.

- Wszystko widziałem. Widziałem, jak go napieprza kijem, a później chowa jego ciało i rower do bagażnika. Widziałem też ciebie, jak patrzyłaś na wszystko z nosem przyklejonym do szyby. Jak się do niego przytuliłaś i zostałaś tam sama na tej zasranej polanie.

Słowa wibrowały jej w uszach.

- Matka ciągle powtarzała, że Muzyk za kołnierz nie wylewa, ale to dobry i poczciwy chłop, a przede wszystkim córkę kocha. Wierzyłem jej. Miałem sześć lat, wydawało mi się, że mama zawsze ma rację. A skoro twój ojciec był dobry i zrobił to, co zrobił, to musiała być w tym jakaś moja wina. Tak wtedy myślałem. Że to się wydarzyło, dlatego że wszedłem na ten zasrany silos. Więc nikomu nie pisałem nawet słowa. A kiedy już dorosłem i zrozumiałem, co się tam właściwie stało, bałem się. Uznałem, że ktokolwiek się o tym dowie, uzna mnie za współwinnego. Choćby rodzina Wierzbickich. Jakbym, ukrywając ten sekret, pomógł mordercy. Nie wybaczyliby mi tego, że przez lata milczałem. I tak nosiłem w sobie tajemnicę, która zżerała mnie od środka. Zjadała jak rak, powoli, ale boleśnie. Cały czas towarzyszył mi strach. Od tamtego popołudnia zawsze się bałem. Kiedy spałem, jadłem czy srałem. Zawsze, rozumiesz?

Poruszył się. Poczula jego oddech na swojej twarzy.

- Za tamtymi krzakami leszczyny zobaczyłem śmierć z bliska i ona już zawsze ze mną była. Czaiła się w ciemności, a ja bałem się, że jeśli zrobię coś nie tak, ona znowu zaatakuje i ktoś przeze mnie umrze.

Zacisnęła powieki.

Pamiętała, jak ciepłe łzy skapywały na dywan. Ojciec przytulił ją mocno, kiedy piskliwym dziecięcym głosem opowiedziała mu o tym, co wydarzyło się w przedszkolu. Po leżakowaniu bawiły się razem z Kasią Wierzbicką w sąsiadki. Dziewczynka zabroniła jej dotykać swojej lalki z kolorowymi pasemkami, którą dostała od ciotki z Ameryki. Oznajmiła głośno, tak żeby słyszały to wszystkie dzieci z czwartej grupy, że Łucja ma wszy i zarazi jej piękną lalkę. Dokładnie zapamiętała tamten moment. Elektroniczny czasomierz nad biurkiem przedszkolank wskazywał jedenastą czterdzieści pięć. Dwa dni wcześniej ojciec nauczył ją odczytywać godzinę z zegarka. Do końca dnia żadne dziecko nie chciało się już bawić z Łucją. Podobnie jak kolejnego.

Pamiętała swoją dłoń w dłoni ojca, kiedy szli do Wierzbickich. Mimo że minęło tyle lat, wciąż wibrował jej w uszach błagalny krzyk matki z podwórka, by ojciec wstydu na całą wieś nie robił o takie głupoty. Wierzbicki, opierając się o śnieżnobiałą elewację swojego domu, tylko się zaśmiał. „Jaki ojciec, taka córka. Za robotę się weź i sam pan kup dzieciakowi lalkę” – rzucił od niechcienia przez ramię i zamknął drzwi. Ojciec powtarzał, że nikt jego i jego córki poniżej nie będzie, kiedy niósł ją w upale szutrową drogą. Kilka dni później wracali fiatem z zakupów w Pisz. Łucja ścisnęła nowego różowego miśka, którego ojciec kupił jej w kiosku przy parkingu. Zawsze jeździli we dwójkę do takiego małego sklepiku, w którym na ladzie stały lizaki w kształcie serca. Skręcili w wąską drogę prowadzącą przez łąki. Wierzbicki jechał rowerem przez zagajnik, w którego cieniu pasły się jego krowy. To mogło być dwa kilometry od Kwietników. Robiło się już ciemno, większość gospodarzy tego dnia nie wyprowadziła zwierząt na wypas, bo od rana padało. Ojciec gwałtownie zatrzymał auto, upił spory łyk z piersiówki, kazał jej zostać w środku i wyjął coś z bagażnika. „Nikt nie ma prawa wzbudzać w tobie poczucia niższości, pamiętaj o tym, córeczko. Ludzi, którzy cię krzywdzą, trzeba eliminować zawczasu, dusić zło w zarodku, bo w przyszłości mogą stać się dla ciebie poważnym zagrożeniem. Zawsze obronię cię przed każdym niebezpieczeństwem, zanim w ogóle nadejdzie. Zawsze, bo jesteś najważniejsza” – powiedział. Wierzyła mu. Potem uchylił drzwi i zatarasował drogę nadjeżdżającemu rowerzyście. Wierzbickiemu. Po wszystkim kazał jej czekać przy drodze, a sam zapakował jego ciało i zielony rower do bagażnika. Cienkie koła wystawały spod uchylonej klapy. Siedziała w rowie wijącym się wzdłuż drogi i czekała na ojca. Wrócił, zanim zapadł zmrok. Przytuliła się do niego mocno, a on pogłaskał ją po głowie. „Nie mów mamie, to będzie nasza tajemnica, tylko moja i tylko twoja. Zawsze będę cię chronił bez względu na wszystko. Pamiętaj o tym” – wyszeptał i pocałował ją w czoło. Był wtedy dla niej bohaterem.

- Przykro mi - wyszeptała po chwili.

- Przykro? Dobre sobie - prychnął.

Wiatr rozgonił chmury, obnażając księżyc. Jego łagodne światło spłynęło na wychudzoną twarz Wojtka.

- Mógłbym cię teraz udusić i zostawić tutaj - zaśmiał się cicho. - Ale nie, nie martw się, ja taki nie jestem. Nie jestem potworem. Spaliłem tę waszą rudę, podręczyłem cię lalkami, włamałem się do twojego pokoju, podrzuciłem stokrotkę, żeby ci uświadomić, że nie da się odciąć od przeszłości. Porobiłem kilka zdjęć w ukryciu. Postraszyłem, może podarowałem ci kilka bezsennych nocy. Wystarczy. Powiedzmy, że spłaciłaś dług swojego ojca. Przynajmniej przez kilka tygodni miałaś okazję się przekonać, jak to jest żyć w strachu. Jak to jest egzystować, jeść i oddychać, kiedy przerażenie zaciska ci gardło. Poznać mój świat. Mogłem cię zabić tysiące razy, ale ja taki nie jestem. Nie jestem zwyrolem, jak twój ojciec.

Łucja poczuła rozczarowanie. Wojtek nie był lalkarzem, tylko zaburzonym emocjonalnie desperatem, który chciał ją przestraszyć. To wszystko. Znał starannie skrywaną przez lata tajemnicę, ale w tej chwili straciło to na znaczeniu. Przeszłość była nieważna. Ważne było jedynie to, by odnaleźć Monikę, a Łucja nadal nie miała pojęcia, gdzie ona jest i gdzie jest prawdziwy morderca.

- Twój stary zabił nie tylko Wierzbickiego, prawda? W studni znaleźli zwłoki jakiejś kobiety. Mój pożar nawet się do czegoś przydał.

Nie odpowiedziała. Mimo to Wojtek mówił dalej.

- Za każdym razem, jak robiłem tę lalkę na twoją podobiznę, żeby podszyć się pod tego psychola z gazet, w ostatniej chwili odklejałem guziki, które miały imitować oczy. Wiesz dlaczego? Bo jakaś wewnętrzna część mnie chciała wierzyć, że dzięki temu oślepniesz. Skoro patrzyłaś na to wszystko, co wyprawiał twój stary, i dalej zachowujesz się, jak gdyby nigdy nic, to może byłoby lepiej, gdybyś była niewidoma. Wtedy świat byłby lepszy i bardziej sprawiedliwy. Popieprzona myśl, co?

Poczuła, jak ze strachu zwęża się jej gardło. Może Wojtek nie był lalkarzem, ale nie zmieniało to faktu, że był szalony. Powoli wciągnęła powietrze do płuc.

- Jest jeszcze coś. Tak, żebyśmy byli zupełnie kwita. Podobno twoja matka popełniła samobójstwo, tak? Gdzieś nad ich głowami rozległo się pohukiwanie sowy.

- Nie zastanawiałaś się nigdy nad tym, że może było inaczej? Może to twój ojciec ją zabił? A może ty to nawet wiesz? Jeśli tak, życie z tą myślą jest znacznie lepszą pokutą dla ciebie niż moje słomiane straszysła.

Zabrakło jej tchu. Miała wrażenie, że się dusi. Przypomniała sobie płacz matki, który niósł się w nocy po domu. I zimny głos ojca: „Jeśli nie umiesz jej kochać, lepiej, żeby cię wcale nie było. Daj nam żyć w spokoju, po prostu zniknij raz na zawsze”.

## ROZDZIAŁ 18

– Zastrany śmieciu, oddawaj to! – Sylwek ruszył w kierunku zaśmiewającego się Arka. Jego słowa wsiąknęły w gwar. Szkolny korytarz tętnił codziennym życiem.

– Wyluzuj, może inni też chcą popatrzeć. – Arek wskoczył na parapet i podniósł fotografię.

Gwar przemienił się w szum.

– Powiedziałem: oddaj!

– A od kiedy ty tu stawiasz warunki, leszczu? Chyba coś ci się pomyliło.

– Oddaj to zdjęcie! – Chłopak zacisnął pięści i zbliżył się do parapetu.

Wokół nich zbierał się coraz większy tłum gapiów. Dźwięk dzwonka odbił się od pomalowanych farbą olejną ścian. Niektórzy niechętnie powlekli się pod sale, inni nie ruszyli się z miejsca, obserwując Arka. Sylwek doskoczył do niego i ścisnął go za łydkę.

– Złaź, skurwielu, i oddaj to zdjęcie! Nie należy do ciebie.

– A od kiedy ty się tak cudzą własnością przejmujesz? Jak wynosiliśmy kosiarkę i hulajnogę od Zborowskich, jakoś nie bardzo się poczuwałeś, że to nie twoje.

– Zamknij pysk!

– A co, zrobisz w gacie ze strachu?

Rudowłosa dziewczynka przecisnęła się przez tłum nastolatków. Stała z tyłu tak, żeby kuzyn jej nie zauważył.

– Dawaj!

– To tylko zdjęcie, na którym jesteś zasmarkanym gówniakiem z futkiem na wierzchu. Nie moja wina, że matka ci kąpielówek nie kupiła! – ryknął ze śmiechem Arek.

– Oddaj to zdjęcie, jebany morderco!

Szum wokół nich gwałtownie ucichł.

Arek zeskoczył z parapetu. Skóra na twarzy mu się napięła i nabrała bladego odcienia.

– Co ty powiedziałeś, gnoju?

Sylwek się wyprostował.

– To, co słyszałeś, złamasie. Jesteś mordercą. To ty zamknąłeś Adriana w kaplicy. Ty go zabiłeś, a nie ta zawszona małolata.

Łucja poczuła, jak nagle wszyscy przenieśli wzrok na nią. W dziecięcej głowie kołatały się natrętne myśli. Nie będzie musiała spotykać się z tyczkowatą, pomarszczoną kuratorką. Nie pójdzie do sądu ani do poprawczaka. Poczowała ulgę, którą po chwili wyparł strach. Spojrzała na Arka. W jego oczach czaiło się coś przerażającego.

Dni nie miały początku ani końca. Zlewały się w ciąg płytkich wdechów. Marzec minął nagle, zanim zdążyła zauważyć, że w ogóle się zaczął. Później przyszedł szary i długi kwiecień. Oficjalnie Monika wciąż była traktowana jako zaginiona. Łucja kilka razy minęła jej męża przy furtce. Jego puste spojrzenie sugerowało, że już wiedział, że ona nie wróci. Każdego dnia przed wyjściem z domu włączała komputer, odpalała profil w mediach społecznościowych Katarzyny Wierzbickiej i przez kilka minut scrollowała jej walla. Były tam wciąż te same posty, które codziennie czytała od początku: apele o pomoc w poszukiwaniu ojca. Im częściej powtarzała ten masochistyczny rytuał, tym bardziej pragnęła odnaleźć Monikę. Jakby zwrócenie ciała jej i dziecka, które powinno już przyjść na świat, miało być formą pokuty za skrywaną



przez lata tajemnicę. Spotkanie z Wojtkiem otworzyło zasklepioną dawniej ranę i nic nie mogła z tym zrobić. W dodatku wciąż miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Coraz częściej budziła się w środku nocy zлана potem, pewna, że za oknem widzi zarys czyjejs sylwetki.

Czternastego kwietnia Łucja jechała powoli wzdłuż lasu, kiedy Muniek Staszczuk śpiewający w Radiu Olsztyn o pieprzonym Żoliborzu niespodziewanie ucichł. Ciepły męski głos podał informację z ostatniej chwili, że znany terapeuta z Biskupca Dariusz M. został znaleziony martwy w gabinecie ośrodka uzależnień. „Wszystkie osoby, które mogą mieć informacje o jego śmierci, proszone są o kontakt z policją”.

„Czekam w palarni” – napisała do Rity, kiedy zaparkowała pod wydziałem.

– Słyszałaś? – rzuciła, kiedy tylko ta pojawiła się w polu jej widzenia. – Darek nie żyje, kurwa. Lalkarz go załatwił, rozumiesz? – Wyjęła drżącymi rękami paczkę papierosów z kurtki.

– Ciszej, bo ludzie usłyszą. – Rita złapała ją za rękaw i zaciągnęła na tyły budynku. – I nikt go nie zabił, uspokój się. Sam ze sobą skończył. Powiesił się na karniszu w gabinecie.

– Widziałaś się dzisiaj z Damianem?

– To news z wczoraj. Ale tak, widzieliśmy się rano, a właściwie w nocy. – Policzki pod cienką warstwą pudru oblały się rumieńcem.

– Nie wyglądał na samobójcę – mruknęła Łucja, a Rita wzruszyła ramionami.

– Może zżarły go wyrzuty sumienia. Pewnie wiedział znacznie więcej o lalkarzu, niż twierdził. Pewnie nawet wiedział, kto nim jest, ale zaszary dziad nie raczył pomóc. Tchórzliwy gnojek wolał ze sobą skończyć. – Ostatnie słowo zlało się z dźwiękiem powiadomienia.

W myślach Łucja przyznała jej rację. Przez chwilę miała ochotę powiedzieć, że widziała się z nim po zaginięciu Moniki, podzielić się informacją, że najprawdopodobniej ona też brała udział w warsztatach, ale rozmyśliła się, patrząc na uśmiechającą się do wyświetlacza telefonu Ritę.

– Przepraszam – zachichotała koleżanka. – Czasami boję się otworzyć SMS-a, bo Damian potrafi pisać takie rzeczy, że normalnie się wstydzę.

Łucja przewróciła oczami. Jakim cudem ta rezolutna laska, która wiedziała, czego chce, zamieniała się przy tym swoim Damianie w bezmózgiego stwora?

– Jakieś postępy w mojej sprawie? – zapytała, zmieniając szybko temat.

Rita wyjęła elektronicznego papierosa i zapalniczkę.

– Kurde, jakoś nie mogę się przestawić, że nie potrzebuję już ognia – zaśmiała się, chowając zapalniczkę do kieszeni. – Chyba utknęli, jak ze wszystkim. Te nowe władze zupełnie nie radzą sobie nawet z prostymi sprawami. Jest ciało, nie ma winnego, kobieta nie pasuje do profilu żadnej z zaginionych, jej DNA nie ma w bazie. Teraz szukają podpalacza, sądzą, że to on jest zabójcą, a podpalenie było formą przyznania się do winy. Czujesz tę logikę? Pewnie za chwilę dadzą sobie spokój. No chyba że Archiwum X się za to weźmie.

Archiwum X? Łucja poczuła na plecach strużkę zimnego potu.

– A lalkarz?

– No co chcesz? Przecież oni swojego lalkarza złapali. – Rita roześmiała się ponuro.

– Wciąż nie mają Moniki.

– No i to jest koronny dowód na to, że nie stoi za tym lalkarz, bo on ciała swoich ofiar celowo porzucał dla, cytuję, podkreślenia majestatu zbrodni.

– Kiedy proces?

– Pewnie za kilka miesięcy, jeśli do tego czasu nic się nie odjedzie. Chociaż pewnie nawet jak się odjedzie, to i tak znajdą wytłumaczenie. Wiesz co, ja już się w to nie wczuwam, bo musiałabym rzucić tę robotę i iść zamiatać ulice.

– Jeśli ona żyje, to już urodziła... – Łucja zmrużyła oczy, wpatrując się w pustą przestrzeń między budynkami.

- Nie sędzę, żeby żyła. Ani ona, ani dziecko, taka jest smutna prawda - powiedziała Rita, zaciągając się dymem z elektronicznego papierosa. Niebieska dioda zapulsowała trzy razy. - To mango jest całkiem pyszne. Chcesz spróbować?

- Dzięki, jakoś nie lubię trzymać w ustach plastiku. Nie przekonuje mnie idea palenia bez palenia. Zresztą muszę już iść.

Rita spojrzała na nią zaskoczona.

- Przecież zaraz jest wejściówka z etyki.

- Mam coś do załatwienia. - Wrzuciła peta do popielniczki i popędziła schodami w stronę parkingu.

Wróciła do domu i odpaliła komputer. Skoro Darek rzeczywiście się zabił lub ktoś mu w tym pomógł, to lalkarz musiał być uczestnikiem jego warsztatów. Nie było innej opcji. Musiała działać.

## ROZDZIAŁ 19

Tydzień później zaparkowała golfa na Jarotach. Poprawiła džinsową sukienkę i weszła do bloku oznaczonego numerem 6 przy ulicy Kubusia Puchatka.

– Louise – mruknęła do domofonu.

Drzwi szczęknęły. Trzy schody w górę, parter, siedem schodów w górę, pierwsze piętro. Na klatce unosił się zapach gotowanego obiadu. Kolejne sześć stopni i była na drugim piętrze. Białe drzwi z przyklejonym numerem 12 otworzyły się, zanim nacisnęła dzwonek. Stał w nich przysadzisty rudzielec z długą brodą. Przypominał jej trochę krasnoluda z jakiejś starej ludowej baśni. Na profilowym miał przynajmniej dziesięć kilogramów mniej.

– Wejdz.

Rozejrzała się. Mieszkanie było skromnie urządzone. Białe, puste ściany bez obrazków czy ozdób i jasne płytki na podłodze. Bez zbędnych rozmów pozwoliła zdjąć z siebie sukienkę, później stanik i majtki.

– Lubisz po francusku? – zapytał, rozpinając spodnie.

– Nie – odpowiedziała zdecydowanie, całując go po wytatuowanym torsie.

Po wszystkim, kiedy poszedł pod prysznic, szybko przejrzała zawartość jego szafek. Nie znalazła nic niepokojącego. Kiedy wrócił owinięty w sam ręcznik, wyjęła z torebki butelkę.

– Może napijemy się wina? – zapytała.

– Wieczorem mam kilka grafik do zrobienia.

– To chociaż kieliszek, nie daj się prosić.

Kilkanaście minut później wsypała mu do kieliszka precyzyjnie odmierzoną dawkę zolpidemu.

– Jeszcze chwilę poleżmy, zanim będziesz kazał mi wyjść? – uśmiechnęła się przymilnie.

– Nie miałem zamiaru cię wypraszać. – Objął ją szerokim ramieniem i opadł ciężko na sosnowe łóżko.

Kiedy zasnął, bawiąc się rudymi kosmykami jej włosów, ostrożnie wysunęła się z uścisku. Podniosła telefon z szafki nocnej. Blokada na odcisk linii papilarnych. Odetchnęła z ulgą. Ostrożnie podniosła jego palec i przejechała po ekranie telefonu. Przejrzała szybko ostatnie SMS-y i wiadomości z Messengera. Wpisywała różne kompilacje haseł zawierających słowo „lalkarz”, przeszukując konwersacje z najczęstszymi rozmówcami. Żadnych tropów poza krótką wymianą newsów zasłyszanych w lokalnej stacji z jakąś dziewczyną zapisaną jako Moje Bejbe Słodkie. Odłożyła telefon na miejsce i ubrała się pośpiesznie. Zapaliła papierosa, cicho zamykając za sobą drzwi.

To było czwarte takie spotkanie. Dwa z nich skończyły się seksem, pozostałe nieśmiałoymi pieścizotami i wspólnie zjedzonym kebabem. Wszystko zależało od tego, na ile w danym momencie chciała sobie pozwolić. Wmawiała sobie, że nad tym panuje, że robi tylko to, czego chce, choć po każdym takim razie piekło ją całe ciało. Podczas spotkania zwykle przeglądała szafki, telefon, raz udało jej się zajrzeć do otwartego komputera. W czytanych pośpiesznie rozmowach nie znalazła jednak dotąd choćby śladu lalkarza czy terapii konfiguracji. Czuli się, jakby ktoś odebrał jej wzrok, a ona po omacku musiała dotrzeć do bezpiecznego punktu. Pozostało jeszcze kilkaset prób. Kilkaset razy, przed którymi będzie miała nadzieję. Po których będzie czuła wstyd i obrzydzenie. Post odnaleziony przez Ritę polubiło ponad czterystu użytkowników. Wystarczyło wśród nich wyszukać singli z okolic Olsztyna, później zagadać, podtrzymać rozmowę, poplirtować, umówić się na spotkanie. To wszystko. Łucja zdawała sobie sprawę, że to działanie dalekie jest od metodycznego szukania. Przypominało raczej desperacką i autoagresywną

próbę zagłuszenia wyrzutów sumienia, przynajmniej jednak pozwalało jej pozostawać w ruchu, podsycając fałszywe wrażenie, że ma nad czymś kontrolę.

– To ona będzie nadal z wami mieszkać? – piskliwy głos Andrychowskiej spod piątki niósł się po kuchni. – Arek przez nią w więzieniu siedzi, a ty chcesz ją niańczyć, jakby się nic nie stało?

– Sama już nie wiem. Najchętniej bym się tego pasożyta pozbyła, sama wiesz najlepiej. Nawet proboszcz mówi, że nie powinnam już takiego ciężaru sobie na głowę brać, że niektórym pomóc się nie da.

– No sama widzisz, nawet ksiądz cię zwalnia z obowiązku opiekowania się tym dziewczyskiem.

Ciotka Teresa westchnęła ciężko. Łucja stanęła na palcach, jakby to miało sprawić, że nie uroni ani słowa z dalszej rozmowy.

– Ale rozumiesz, ja dla niej jestem rodziną zastępczą, a jako rodzina zastępcza dostaję niemałą zapomogę na utrzymanie. – Ciotka na chwilę urwała. – Bartka wykształcić trzeba będzie, on zawsze bardziej uczony, niż Arek był. Skąd na to brać, a tutaj jednak jakieś pieniądze są.

– Ano chyba że tak. Dla pieniędzy warto się pomęczyć, ale ja to bym jej tak życie uprzykrzyła, że by zapomniała, jak się nazywa. Żeby kuzyna do więzienia posłać... Własnej winy się wyprzeć i innymi się zasłaniać... Oburzające!

Ciotka westchnęła.

– Daj spokój. Żeby to chociaż był poprawczak, a nie normalne więzienie... Ale sądzili go jak dorosłego, mimo że on przecież ledwo co piętnaście lat skończył.

– Biedny chłopak, jak on sobie tam poradzi z przestępcami, co tam pozamykani z nim siedzą. Pewnie jacyś mordercy albo jeszcze gorsi wykolejeńcy.

– Na szczęście on zawsze zaradny był, to i pewnie poradzić sobie poradzi. Bardziej się martwię, co później z nim będzie. Ludzie takie rzeczy na wsi gadają, że włos się na głowie jeży. Gdybym miała trochę więcej pieniędzy, wyjechałabym najdalej, jak się da. Ale kto by mi taką rudere jak ta nasza kupił.

– A dom Muzyków? – podsunęła Andrychowska. – Przecież stoi i niszczeje. Może gdybyś tę małą diablicę namówiła, żeby go sprzedała, trochę by się uzbierało.

– Nie – odpowiedziała stanowczo ciotka Teresa. – Tam zło się czai, co popchnęło do samobójstwa głupią, ale nieszczęsną Bożenę, a później mój brat się tam zapił. Kiedyś sama wieczorem tam byłam, to jęki i kroki słyszałam. Nawet nie chcę się tam zbliżyć. A co dopiero sprzedawać. Jeszcze lichy by się znowu obudziło.

– Ano słyszałam pogłoski, że chałupa jest nawiedzona. Nawet bezdomne koty nie chcą tam urzędować. Lokalne pijaczki też omijają ten adres.

– Sama widzisz. Lepiej nie kusić losu. Wyjścia nie ma, trzeba będzie w Kwietnikach zostać. Mam nadzieję, że Arek jakoś sobie poradzi sam gdzieś tam w świecie, jak już wyjdzie na wolność. Pieniądzy trochę odłożyłam z zapomogi, to go jakoś wesprę.

Łucja usłyszała kroki na korytarzu. Oskoczyła od ściany i pobiegła do swojego łóżka. Bartek minął ją, nawet nie spoglądając w jej stronę, jakby była elementem wyposażenia wnętrza.

Odetchnęła.

Z wysiłkiem taszczyła po schodach karton wypełniony po brzegi rukolą, pomidorami, mąką i mozzarellą.

– Pani Łucjo, dzień dobry – ćwierknęła jej do ucha dyrektorka. – A co pani dzisiaj tak wcześnie? Zajęcia chyba za dwie godziny dopiero się zaczynają.

– Chciałam wszystko przygotować. Dopiąć na ostatni guzik – wysapała.

- A to nawet dobrze się składa, że jest pani wcześniej, bo chciałam z panią porozmawiać - oznajmiła dyrektorka niższym głosem i spojrzała na zegarek oplatający jej gruby nadgarstek. - Za pół godziny w moim gabinecie?

- Oczywiście. - Rzuciła karton przed drzwiami.

- Dużo ma pani tego jeszcze w aucie?

- Dwa kartony. Z mąką, oliwą i bezalkoholowym prosecco.

Dyrektorka spojrzała na nią badawczo.

- Jakaś okazja?

- Nie, ale ostatnio kilka zajęć nam przepadło, to chciałam się trochę zrehabilitować.

- No właśnie, przepadło - mruknęła kobieta z przekąsem. - Niech pani sobie kogoś do pomocy zorganizuje, bo plecy zaraz pani posłuszeństwa odmówią.

- Może znajdę gdzieś pana Staszka.

- Teraz mają angielski, więc może lepiej nie przeszkadzać. Zaraz konserwatora przyślę.

- Dziękuję.

Westchnęła. Nie była tu od trzech tygodni. Przez ten czas w ogóle nie wychodziła z domu. Nie myła się, nie czesała włosów, raz na dwa dni zamawiała coś do jedzenia. Zwykle pizzę lub kebab jadła na kilka podejść, walcząc z odruchem wymiotnym. Wczoraj pierwszy raz od kilku dni powlokła się pod prysznic. Postanowiła wrócić do życia, chociaż jej ciało chciało wciąż pozostawać w bezruchu.

Pół godziny później zeszła do gabinetu dyrektorki. Po korytarzu kręciło się kilka nieznanych jej osób. Szczupła kobieta o pociągłej twarzy w pogniecionym garniturze rozmawiała przez telefon, niższa i bardziej krępa brunetka wyglądała przez okno, jakby na kogoś czekała. Łucja przemknęła obok niezauważona. Zapukała delikatnie i nie czekając na odpowiedź, nacisnęła klamkę.

Dyrektorka stała przy oknie. Czerwone krótkie paznokcie błyszczały w słońcu wlewającym się do pomieszczenia przez zakurzone okno. Przy biurku siedział mężczyzna, który na pierwszy rzut oka wydał jej się znajomy. Zaczęła nerwowo przewijać w głowie klatki, próbując dopasować pulchną twarz oraz tłustawe czarne włosy do konkretnych osób i miejsc. Olsniło ją dopiero, gdy odwrócił się w jej stronę.

- Przepraszam. Nie wiedziałam, że jest pani zajęta - powiedziała szybko do dyrektorki, która patrzyła na nią pytająco. - Dzień dobry profesorze - dodała.

- Ależ nie ma za co przeproszać. - Raczkowski mrugnął do niej przyjaźnie, jakby byli dobrymi znajomymi. - Ja i tak powinienem się już zbierać. - Spojrzał na zegarek. - Za chwilę zaczynam wykłady. Pani dyrektor, będę wdzięczny za znak, gdyby był jakiś postęp w naszej sprawie. Dziękuję za poświęcony czas.

Zgarnął skórzaną szaszetkę z drewnianego krzesła.

- Mam nadzieję, że już pani wyzdrowiała, bo sesja letnia zbliża się nieuchronnie - rzucił w stronę Łucji, wychodząc.

Poczuła, jak zapiekły ją ze wstydu policzki.

- Syn pani Wandy jest wykładowcą? - zagadnęła od niechcienia dyrektorka, siadając za biurkiem.

- Tak, tak. Niedawno zdawałam u niego egzamin ustny - mruknęła Łucja, zastanawiając się, o czym będą rozmawiać. - To syn pani Wandy? - zapytała po chwili, jakby dopiero teraz dotarł do niej sens zasłyszanych słów. - Pani Wanda do nas wraca?

- A gdzież tam. - Kobieta machnęła dłonią ozdobioną złotymi pierścionkami. - Coraz z nią gorzej. Syn mówił, że już całkowicie straciła kontakt z rzeczywistością, ale w jakimś irracjonalnym szale przypomniała sobie o różańcu, który ostatni raz podobno miała właśnie w naszej świetlicy. Uparła się, żeby go odzyskać, a że pan Raczkowski sam się nią zajmuje, to i sam musi się z nią... - W ostatniej chwili powstrzymała się przed dodaniem słowa „użerać”. - W każdym razie pytał, czy gdzieś go nie widzieliśmy. W szafce pani Wandy nie ma, ale może pani rzucić się gdzieś w oczy? Różowe koraliki, charakterystyczny

różany zapach. Podobno przywiozła go z Rzymu, więc zajmuje szczególne miejsce w jej szwankującej pamięci, a w takiej sytuacji każde wspomnienie warto ocalić. Widziała go pani?

– Niestety nie.

Łucja przypomniała sobie, jak pani Wanda nazywała ją Zosią, swoją synową. Ale skoro Raczkowski sam zajmuje się matką, ta dziewczyna najwyraźniej była tylko efektem ubocznym zwapnień zachodzących w starczym mózgu.

– No dobrze, zaprosiłam tu panią, żeby porozmawiać o powtarzających się nieobecnościach. – Kobieta chrząknęła. – Jako osoba zarządzająca tym przybytkiem nie mogę pozwolić na to, żeby bez uprzedzenia nie pojawiała się pani na zajęciach. Nasi podopieczni to starsi ludzie, nie zasługują na tak lekceważącą postawę. Dlatego mimo mojej ogromnej sympatii do Moniki, która poleciła panią na to stanowisko... – Urwała nagle i zaszkliły jej się oczy na wspomnienie Moniki. – Cóż, jeśli przydarzy się pani jeszcze jedna absencja w ciągu najbliższych miesięcy, będę zmuszona panią zwolnić.

Łucja wciągnęła ciężko powietrze wymieszane z kwiatowym zapachem odświeżacza.

Kiedy wychodziła ze świetlicy, zapadał zmrok. Przez chłodne masy powietrza przebijały się pierwsze ciepłe podmuchy wiosny. Zapaliła papierosa, opierając się o drzwi golfa. Pomyślała o Raczkowskim. A może skoro sam zajmował się matką, to dlatego, że jego żona już nie żyła? Może historia wyłaniająca się spod pozornie bezsensownych słów, wypowiedzianych przez panią Wandę, była jednak opowieścią o życiu Raczkowskiego. Jeśli tak, to Łucja mu współczuła. Tylko czy gdyby ktoś poznał historię jej życia, również by jej współczuł? A może wręcz przeciwnie? Może uznałby ją za winną tego całego zła, które wokół niej się wydarzyło. Czy była też winna śmierci dziewczyny wzywającej pomocy w lesie? Tej kobiety ze wschodnim akcentem, której ciało znaleziono w przydomowej studni? Swojej matki? Wierzbickiego, którego ojciec zatłukł na jej oczach?

Pokiwała przecząco głową. Nie, wina nie istnieje. Życie jest tylko splotem wyborów. Żadne nie są ani złe, ani dobre. Po prostu niektóre z nich lepiej wpisują się w sposób postrzegania świata przez daną osobę. Przez chwilę miała wrażenie, że czuje na sobie czyjś wzrok. Rozejrzała się. Nie, nikogo tu nie było. Zawsze była tylko sama.

– Wina nie istnieje. To wyłącznie wymysł ludzi, którzy chcieli mieć wpływ na innych. Wszystko zależy od punktu odniesienia – mruknęła do siebie i rzuciła peta na chodnik.

Ruszając spod świetlicy, pomyślała o Tomaszu. Przez ułamek sekundy pożałowała, że on nie może być jej punktem odniesienia.

– Klucze jeszcze oddaj, co byś ze sobą nie zabrała. – Ciotka Teresa patrzyła na nią podejrzliwie, kiedy ta wyszła do przedpokoju z niewielką torbą podróżną, kupioną kilka dni wcześniej w lumpeksie.

Łucja wyjęła z kieszeni spranych dżinsów zardzewiały klucz i położyła na przykrytym poźółką ceratą stoliku tuż przy drzwiach.

– To wszystko? Tyle masz do powiedzenia? Za te wszystkie lata opieki nawet „dziękuję” nie usłyszę?

Napięła boleśnie wszystkie mięśnie. Nie odpowiedziała.

– Taka to jest właśnie wdzięczność. Mój rodzony syn przez ciebie musiał za granicę uciekać do pracy, bo ludzie mu żyć nie dawali. Drugiego na stracenie do więzienia posłałaś, a teraz wyprowadzasz się bez słowa od razu z samego rana w dzień swoich osiemnastych urodzin. Naprawdę aż serce człowieka boli.

Poczuła, jak gwałtownie wzrasta jej ciśnienie krwi. Tętnica na skroni miarowo pulsowała.

– Twój synalek wyprowadził się za granicę, bo musi zapierdalać na szmacie, żeby przesyłać ci kasę, bo jesteś zbyt leniwa, żeby wziąć się za jakąś robotę, a z hodowania tych pięciu kur na krzyż nie wyżyjesz. A drugi zawsze był wykolejńcem, ale po kilku latach w więzieniu stoczył się na samo dno. Więc nie wmawiaj mi, że to jest moja wina.

- Ty kurwo - syknęła kobieta, zaciskając pięści. - Już dawno powinnam się ciebie pozbyć.

- Może i tak, ale co byś biedna zrobiła bez mojej zapomogi - zadrwiła Łucja. - Zresztą niedługo się okaże.

- Chora krew, taka sama jak twojego ojca popapranego! Zresztą matka lepsza nie była. Ale wiesz co, jaka by ona nie była, trzeba być zwyrodnialcem, żeby własnej żonie kazać się zabić. I to przez ciebie. Przez ciebie jej się zabić kazał. - W szarych oczach ciotki Teresy pojawił się błysk satysfakcji, jakby spodziewała się, że te słowa ją zranią.

Łucja jednak tylko wzruszyła ramionami.

- I bardzo dobrze zrobił. Widocznie nie zasługiwała na to, by żyć - powiedziała, patrząc jej prosto w oczy.

Ciotka splunęła pod stopy bratanicy.

- A niech cię piekło pochłonie! I wiesz co, jestem pewna, że tak w końcu będzie. Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy, jak to mówią. Wróci do ciebie całe zło, które ty i twój ojciec wyrządziliście światu. Spłynie na ciebie jakieś... - zapowietrzyła się - ...fatum - wychrypiała. - Ono cały czas nad tobą wisi, ale w końcu cię dopadnie. Dopadnie cię. I tego ci właśnie życzę z całego serca...

Nie chciała tego słuchać. Wybiegła z domu, zatrzaskawszy obdrapane drzwi.

W pulsującą, rozgrzaną twarz uderzył ją chłodny podmuch. W zmechaconej torbie miała cztery pary majtek, dzinsy i dwa swetry. Plus portfel, w którym było trzysta dwanaście złotych uzbieranych u Bartkowskich na truskawkach. Skierowała się w stronę przystanku. Zimne powietrze zakłuło ją w płucach. Dobrze wiedziała, dokąd się wybiera. Autobus do Pizsa miała za piętnaście minut, później wystarczyło kupić bilet i wsiąść do pociągu relacji Pisz-Gdynia Główna. Zawsze marzyła o tym, żeby zobaczyć morze.

## ROZDZIAŁ 20

Kolejne tygodnie mijały tak szybko jak godziny. Wciąż nie mogła znaleźć w sobie siły, by pojawić się na uczelni. Rita w końcu przestała dzwonić i pisać SMS-y, jakby uznała, że czas, kiedy jej koleżanka miała szansę na powrót do starego trybu życia, minął. Łucja nie była w stanie zmusić się do jakiegokolwiek wysiłku intelektualnego, nie chciała też prowadzić bezcelowych rozmów w palarni. Woląa hibernować. Poza tym wciąż miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje, dlatego woląa nie ruszać się ze Świerczyn. To nie był Wojtek, on już odpuścił, najwyraźniej był ktoś jeszcze. W nocy czał się za oknem, za dnia śledził ją nawet w drodze do supermarketu – wszędzie czuła na sobie jego wzrok. Starąa się zagłuszyć strach, tłumacząc sobie, że w ten sposób mózg próbował wypełnić pustkę po osobach, które zniknęły z jej życia. Uzupełnić deficyt. A jednak pęcniął w niej jakiś niezidentyfikowany lęk. Dni stały się tak łudzaco do siebie podobne, że chwilami miała poczucie niestnienia. Nie potrafiła rozgraniczyć tego, co wydarzyło się naprawdę, od tego, co działo się wyłącznie w jej głowie. Całą energię poświęcała na kompulsywne przeglądanie Facebooka w poszukiwaniu kolejnego celu. Życie zawężyło się do rozmiarów ekranu komputera i kilku wyjść na przypadkowy seks. Żadne ze spotkań nie przybliżyło jej choćby o krok do lalkarza, a jednak dzięki nim mogła się łudzić, że ma do odegrania jakąś rolę w tej okrutnej maskaradzie. Przekonywała siebie, że to wszystko do czegoś prowadzi.

Kwietniowe słońce coraz śmieiej wlewało się do pokoju przez nieszczelnie zaciągnięte zasłony. Dochodziła dwunasta. Łucja odpałiła komputer, przejrzała walla Wierzbickiej, przeczytała aktualne wiadomości. Media od kilkunastu tygodni nie wspominały o lalkarzu. Podejrzany siedział w więzieniu, czekał na proces, dla świata sprawa została zamknięta. Monikę i jej nienarodzone dziecko porwał i najprawdopodobniej zabił fanatyczny naśladowca. Nie było nic do dodania.

Drgnęła, gdy rozległ się dźwięk powiadomienia. Tinder przypominał o konieczności aktualizacji. Pobrała nową wersję aplikacji, dla zabicia czasu przejrzała dostępnych facetów z okolicy. Odhaczyła kilku interesujących ją użytkowników. Miała jedną nową parę z Marcelem lat 52. Po chwili przyszła wiadomość. Przystojny brunet z błyskiem w oku. *Weterynarz, który wierzy, że jest w stanie zmienić niejednen zwierzęcy świat. Po godzinach domator i koneser wina* – przeczytała na jego profilu. Poczwała lekkie mrowienie w okolicach karku. Przypominał Tomasza. Po wymienieniu kilku kurtuazyjnych wiadomości umówiła się z nim na wieczór. Dawno nie była na spotkaniu, które nie miało być śledztwem, a przyjemnością. Poczwała, jak w każdym centymetrze jej uspionego ciała powoli budzi się życie. Zupełnie jakby odzyskiwała czucie po wielomiesięcznym paraliżu. Wzięła gorący prysznic, umalowała rzęsy, zamówiła pizzę, która nie stawała jej w gardle. Gdy przed dziewiętnastą wyszła z pokoju, w domu Moniki było ciemno. Od tygodni w oknach straszyl mrok. Na początku myślała, że jej mąż gdzieś wyjechał, żeby uciec przed wspomnieniami, ale po kilku dniach zauważyła, jak rano wypuszcza Karla. Najwyraźniej każdego wieczoru siedział pograżony w całkowitej ciemności. Odwróciła wzrok. Nie chciała o tym myśleć, nie dzisiaj. Miała mieć pierwszy od dawna przyjemny wieczór i dobry seks. Bez zadań specjalnych, bez przeglądania komunikatorów, czytania SMS-ów. Prądkowana beżowa sukienka wystawała spod ramoneski. Wieczór był chłodny. Wsiadła do golfa i pośpiesznie przekreśliła kluczyk. Błękit nieba całkiem już wyparła szarość. Wpisała adres w aplikację GPS. Spotkanie miało odbyć się w hotelu w Naterkach kilkanaście kilometrów od Giłwy. Jechała szybko drogą przecinającą ciemniejszy już las, w oddali widziała mknącą ekspresówką auta. Dociskała pedał gazu coraz mocniej, ale samochód mimo to stopniowo tracił prędkość. W końcu silnik zgasł. Na desce nie zaświeciła się żadna kontrolka, wskaźnik pokazywał ponad pół baku benzyny. W ostatniej chwili odruchowo zjechała na pobocze. Zapaliła latarkę i wysiadła. Na ciemnym



niebie pojawiały się pierwsze gwiazdy. Otworzyła maskę, chwilę popatrzyła na zwoje kabelków, plastikowe rurki i śrubki. Nie miała pojęcia, co w tej układance jest czym, więc pośpiesznie zatrzasnęła klapę. Próbowwała wybrać numer Damiana, ale krótki, przerywany sygnał skutecznie to uniemożliwił. Ikonka informująca o braku zasięgu pozbawiła ją złudzeń.

– Kurwa – syknęła.

Rozejrzała się wokół. W zasięgu wzroku nie było niczego poza drogą niknącą w ciemności. Wsiadła z powrotem i zapaliła papierosa. Włączyła światła awaryjne. Patrzyła bezmyślnie w pomazaną szybę, kiedy powoli minęła ją skoda octavia. Po chwili auto zawróciło i zatrzymało się naprzeciwko niej. Instynktownie spojrzała w lusterko wsteczne. Poza nią i kierowcą skody w promieniu kilku kilometrów nie było nikogo innego. Włożyła dłoń do torebki i zacisnęła na dezodorancie. Z auta stojącego maska w maskę z jej samochodem wysiadł mężczyzna. Kiedy podszedł do jej drzwi i zapukał w szybę, wstrzymała oddech. Odpaliła latarkę i nakierowała strumień światła na jego twarz. Pulchne policzki, tłuste ciemne włosy, okrągłe okulary. Odetchnęła i otworzyła drzwi.

– Dzień dobry, profesorze, z nieba mi pan spada. Samochód odmówił posłuszeństwa na tym odludziu – powiedziała, wysiadając niezgrabnie z auta. Zawstydzona obciągnęła krótką sukienkę, czując jego wzrok na swoich udach.

– Może nie od razu z nieba, tylko raczej z Waplewa. Byłem u znajomego, bo z grupą studentów chcemy zorganizować spływ kajakowy, a on ma wypożyczalnię, więc obiecałem, że postaram się po kosztach załatwić. Otworzy pani? – Puknął w maskę golfa, a potem pochylił się nad otwartą klapą. Po chwili ostentacyjnie otrzepał ręce.

– Na pierwszy rzut oka wszystko gra, ale raczej mechanik samochodowy ze mnie żaden. Mogę? – Wskazał podbródkiem na miejsce kierowcy.

– Jasne. – Podała mu kluczyki.

Kiedy wsiadł do auta i bezskutecznie próbował uruchomić silnik, paliła papierosa oparta o maskę. Podał się po kilku minutach.

– Chyba niestety nie pomogę – powiedział z rezygnacją. – Jedyne, co mogę zaproponować, to podwózkę.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła dwudziesta. Raczej Marcel nie czekał na nią przez godzinę w hotelowej restauracji.

– Jedzie pan do Olsztyna? – zapytała.

Gdzieś w oddali rozległ się pisk jakiegoś przerażonego zwierzęcia.

– Las – westchnął głęboko Raczkowski. – Uwielbiam słuchać przyrody. Ale odpowiadając na pani pytanie, tak, jadę do Olsztyna. Tylko jeszcze wędzonego węgorka od znajomej miałem w Nagładach odebrać. To nie będzie problem? No chyba że chce pani wezwać lawetę, to wyjedziemy tylko z lasu i pewnie będzie zasięg. Chociaż byłoby lepiej kogoś znajomego załatwić na spokojnie, bo taka laweta to raczej nie jest tania inwestycja.

– Poproszę o pomoc znajomego, ale nie jestem pewna, kiedy będzie mógł podjechać, więc chętnie zabiorę się z panem do Olsztyna.

– Jasne. Wyjmę tylko trójkąt z bagażnika, żeby tu ktoś przypadkiem nie staranował pani auta, a potem szybko zgarniam po drodze rybę i kierunek Olsztyn. Zapraszam. – Otworzył jej drzwi po stronie pasażera.

Jechali wolno. Za oknem przesuwwały się zarysy drzew, które w ciemności wyglądały jak cienie. Spoglądała co chwilę na telefon. Była tak przyzwyczajona do wirtualnego świata, że brak zasięgu i chwilowe odcięcie od internetu budziły w niej niepokój. Raczkowski nie włączył radia, słyszała wyłącznie ich miarowe oddechy.

– Węgorze to niesamowite ryby – powiedział zniechęcony, jakby cisza jednak zaczęła mu przeszkadzać i postanowił ją zagłuszyć. – Od lata do późnej jesieni podejmują wędrówkę do Morza Sargassowego na tarło. Nierzadko pokonują ponad sześć tysięcy kilometrów w jakieś półtora roku. I na całą taką podróż muszą im wystarczyć zapasy pokarmowe zgromadzone wcześniej.

– Yhm – mruknęła z grzeczności.

– Tarło odbywa się zwykle aż w okolicy Bermudów, ale nie to jest najciekawsze. Z tarłisk dorosłe osobniki już nigdy nie wracają do domu. Giną zaraz po wycieńczonej podróży. – Auto przyspieszyło, a Raczkowski dalej opowiadał, modulując głos, jakby snuł ciekawą opowieść. – Później ich larwy unoszone są przez morskie prądy w kierunku wybrzeży Europy. Taka podróż trwa jakieś dwa lata. Następnie wędrują w górę rzek, rosną i osiedlają się w mulistych jeziorach. Jeśli nie zostaną zjedzone, śladem swoich rodziców rozpoczynają wędrówkę na tarło, z której, podobnie jak oni, nigdy już nie wrócą. Smutne, a zarazem piękne, prawda?

– Owszem – mruknęła, opierając głowę o zimną szybę. – Skoro oddają życie za potomstwo, to może, rezygnując z ich jedzenia, nieco bardziej docenilibyśmy tę ofiarności? – wypaliła, cały czas spoglądając za okno.

– Tak pani myśli? Darowanie im życia tylko po to, by odbyły tę samą morderczą, a jednocześnie samobójczą podróż co ich przodkowie, byłoby aktem łaski?

– Przynajmniej dokonałoby się ich przeznaczenie.

Raczkowski skręcił w szutrową drogę wciśniętą między gęsto rosnące drzewa.

– Teraz trochę pokolysze, ale niestety innego dojazdu do siedliska nie ma. Podzielę się z panią rybnymi wspaniałościami, żeby wynagrodzić te niedogodności.

– Nie trzeba. Właściwie to pan robi mi przysługę. Zresztą teraz, jak już znam cykl życia węgorza, rybna wspaniałość raczej stanęłaby mi w gardle – dodała żartobliwie.

Raczkowski włączył długie światła. Dwa pomarańczowe pasy rozrzedziły smolistą czernią.

– Więc uważa pani, że warto wypełnić przeznaczenie, nawet jeśli na końcu drogi zamiast nagrody czeka śmierć?

– Śmierć w imię nowego życia.

– Brzmi szlachetnie. Ale w imię tej szlachetności nie odmówię sobie pysznego wędzonego węgorza. Przykro mi.

Droga była tak wąska, że gałęzie rosnących wzdłuż niej krzaków tarły o karoserię.

– Pytanie, gdzie kończy się szlachetność, a zaczyna zwykła biologia – mruknęła, wpatrując się w ikonkę informującą o braku zasięgu.

Raczkowski nagle zatrzymał auto. Łucja spojrzała na niego pytająco, bo wokół nie było widać niczego poza ciemną linią drzew.

– Muszę się napić – powiedział, sięgając po coś z tylnego siedzenia.

Zanim się zorientowała, co się dzieje, przytknął jej do twarzy szorstki ręcznik. Dusząco słodki zapach wlał się do jej nozdrzy. Próbowwała się szarpać, ale uścisk był silny. Poddała się po kilku sekundach albo minutach. Czas się zatrzymał, jakby ktoś nagle włączył pauzę. W jej głowie przewijały się obrazy, ale nie potrafiła odczytać ich sensu. Pozwoliła, by powieki powoli opadły. Dłoń Raczkowskiego coraz mocniej przyciskała ręcznik do jej twarzy. Dalej nie było nic poza czarną plamą wypierającą każdą myśl.

## ROZDZIAŁ 21

Obudziły ją gwałtowne mdłości. Żołądek zaciskał się rytmicznie, a ból promieniował aż do pleców. Połykała nerwowo ślinę, próbując powstrzymać wymioty. Jedynym źródłem światła była latarka wisząca na sznurku nad taboretem stojącym kilka metrów od niej. Próbowała wstać, ale coś ją powstrzymywało. Nie mogła też ruszyć rękami. Dopiero po chwili zorientowała się, że jest przywiązana do krzesła.

– Trochę pospałaś. – Spokojny głos w pierwszej chwili wydał się nierzeczywisty.

Raczkowski chwycił latarkę, kierując strumień światła prosto w jej oczy, i obraz się zamazał.

Nie musiał nic mówić. Już знаła odpowiedź na pytanie, które dręczyło ją od kilku miesięcy. To on był lalkarzem. Myśl, że nie zabił jej od razu, wywoływała w niej paniczny strach. Czy on też będzie ją dręczyć jak kiedyś Arek?

– Nie zakneblowałem cię, bo sądziłem, że będziesz chciała sobie ze mną uciąć pogawędkę, a tu cisza. – Przeciągnął taboret spod ściany i usiadł naprzeciwko niej. – No dalej, to twoja niepowtarzalna okazja. Pytaj, o co chcesz, wrzeszcz, wyzywaj mnie. Rób, co tylko ci przyjdzie do głowy, bo to może być jedna z nielicznych takich sposobności.

„Jebany skurwiel potrzebuje uwagi”, pomyślała, patrząc na niego z politowaniem.

– Myślałem, że każdy w tym mieście chce poznać lalkarza. Że stałem się jakiegoś rodzaju osobistością – zachichotał. – Chcesz? – Wyciągnął w jej stronę paczkę papierosów. – A wybacz, zapomniałem, że jesteś związana. Może innym razem – roześmiał się i zapalił.

Zapach dymu rozszedł się po pomieszczeniu. Łucja łapczywie wciągnęła powietrze, chociaż zdawała sobie sprawę z tego, że ta namiastka papierosa jej nie wystarczy. Chciała za wszelką cenę ukoić nerwy, a w tej sytuacji każdy sposób był dobry.

– Więc postanowiłaś, że będziesz milczeć? Szkoda. Byłem ciekaw, o co mnie zapytasz.

Wolała słuchać. Nie po to, żeby dać mu chorą satysfakcję. Wiedziała, że jeśli opowie teraz o swoich zbrodniach, zaraz potem będzie musiał się jej pozbyć, a ona chciała, żeby to, co nieuniknione, stało się jak najszybciej.

– Zostałaś niejako wybrana. I to nie przeze mnie, tylko przez moją starą, zdziwaczalą matkę. Wiem, to brzmi niedorzecznie, ale tak właśnie jest. Gdyby nie ta pocieszna staruszka z demencją, dalej byś sobie wiodła spokojne studenckie życie. No, może studenckie to już nie do końca, bo ostatnio nie po drodze ci było na uczelnię, ale bez złośliwości. Nie jesteśmy tu po to, żeby cię rozliczać z absencji – zaśmiał się, zakładając nogę na nogę.

Rozejrzała się dyskretnie. W delikatnej poświacie dostrzegła gołe betonowe ściany, pełne plam i wybroczyn wyglądających jak pleśń. Pomieszczenie było niewielkie, zimne i śmierdziało wilgocią. Musieli być w jakiejś piwnicy.

– Gdzie moja laleczka? – zapytała twardo.

Na chwilę twarz mu zastygła, a oczy błysnęły.

– Laleczka? Nie wygłupiaj się. To nie jest gadżet, który się należy z przydziału.

– Więc dlaczego tu jestem? – rzuciła. Chciała go sprowokować, przyspieszyć bieg wydarzeń.

– Jesteś jednak głupsza, niż myślałem. – Zgasił papierosa o nogę taboretu. – Straciłem ochotę na prowadzenie z tobą rozmowy. Koniec rundy. – Zgasił latarkę, a później zapadła głucha cisza.

Czerń nie miała kształtu, początku ani końca. Wszystko było czernią. Łucja zastanawiała się, czy tak wygląda śmierć. Czy trwa się w ciemności już na zawsze? Trudno było jej zrozumieć, czym właściwie jest „zawsze”. Przywykła do tego, że wszystko w jej życiu miało jakieś ramy, kontury, a teraz granice zupełnie się zatarły. Niespodziewanie pomyślała o Dinie. O jego życiu przy budzie. Ojciec nigdy nie pozwolił spuścić go z łańcucha nawet na moment. Powtarzał, że szybko się zbiesi. Pies nie wiedział, czym jest wolność, nie mógł więc za nią tęsknić. Umarł po cichu, sam. Po chwili dotarło do niej, że nie był sam, tylko z ojcem, który powiesił go na jutowym sznurze. Czy obecność kogoś, kogo Dino znał, sprawiła, że się z tym pogodził? Ręce, które do tej pory przynosiły mu resztki z obiadu, zacisnęły pętlę na jego chudej szyi. Czy to, że ręce nie należały do obcego człowieka, koilo, czy wzmagalo ból?

Zastanawiała się, czy umrze tu sama z głodu, czy Raczkowski przyjdzie i dokończy to, co zaczął. Modliła się o to, by przyszedł. Błagała w myślach ojca, by ocalił ją jeszcze ten jeden, ostatni raz. Nie przed śmiercią, ale przed czekaniem na nią.

W końcu piwniczną ciszę przerwał głuchy metaliczny dźwięk. Nie wiedziała, czy minęły dni, czy godziny. Osłepiający błysk światła raził w oczy. Raczkowski włożył jej do ust tabletkę i dał popić wodą z butelki. Znaczna część spłynęła jej po brodzie. Posłusznie połknęła pastylkę, mając nadzieję, że to trucizna.

– Bardzo dobrze. Za jakieś piętnaście minut będziesz na tyle grzeczna, że będę mógł cię rozwiązać. Postanowiłem cię tu jakoś urządzić. Tam masz toaletę. – Wskazał na metalowe wiaderko ustawione pod ścianą.

Jego słowa docierały do niej w zwolnionym tempie. Kiedy ją rozwiązał, nie miała siły podnieść się z krzesła. Upadła na twardy beton i przeczołgała się kilka centymetrów po podłodze. Dopiero teraz zauważyła, że w kącie piwnicy leży materac przykryty szmatami. Usłyszała głośny warkot. Raczkowski wiercił w ścianie. Przełożył coś przez dziury, po czym zarzucił jej na szyję łańcuch i przywiązał go do metalowego pręta.

– To dla naszego wspólnego poczucia bezpieczeństwa – szepnął jej do ucha.

Nie próbowała się szamotać ani krzyczeć. Całą energię zabierało jej oddychanie.

– Podano do stołu – powiedział kilkanaście minut później, stawiając przed nią słoik z ugotowanym ryżem. – Tylko nie wykaż się grzechem łakomstwa. Bądź jak węgorze. Mądrze spożytkuj zapasy – roześmiał się, wyłączył latarkę i zniknął w ciemności.

Wymacała zimny słoik i zaczęła wpychać sobie do ust półtwarde ziarna ryżu. Dopiero teraz poczuła, jaka jest głodna. Później popęzła w kierunku, w którym wcześniej widziała materac, zwinęła się w kłębek na cienkiej gąbce. Tabletki zaczynała działać, odbierając jej najpierw wzrok, a później myśli.

Czasami śniło jej się, że budzi się w swoim pokoju w Świerczynach. Wtedy dopiero kilkanaście sekund po obudzeniu docierało do niej, co się właściwie dzieje. Za każdym razem prawda bolała tak samo mocno. Nauczyła się liczyć czas według zjedzonych słoików ryżu i połkniętych tabletek. Metaliczny dźwięk otwieranej kłapy za każdym razem dawał jej nadzieję, że to będzie ten ostatni raz. Zawsze wyglądało tak samo: tabletki, kilka łyków wody, słoik ryżu, opróżnienie wiaderka. Nigdy nawet nie próbowała uciec – już samo przeczołganie się w kierunku jedzenia stanowiło nadludzki wysiłek. Przywykła do życia w smrodzie. Chciała tylko, żeby to wszystko się skończyło. Dużo się modliła, chociaż nigdy wcześniej tego nie robiła. Nie znała tekstu żadnej modlitwy, więc po prostu błagała w myślach o szybką śmierć. Czasami wzywała ojca, prosiła go o pomoc, a zaraz potem zapominała, kim jest i gdzie jest – aż do kolejnego przebłysku. W chwilach, kiedy działanie tabletek słabło, fantazjowała o tym, że przegryza sobie język, jednak strach przed dławieniem się własną krwią w ciemności był silniejszy niż chęć skończenia tej gehenny. Czasami ludziła się, że ktoś jej szuka, ale wiedziała, że to mało prawdopodobne. Przed zaginięciem tygodniami nie pojawiała się na uczelni. Rita z pewnością pomyślała, że po prostu wyjechała.

Mąż Moniki za bardzo był skupiony na własnym dramacie, by przejąć się tym, że jedna z lokatorek przepadła bez wieści. Może nawet nie zauważył, że na koncie brakuje kilku przelewów za czynsz. A może pozbył się jej rzeczy i wynajął już pokój komuś innemu, uznając, że uciekła bez rozliczenia. Nie było osoby, która odczułaby jej brak. W przeblyskach świadomości pomiędzy kolejnymi tabletkami zastanawiała się, czy w tym samym miejscu więził Monikę. Ile wytrzymała? Co stało się z jej dzieckiem? Te pytania rozplywały się jednak w czerni razem ze światem, który powoli przestawała pamiętać. Rysy twarzy niegdyś znanych jej osób zacierały się. Była bardziej sama niż kiedykolwiek.

Kłapa w suficie zatrzeszczała. Łucja nawet nie otworzyła oczu. Ból podniebienia promieniował aż do nosa. Od kilku, może kilkunastu albo kilkuset dni, sama już nie wiedziała, jak długo to trwało, czuła z ust zapach zgnilizny. Nie mogła gryźć, więc ziarna ryżu połykała w całości, żeby zaoszczędzić sobie cierpienia. Wszystko wskazywało na to, że zgniły jej zęby i dziąsła.

Błysk światła przedarł się przez zaciśnięte powieki, wywołując ból. Przywykła do zimna, wilgoci i ciemności.

– A co to za niegościnnosc? Nawet się ze mną nie przywitasz? – Głos Raczkowskiego odbił się od lodowatych ścian.

Ostrożnie rozwarła powieki. Tuż za pomarańczowym paskiem światła, boleśnie wdzierającym się do oczu, zobaczyła twarz Tomasza. Poczowała zapach duszących gorzkich perfum.

– Wstawaj. – Potrząsnął jej ramieniem i postawił na podłodze słoik wypełniony ryżem oraz butelkę wody. – To już ostatni raz – powiedział cicho. – Przyszedłem się pożegnać.

Tomasz znów zamienił się w pucołowatego bruneta.

Nie poruszyła się. Przesunął taboret, stawiając go kilka centymetrów od krawędzi materaca, i usiadł z ciężkim westchnieniem.

– Znamy się już dwa lata. Myślałem, że chociaż trochę zasmuci cię wieść, że wyjeżdżam. No, ale chyba mnie nie polubiłaś – zaśmiał się chrapliwie.

– Tabletki – wycharczała. – Gdzie tabletki?

– Nie, dzisiaj nie będzie tabletki. Chcę, żebyś była trzeźwa. Wiesz, cały ten czas, odkąd tu jesteś, zastanawiałem się, dlaczego moja matka cię z nią pomyliła. Jak to jest możliwe. Odkąd zachorowała na demencję, nigdy nie wspominała Zośki. Nigdy w nikiem jej nie zobaczyła... A przecież w tobie nie ma żadnej z jej cech. Ona była pełna życia, nigdy się nie poddawała. Nigdy. A ty leżysz tu z tym łańcuchem na szyi od piętnastu miesięcy i czekasz na to, co nieuniknione – powiedział z pogardą. – Bezwolnie jak mały szczeniak. Jakby na niczym ci nie zależało. I jedyne, o czym teraz myślisz, to tabletki, którą będziesz mogła się naćpać. Ale świat nie jest sprawiedliwy. Jej już nie ma, a ty nadal tu jesteś.

W jego głosie usłyszała złość, ale nie przejęła się tym, zbyt skupiona na bólu, który rozsadał jej czaszkę.

– Daj mi tabletkę – powtórzyła.

Przez moment wydawało jej się, że rozmawia z ojcem. Później miejsce ojca na taborecie zajął Arek. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, gdzie jest i kto przed nią siedzi.

Raczkowski zachowywał się, jakby jej nie słyszał.

– Przesiedziałaś, a właściwie przeleżałaś tu ponad rok. Chyba jesteśmy ze sobą na tyle blisko, że już czas opowiedzieć wszystko od początku, jak sądzisz? To będzie też prezent dla mnie samego, wiesz? Dawno z nikiem nie rozmawiałem o Zośce, a za każdym razem, kiedy mogę o niej mówić, jest trochę tak, jakby na chwilę znowu tu była. Staje się prawdziwa.

Z trudem podniosła się do pozycji siedzącej. Otworzyła szerzej uchylone dotąd powieki. Raczkowski z nonszalancją oparł lewą stopę o prawe kolano.

- Była beczelnie piękna. Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, pomyślałem, że nawet na mnie nie spojrzę. I miałem rację, ale zawalczyłem, bo zasługiwała na to jak nikt inny – westchnął. – Pewnie niewiele obchodzi cię kliwne wspomnienie naszego poznania, więc będę szarmancki i przejdę do sedna. Szybko wzięliśmy ślub. Staraliśmy się kilkanaście miesięcy o dziecko. W końcu się udało. Pamiętam, jak znalazłem test na umywalce. Chciała powiedzieć mi wieczorem przy kolacji, ale nie potrzebowałem żadnych bajerów. Oszalałem ze szczęścia. Tamtego dnia poszedłem pieszo osiem kilometrów na uczelnię. Był majowy, ciepły poranek, a ja dosłownie szybowałem nad koronami drzew ze szczęścia – uśmiechnął się.

Łucja słuchała go, kiwając się w przód i w tył. Wychudzona, z obgryzionymi do krwi paznokciami i długimi włosami wyglądała jak żywe truchło.

- Byliśmy dosłownie odurzeni radością. Snuliśmy plany na przyszłość, spijając sobie z ust każde słowo. Pod koniec października Zośka miała jechać na Kongres Bibliotekarzy do Poznania. Mieszkaliśmy wtedy w Łodzi, więc nie była to jakaś spektakularna odległość. Miałem ją zawieźć, ale tamtego dnia wypadła mi rozmowa kwalifikacyjna na stanowisko junior menadżera sprzedaży aktywnej w jakiejś idiotycznej ubezpieczalni. Uparła się, żebym poszedł, bo przecież czekały nas duże wydatki, a parząc kawę popołudniami w sieciówce, nie zarabiałem kokosów. Stypendium doktoranckie też nie było jakiegoś szczególnie wielkie.

Wyjął papierosa i zaczął rolować go w dłoniach. Łucja wciąż bujała się rytmicznie, błędząc wzrokiem po ścianach.

- No więc pojechała nocnym, żeby uniknąć tłumów w pociągu, bo zaczął się sezon grypowy, a ona panicznie bała się, że choroba zaszkodzi dziecku. Na miejscu miała być z samego rana. Hotel zarezerwowała tuż przy Głównym w Poznaniu, więc uznaliśmy, że to dobry plan. Miała podejść dosłownie kilka kroków.

Spojrzała na niego pustym wzrokiem.

- W tym pociągu jechało dwóch drobnych złodziejasków. Takich, co to portmonetki starszkom wyciągają na mszy. Zaczepili Zośkę, weszli do jej przedziału. Musieli ją śmiertelnie przestraszyć, bo przesiadła się z nimi do innego pociągu w Zduńskiej Woli. Widziałem na nagraniu z dworca, jak siedzi na peronie, dygocząc. Nawet nie pisnęła, nie zawołała. Była na tyle przerażona, że nie próbowała wzywać pomocy. Poszła za nimi jak w jakimś transie. Jak bardzo musiała się bać, co musieli jej zrobić, że nawet nie podjęła próby ucieczki? Posłusznie weszła do pociągu, a oni ją tam udusili...

Rackowski zapalił papierosa. Zapach dymu tytoniowego wymieszał się ze smrodem fekaliów i wonią wilgoci.

- Nad ranem wyrzucili ciało Zosi przez okno do Wisły w okolicy Otwocka. To trwało tyle godzin, tyle godzin, a mnie przy nich nie było. Ale wszystko naprawiłem. Udało się. – Rzucił niedopałek na ziemię.

Łucja przez moment miała ochotę po niego sięgnąć i chociaż przez chwilę zaciągnąć się resztką tego, co zostało w zmiętej owijce, ale nie miała siły podnieść się z materaca. Spojrzała na swoje nieruchome dłonie. Kości obciążone szorstką skórą.

- Nie pamiętam, co działo się później. Kolejne wspomnienie zapisane w mojej głowie pochodzi z sesji z Darkiem. Jakaś kobieta wciela się w Zośkę. Mówi dokładnie tak jak ona, używa tych samych zwrotów, w ten sam sposób zgarnia grzywkę z czoła. Stoję na środku obskurnej sali konferencyjnej i nie mogę w to uwierzyć. Później wracam z turnusu i chcę jeszcze raz ją zobaczyć. Nawet w takiej formie, zmienionej fizycznie. Jadę po raz drugi, znowu to samo. Trzeci turnus to ustawienie z udziałem Anieli. Ona była nawet podobna do Zośki. Wszystko przepracowaliśmy, odbyliśmy rozmowy, których wcześniej nie zdążyliśmy odbyć, i pożegnaliśmy się. I nagle to do mnie dotarło. Skoro one mówiły, chodziły i śmiały się dokładnie tak jak ona, to znaczy, że musiały razem z tymi przekłętymi lalkami Darka zagarnąć dla siebie kawałek jej duszy. Podszywały się pod nią, ukradły moją Zosię. Ta myśl stała się trucizną. Musiałem ją uwolnić. To ja

przyczyniłem się do tego, że stały się nią. Najpierw pozwoliłem jej umrzeć w samotności, a później dopuściłem do tego, by jakieś obmierzłe pizdy, które jej do pięt nie dorastały, podszywały się pod nią.

Jego głos nagle stał się chrapliwy.

- Długo o tym myślałem, szukałem rozwiązania. Nie chciałem zabijać, ale to była jedyna szansa. Szansa dla Zośki na wolność. Szansa dla mnie na odkupienie.

Zmusiła się, by unieść rękę. Dotknęła swojej twarzy. Przesunęła palcami po grudkach na policzkach. Wymacała włosy. Były krótkie, wystawały kilka milimetrów znad skóry. Ktoś musiał je obcinać. Nagle przypomniała sobie męskie palce zaplecione w rude kosmyki. Poczula niezidentyfikowane palące uczucie pod skórą w okolicy żołądka.

- Ale ty chcesz pewnie posłuchać, jak ginęły. Słusznie, to już czas, żeby oswoić śmierć. Zacznę więc od początku. Dobrze wiedziałem, że Leszczyńska będzie tamtego wieczoru biegała po lesie. Długo ją obserwowałem. Chciałem się upewnić, może dać jej szansę, ale ona wciąż w ten sam sposób co Zośka odgarniała włosy. Cały czas nosiła ją w sobie. Nie opierała się. Kiedy umierała, patrzyłem jej w oczy. To było tak, jakbym był tam wtedy z Zosią. W tym trudnym momencie nie była już sama. Uwolniłem ją, wszystko wróciło na swoje miejsce, cykl się domknął i na dowód tego zostawiłem laleczkę. Zośka już prawie była znów cała moja. Czuję, jakbym ją odzyskiwał. Musiałem jeszcze tylko wykonać kilka kroków, by zwrócono mi ją w całości.

Łucja miała wrażenie, że facet kręcący się na taborecie mówi w jakimś innym, nieznanym jej języku. Nie potrafiła przypisać sensu do zdań odbijających się echem w tej lodowatej piwnicy. Wyływały z jego ust bez końca, a ona nie chciała już słuchać.

- Napatoczył się jeszcze ten bezdomny. To była bezsensowna śmierć. Bezsensowna. - Raczkowski mówił coraz szybciej, wpatrując się w jeden punkt na szerniałej ścianie. - Mógł żyć, ale sam się prosił. To był jego wybór, że patrzył. Kiedy go zabijałem, poczułem się jak potwór, zwyrodnialec, taki sam jak ci z pociągu. Obiecałem sobie wtedy, że nie zdarzy się już żadna bezsensowna śmierć.

W uszach zabrzmiał jej szum lasu i tamten krzyk. Zamarła. Nie była w stanie się ruszyć. Spojrzała na siedzącego przed nią mężczyznę i nagle przypisała jego opowieść do czasu i miejsca. Lalkarz. To on był lalkarzem.

- Kiedy już przestała oddychać, trochę z nią posiedziałem. Chciałem być pewien, że wszystko się udało, że nie ma w niej już życia ani żadnej cząstki Zośki.

Poczula falę gwałtownych mdłości. Nie mogła powstrzymać pulsowania w przełyku. Miała wrażenie, że język podwoił objętość, w ustach zebrało się mnóstwo śliny. Zwymiotowała tuż obok materaca. Gorycz żółci rozlała się w ustach.

- Z Zagórką było trochę więcej roboty - ciągnął Raczkowski, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. - To, że zabili Zośkę i mojego syna, rozdarło mi serce, ale to, że wyrzucili ich ciała przez okno pociągu do rzeki jak śmieci... Niemal umarłem z bólu. Ciągle o tym myślałem. Porwał je nurt, to była jesień, poziom wody był wysoki, więc poszukiwania trwały dwa tygodnie. Dwa kurewsko długie tygodnie szukali, mimo że ci zwyrodnialcy po kilku dniach wyśpiewali, co zrobili z ciałem. Pociąg nie przejeżdżał przez zbyt wiele mostów, więc łatwo dało się określić, w którym miejscu to się stało... Ale ci zasnani nurkowie nie potrafili ich znaleźć. Każdego dnia zastanawiałem się, co dzieje się z ciałem w wodzie, jak wilgoć działa na tkanki. Chciałem to zobaczyć, przeżyć to z nią. Dlatego po tym, jak ją udusiłem, zawlokłem jej ciało nad Choinkę. Zastanawiasz się, dlaczego tam, co? - Cmoknął, dalej wpatrując się w ścianę. - Jezioro prawie w środku kampusu. Dlaczego nie znalazłem czegoś bardziej ustronnego? Nie musiałem. Od strony punktu ksero jest takie podejście, którego nie widać na kamerze. Wystarczyło podjechać w nocy, zataszczyć ciało i obserwować. Wiesz, nie chciałem jej zostawiać samej gdzieś daleko od cywilizacji. Chciałem mieć świadomość, że jest na wyciągnięcie ręki. Przywiązałem ją do tego pomostu w taki sposób, by cały czas była zanurzona, a jednocześnie bym bez trudu mógł ją wyciągnąć. Codziennie oglądałem, jakie zmiany

zachodzą w jej ciele. I znów byłem bliżej Zośki. Przechodziłem z nią to wszystko razem. Nie była już sama z Nikodemem w tej rzece. Byliśmy tam razem.

Wstał i zaczął chodzić wzdłuż pomieszczenia. Wodziła za nim wzrokiem jak pies, który czeka na jedzenie. Ona czekała na tabletkę.

– Widziałas kiedyś topielca? Woda robi straszne spustoszenie z ciałem. Kiedy zobaczyłem rozdęte ciało Zośki, byłem zdruzgotany. Zdeformowana i nadjedzona przez ryby nie przypominała siebie. Świadomość tego, że gdzieś tam w niej tkwiło podobnie umęczone ciało mojego synka, dobijała mnie jeszcze bardziej. Nie chciałem, by proces rozkładu postępował, dlatego po sekcji zostali skremowani. Później długo katowałem się tą myślą. Jak spala się człowiek? Znowu pozwoliłem nas rozdzielić. Zostawiłem ich samych w krematoryjnym piecu. Z Dąbek zbudowałem relację. Łatwo było się z nią zaprzyjaźnić, bo ta dziewczyna wyraźnie miała jakieś deficyty. Zresztą imponowało jej to, że zwróciłem na nią uwagę, już na konfiguracjach spoglądała na mnie z zainteresowaniem. Była najmłodsza w grupie, ledwie pełnoletnia. Wystarczyło wymienić kilka wiadomości na Facebooku. Sam doradziłem jej, żeby wynajęła to mieszkanie. Zawsze spotykaliśmy się w ukryciu, bo byłem jej wykładowcą. Nie wypadalo inaczej, świetna wymówka. Tamtego wieczoru pierwszy raz odwiedziłem ją w domu, zjedliśmy kolację, pożartowaliśmy. Nie, nie tknąłem jej, nie jestem zбочeńcem. Nawet się nie zorientowała, że ją duszę. Później włączyłem muzykę i poćwiartowałem ciało tak, żeby zmieściło się do pieca. W tamtej kamienicy każdy miał piec kaflowy, nikogo nie dziwił odgłos łupania drewna. Włożyłem kilka kawałków, patrząc, jak ogień trawi skórę. Temperatura była za niska, żeby spaliła się całkowicie, ale to mi wystarczyło. Wyszedłem, zanim smród palonego ciała zaalarmował sąsiadów, chociaż szybko to pewnie nie nastąpiło, bo tam głównie pijaczki i narkomani mieszkają.

– Monika – powiedziała zaskoczona brzmieniem własnego głosu.

Spojrzał na nią zdumiony, jakby sobie przypomniął, że nie jest sam.

– Słusznie, że o niej wspominasz. Cenna uwaga. Punkt dla ciebie. Myślałem, że kiedy dokonam tego symbolicznego pożegnania, odczuję ulgę. Poniekąd tak się stało, ale jednak jakaś niezidentyfikowana część mnie wciąż miała dług wobec Nikodema, a ta dziewczyna dosłownie spadła mi z nieba. Poszedłem do świetlicy podpisać papiery, żeby formalnie matka przestała być podopieczną stowarzyszenia, i ona tam była. Znaliśmy się z warsztatów. Pojawiła się na jednej sesji, chyba robili ustawienie pod jej traumę z poronieniem. – Pokręcił przecząco głową, jakby w jego mózgu pojawiła się już kolejna myśl, której nie zdążył wypowiedzieć na głos. – Nie brała udziału w moich konfiguracjach, nie, ale teraz była w ciąży. Poczulem mrowienie na karku i już wiedziałem, co muszę zrobić. To nie mógł być przypadek, że spotkałem ją akurat wtedy, gdy spodziewała się dziecka. Pamiętała mnie. Porozmawialiśmy chwilę, pochwaliła się, że będzie miała synka. Wtedy ostatecznie podjąłem decyzję. Nie wiem, może sama jej obecność podczas moich ustawień sprawiła, że stała się nosicielką cząstki Zosi, cząstki Nikosia. Nie mogłem pozwolić, by ona i jej dziecko zawłaszczyli moją rodzinę. Mogłem zrobić tylko jedno i nie zawahałem się ani chwili.

– Gdzie ona jest? Co z nią zrobiłeś? – wycharczała jak zwierzę, które jest gotowe do ataku.

Położył palec na ustach.

– Ciii. Nie bądź taka zachłanna. Ta część historii jest zbyt osobista, delikatna. Tę zostawię tylko dla siebie. Nie jesteśmy tak blisko, żebym chciał się tym z tobą dzielić.

– Nie. Nie. Nie – wyrzucała z siebie coraz szybciej. – Powiedz, co się z nią stało!

Nagle znajome, ssące uczucie niepokoju wróciło. To samo, które przywiodło ją aż tutaj. To samo, które kazało jej spotykać się z tymi wszystkimi mężczyznami, pozwalać im się rozbierać, całować, dotykać. Wszystko po to, by odkryć, co stało się z Moniką. Jakby wszystkie dotychczasowe grzechy dało się odkupić uratowaniem tego jednego życia. Zawahała się. Nie jednego. Może właśnie dlatego tak bardzo chciała ją ocalić – bo jego życie miało dopiero się zacząć. Miał pustą kartę. Jej pełne cierpienia i upokorzenia życie za życie tego małego chłopca, który mógł być, kimkolwiek tylko zamarzył. Uczciwa wymiana. Ale było



już za późno. Raczkowski zabił Monikę i jej dziecko wiedziony jakąś irracjonalną, demoniczną wizją. Oszałały z rozpaczy i bólu po stracie własnego dziecka zabił inne.

Nagle pomyślała o swojej matce, która żałowała, że ją urodziła. Monika czekała na swojego synka, kochała go, jeszcze zanim przyszedł na świat.

Och, jak ona mu zazdrościła...

– Zośka i Nikoś są wolni, dokonałem tego. Odkupiłem winy, grzechy zostały mi wybaczone. Ona mi wybaczyła i znów mogę o niej myśleć, wspominać ją. Znów jest moja.

– Gdzie jest Monika i jej dziecko? Powiedz mi, błagam. – Wzięła głęboki oddech, powstrzymując kolejną falę mdłości. – Tylko o to jedno cię proszę. Nic więcej.

Westchnął teatralnie.

– Znowu nie rozumiesz. Jesteś taka głupiutka. Zresztą zauważyłem to już podczas egzaminu. Kolejny raz nie mogę pojąć tego, jak moja matka mogła zobaczyć w tobie Zośkę. Są już niezależni, nie będą próbować żyć życiem mojej rodziny. O nie, teraz nie stanowią już zagrożenia. Tak jest lepiej.

Wiedziała, co to oznacza. Dopytywanie nie miało już sensu. To, gdzie zakopał ich ciało, było bez znaczenia. Nie żyli. Właściwie wiedziała to od momentu, kiedy Monika zaginęła. Uroiła sobie tę całą misję odnalezienia jej, żeby wyciszyć wyrzuty sumienia. A może bardziej po to, żeby stworzyć fałszywe poczucie sensu. Mogła się nim karmić, zagłuszać myśli. Gdzieś w odmętach świadomości czuła, że to wszystko jest po coś. Aż do teraz. Bo teraz była już niepotrzebna.

Mięśnie jej drżały, drgały spazmatycznie, jakby powoli przestawały współpracować z mózgiem. Nie wiedziała, czy to efekt tego, że nie dostała dzisiaj tabletki, czy może ciało buntowało się w ten sposób przeciwko okrutnej prawdzie.

– No i przechodzimy do puenty, bo chyba to powinno cię najbardziej interesować: dlaczego ty. Czy jesteś jakaś wyjątkowa? I tak, i nie. – Raczkowski znów usiadł na taborecie. – Widzisz, moja matka zapadła na demencję, o większości wydarzeń ze swojego życia zapomniała, inne sobie wymyśliła, ale było jedno, które trzymało ją w tym świecie. Nigdy nie zapomniała, co stało się z Zosią. Jakby ten bolesny fakt tak wrył się w jej świadomość, że nawet demencja nie była w stanie tego zmienić. I nagle okazało się, że coś się zmieniło. Ty to zmieniłaś. Pewnego dnia oznajmiła mi, że widziała się z Zosią w świetlicy i że w jej stanie nie powinna się tak przepracowywać. Zgłupiałem. Śmierć Zośki przestała być kotwicą łączącą ją z rzeczywistością. Musiałem się przekonać, kim jesteś i co takiego w sobie masz, że zobaczyła w tobie Zośkę.

– I co? Co takiego miałam, że mnie tu zamknąłeś? – zapytała cicho.

Roześmiał się. Pusty chrapliwy śmiech odbił się od ścian.

– Nic – wzruszył ramionami. – Właśnie o to chodzi, że kompletnie nic. Obserwowałem cię kilka tygodni, liczyłem, że zrozumieć, co takiego łączy cię z Zośką, skoro moja matka ją w tobie zobaczyła, ale nie dostrzegłem żadnej, najmniejszej nawet nici podobieństwa. Te obserwacje uświadomiły mi jednak coś innego, uruchomiły mój nieco uspiiony instynkt obronny. Uznałem, że skoro zwracała się do ciebie jako Zosi, to jesteś jedyną osobą, która może poznać moją tajemnicę. Wszystko zniszczyć. Do końca zastanawiałem się, czy będziesz w stanie mnie z tym powiązać. Ostateczną decyzję podjąłem, kiedy spotkaliśmy się w gabinecie tej nierozgarniętej dyrektorki. Wiedziałem, co muszę zrobić. To było łatwe. Założyłem kilka kont na portalu randkowym. Na początku nie mogłem zdobyć twojego zainteresowania, nieco więc zawyżyłem wiek, zmieniłem hobby, pracę i bingo. Później wystarczyło umówić się z tobą w jakimś w miarę odludnym miejscu i uszkodzić alternator w twoim aucie. To było ryzykowne, ale słusznie obstałem, że w tym gruchocie musisz mieć jakiś dupny akumulator. Jechałem za tobą od samego Olsztyna. Resztę znasz... Tadam. I jak ci się podoba? Warto było czekać tyle miesięcy na tę historię? Wiesz, że jesteś jedyną osobą, która kiedykolwiek ją usłyszała? Czujesz się doceniona? Powinnaś – uśmiechnął się. – No to jeszcze prezenty.

Wyjął z kieszeni małe zawiniątko ledwie widoczne w bladym świetle latarki.

– Tu masz dziewięć tabletek. Dziewięć. Jak dziewięć kręgów piekieł – zaśmiał się, odkaszując. – Możesz zaryzykować i wziąć je wszystkie, ale nie masz gwarancji, że zadziałają tak, jak się spodziewasz. Albo brać codziennie jedną i przejść przez to wszystko nieświadomie, w półśnie. Jeśli weźmiesz wszystkie naraz, być może jutro obudzisz się, wyrzygując własny żołądek, a wtedy będziesz czuła każdą upływającą minutę. A może nieświadoma zaśniesz na zawsze. Szanse są pół na pół. Ja cię nie zabiję, nie jestem mordercą, chociaż pewnie tak o mnie myślisz. To błąd. Nie zabijam dla hecy. Zostawiam ci wybór. Może stanie się cud. Szansa zawsze istnieje – westchnął. – Zasmuca mnie ta myśl, że na końcu zawsze jesteśmy sami. Nie każdy jest w stanie zrobić tyle dla drugiej osoby, co ja zrobiłem dla Zośki, i przejść tę drogę wspólnie. Nie każdy.

Wstał i otrzepał spodnie.

– Ach, i coś jeszcze. To na wszelki wypadek.

Położył obok jej materaca małą niedbale zwiniętą słomianą laleczkę.

Bosymi stópkami stanęła na zimnych płytkach w kuchni. Ojciec siedział przy stole, na którym stała otwarta butelka piwa.

– Śniadanie ci zrobiłem. – Przesunął po ceracie w jej stronę wyszczerbiony talerzyk z dwiema kromkami chleba cienko posmarowanymi pasztetem.

Spojrzała na niego zdziwiona. Zazwyczaj sama musiała sobie przygotowywać kanapki.

Ojciec sięgnął z blatu kubek z zimną już czarną herbatą, po czym upił duży łyk piwa.

– Tato... – zagadnęła, siadając obok niego.

– Tak? – Przetarł usta rękawem.

– Dlaczego ta pani wczoraj najpierw krzyczała, a później już było cicho? Czy coś się jej stało?

W oczach ojca błysnęła złość, jednak po chwili jego spojrzenie złagodniało.

– Nie zastanawiaj się nad tym. Jej już nie ma.

– Jest w niebie tak jak mama? – zapytała, machając beztrudno nogami, które zwisały z krzesła.

Upił kolejny łyk piwa.

– Tłumaczyłem ci już, że mama nie jest w niebie.

– Więc gdzie jest?

– Nie ma jej, po prostu zniknęła.

– A co zrobiła ta pani, że zniknęła?

– Powiedziała coś bardzo złego.

– To jak się powie coś złego, to się znika? – spytała, sięgając po kanapkę.

– Nie do końca. Jak się powie coś złego, to druga osoba może sprawić, że ktoś znika.

– A ty sprawiłeś, że ona zniknęła?

– Tak – odpowiedział cicho, wpatrując się w ciemną butelkę.

– A ona kiedyś wróci?

– Nie, jak się zniknie, nie można już wrócić.

– A czy ja kiedyś zniknę?

– Nie, nie znikniesz, nie pozwolę na to.

Ugryzła kęs chleba i popiła go lodowatą herbatą.

– A jak będę już stara? – zapytała po chwili.

– To wtedy nie znikniesz, nawet jak umrzesz, bo będziesz miała wokół siebie ludzi, którzy będą cię kochali i nigdy o tobie nie zapomną.

– Ja też o tobie nigdy nie zapomnę, tato, bo nie chcę, żebyś zniknął.

Dopił resztę piwa, po czym głośno beknął.

– Teraz już jedz i nie gadaj – powiedział, a potem wyjął kolejną butelkę z lodówki.

Kłapa w suficie szczęknęła i znowu zapadła ciemność. Łucja chciała krzyknąć, błagać Raczkowskiego, żeby jej nie zostawiał, ale nie miała siły wydobyć z siebie głosu. Upadła twarzą na lodowaty materac, ściskając w dłoni dziewięć tabletek zawiniętych w papierowy ręcznik. Nie było już żadnych pytań, niewiadomych, żadnej myśli, której mogłaby się chwycić. Została tylko czern zalewająca oczy i odbierająca wzrok oraz oddech.

Pomyślała, że wszystkie wydarzenia w jej życiu prowadziły ją właśnie do tego miejsca. Jakby całe zło, które z jej powodu wydarzyło się na świecie, skumulowało się właśnie tutaj. Ciotka Teresa miała rację – piekło w końcu ją odnalazło. Zateśkniła za ojcem. Przerazała ją myśl, że kiedy ona umrze, nikt już nie będzie go pamiętał, bo jej pamięć była jedyną formą jego życia. Ale jeszcze bardziej bała się tego, że nikt nie będzie pamiętał o niej, że będzie tak, jakby nigdy nie istniała.

Wyjęła jedną tabletkę z zawiniątka i z wysiłkiem włożyła do spierzchniętych ust. Gorycz pastylki powoli osadziła się na języku. Łucja nie miała w sobie tyle odwagi, by wziąć je wszystkie naraz. Wizja świadomego umierania była bardziej przerażająca niż nadzieja na szybką śmierć. Odnalazła w ciemności butelkę z wodą. Upiła niewielki łyk. Może ta śmierć była jej pisana już wtedy w lesie. Pożałowała, że nie zginęła szybko jak tamten bezdomny. Kilka tygodni później, patrząc na ciało wyciągane z Choinki, gdzieś w odmętach świadomości przezuwała, że lalkarz jest częścią jej życia. Tak jak ta destrukcyjna siła, która podążała za nią od dzieciństwa. Może matka miała rację, że Łucja była przyczyną wszystkich nieszczęść. Może miała rację, nie kochając jej. Może naprawdę od pierwszego oddechu ciążyło nad nią fatum. Pomyślała o Tomaszu, o jego ciepłych dłoniach, matowym głosie. Poczła wdzięczność, że dał jej wspomnienia, które teraz przebijały się przez smród fekaliiów i pochłaniającą wszystko ciemność. Odtwarzała tę myśl w głowie tak długo, aż tabletkę znów odebrała jej świadomość.

Łucja położyła się w pozycji embrionalnej na spleśniałym materacu, zapominając o tym przeklętym miejscu. Wszystko, co ją otaczało, zapadło się w głąb jej głowy. Powoli wnikała w rozrastającą się smugę czerni. A dalej było niebo i nic.

# EPILOG

## *Trzy dni później*

- Cholera, naprawdę się denerwuję. – Rita potarła dłonie, jakby chciała w ten sposób uspokoić nerwy.

- Przestań. Tyle czasu odwlekałaś tę obronę, że teraz pójdzie jak z płatka. Najwyżej dadzą ci ten tytuł przez zasiedzenie – zaśmiał się Damian.

Do budynku uczelni przez dachowe okna wlało się ciepłe czerwcowe słońce. Na wydziale panowała nienaturalna cisza. Jedynie obok automatu z kawą kręciło się kilka osób.

- A jak się skompromituję?

Przewrócił oczami.

- Mówisz to tylko po to, żebym cię przekonywał, że jesteś mądra i doskonale przygotowana, czy o co ci chodzi?

- Wiedziałam, że na twoje wsparcie można liczyć.

- Jak ty tak panikujesz przed głupią obroną, to chyba za miesiąc na ślubie w ogóle sfiksujesz. Może już powinniśmy ćwiczyć przysięgę?

Drzwi gabinetu otworzyły się. Stał w nich Raczkowski obładowany książkami.

- Dzień dobry profesorze – przywitała się, zanim ją dostrzegł zza stosu podręczników.

- O, dzień dobry, dzień dobry – odpowiedział z uśmiechem, a potem podszedł do nich, położył książki na parapecie i podał rękę Damianowi.

- Jak się sprawy mają? Jakies postępy?

- Niestety – westchnęła Rita. – Pojutrze organizujemy mały koncert w filharmonii, żeby zyskać trochę zainteresowania mediów. Może ktoś coś widział, ktoś coś wie. Pojawi się pan profesor i tym razem?

- Ach, ten maraton tak fajnie nam zagrał, że tym razem też bym się chętnie zaangażował, ale niestety nie dam rady. Wyjeżdżam jutro na roczne stypendium. Przykro mi. – Zrobił taką minę, jakby naprawdę było mu przykro.

- Ojej, wielka szkoda. A dokąd?

- Do Madison.

- Stany, zazdroszczę – wtrącił się Damian.

- No trudno, w takim razie będziemy musieli podziałać sami. I tak dużo nam pan pomógł, za co jesteśmy bardzo wdzięczni – odpowiedziała Rita, spoglądając nerwowo w stronę gabinetu, w którym miał odbyć się egzamin.

- Jasne, nie poddawajcie się. Zawsze jest jakaś szansa, dopóki jest nadzieja. Ważne, żeby nie dać tej sprawie ucichnąć. – Spojrzał na czarnego garmina oplatającego jego przegub. – Muszę lecieć, bo mam jeszcze fryzjera, co bym za ocean bez odpowiedniej fryzury się nie wybrał – zaśmiał się. – Powodzenia na obronie. – Mrugnął do Rity, zabrał książki i poszedł w stronę windy.

- To naprawdę spoko gość – stwierdził Damian, patrząc, jak tamten znika za drzwiami.

- Spoko i sporo pomógł przy tym maratonie dla Łucji, bez niego raczej nie udałoby się uzyskać wsparcia rektora. Kurde, że też wcześniej nie pomyślałam, żeby go poprosić o pomoc przy koncercie – mruknęła, a w jej głosie pobrzmiła irytacja.

- Może już pora odpuścić, co?

Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Czemu to powiedziałaś?

- Bo taka jest prawda. Dobrze wiesz, że Łucja nie była grzeczną dziewczynką z dobrego domu. Myślałem, że po tym, jak wyciekły jej rozmowy z przygodnymi kolesiami do bzykania, trochę zbastujesz.

- Ciszej - syknęła.

- Przecież tu i tak nikogo nie ma, kto by nas słuchał.

- Dobrze wiesz, że robiła to po to, żeby znaleźć Monikę.

- A ty skąd to wiesz?

- Z jej listy podejrzanych i notatek, które zostawiła w komputerze. Sam je czytałeś.

- Ach, no tak, puszczała się w słusznej sprawie, to spoko. Jest rozgrzeszona.

- A co ty nagle taki ostatni sprawiedliwy?

Opadł na krzesło, ustawione pod gabinetem numer 7.

- Nie o to chodzi - odparł. - Po prostu dziewczyna sama prosiła się o kłopoty, prowadząc dość ryzykowny tryb życia. Zresztą wszystko wskazuje na to, że pochodziła z niezłej patoli, nic więc dziwnego, że miała zaburzone wzorce. Wiesz dobrze, że mogło jej się znudzić studiowanie i płacenie czynszu, więc po prostu przepadła jak kamień w wodę.

- Co ty wygadujesz?

- Tak dobrze ją znałaś?

- No nie, ale...

- No właśnie. Jak chcesz, to organizuj te eventy, zbiórki i szukaj sobie dalej, ale dla mnie to zupełnie pozbawione sensu. Zresztą masz chyba inne sprawy na głowie. - Spojrzał ostentacyjnie na złoty pierścionek pobłyskujący na jej palcu serdecznym. - Nawet jeśli wcale jednak nie uciekła, tylko coś jej się przydarzyło, to raczej już nie żyje - dodał cicho.

Rita wiedziała, że Damian ma rację.

- Twierdziłeś, że Moniki też nie znajdują, a jakoś się udało.

- Udało? To dość dziwne określenie w kontekście, że ktoś nie tylko ją zabił, ale też wyjął z niej dziecko. Na dodatek położył oboje na łóżku w wynajętym mieszkaniu na zamkniętym osiedlu.

- Nawet mi o tym nie przypominaj - westchnęła. - Jakim zwyrolem trzeba być, żeby zrobić coś takiego?

- Chciał, żeby ją znaleźli, to w końcu znaleźli. Daj spokój, dopóki policja nie weźmie się za to poważnie, nie ma szans na odnalezienie tego lalkarza.

- Przecież teraz szukają naśladowcy - mruknęła. - Lalkarz siedzi.

- Nie wygłupiaj się.

Oparła czoło o nagrzaną słońcem szybę.

- Widzę, że odkąd przeszedłeś do wojska, dość krytycznie wyrażasz się o działaniach policji - zaśmiała się, przyzymkając powieki.

- No cóż, miałem jeszcze jakieś sentymenty, ale skoro moja narzeczona wybrała tę samą mundurową ścieżkę, to mogę otwarcie nimi gardzić. Po tym, co zrobili przy tej sprawie, wstydzę się, że pracowałem tam tyle lat.

Rita spojrzała na skąpane w promieniach słońca zarysy bloków, malujące się w oddali.

- Ten koncert chyba już będzie ostatni - powiedziała z westchnieniem.

- Widzę, że rozsądek ci wraca. To dobra wróżba przed egzaminem - zaśmiał się Damian.

- Myślisz, że zdążę jeszcze zapalić czy...? - Urwała w pół słowa, bo drzwi od gabinetu otworzyły się i niska, drobna brunetka zapraszającym gestem machnęła w jej stronę.

- Pani Nowakowska, zapraszamy.

Dziewczyna spojrzała z paniką na Damiana i powoli podążyła w stronę dębowych drzwi ze złotą połyskującą klamką.

### ***Trzy kilometry dalej, ogródki działkowe***

Ciepły wiatr kołysał żółte mlecze wystające spomiędzy zielonych kępek trawy.

– A jak nas ktoś przyłapie? – Łukasz rozejrzał się ze strachem dookoła. W tym roku skończył trzynaście lat, ale ani razu dotąd nie dał się namówić koledze na wypad na działki.

– Niby kto? Przecież to miejsce wygląda, jakby nikt tu nie był od jakichś pięciu albo pięćdziesięciu lat – odpowiedział Krzysiek, jego najlepszy przyjaciel od czwartej klasy.

– Boję się, że będą kłopoty.

– Przestań. – Krzysiek otworzył kopniakiem bramkę, a ta zapiszczała przeciągle.

Niewielki domek na narzędzia z luszczącą się zieloną farbą wyglądał dość posepnie.

– A jak nas ktoś z sąsiadów właściciela nakryje? – dopytywał dalej przestraszony Łukasz.

– No, jakbyś nie zauważył, akurat ta działka sąsiaduje jedynie z żydowskim cmentarzem.

O tym cmentarzu nikt nie pamiętał i żaden z chłopców nie widział, by kiedykolwiek ktokolwiek się tu kręcił. Oprócz nich rzecz jasna.

Podeszli do napuchniętych od wilgoci drzwi z płyty pilśniowej.

– Nie leziemy tu taki kawał przez przypadek. – Krzysiek nacisnął klamkę, jednak drzwi nawet nie drgnęły.

– Jak je otworzymy?

– Ano tak. – Chłopak wyciągnął z plecaka długi, powykrzywiany drut i przez chwilę kręcił nim w porzewiałym zamku. W końcu coś szcęknęło.

Tuż obok zarośniętej chwastami prostokątnej działki wiła się szutrowa droga. Po prawej stronie błyszczały trakcje kolejowe, a w oddali widać było zaniedbane gospodarstwo. Niosło się z niego ujadanie psów.

Łukasz spojrział na kolegę ze strachem.

– No dawaj, dawaj. Wchodzimy. – Chłopak popchnął drzwi, które zaskrzypiały złowrogo.

W środku panował półmrok. Obok wysłużonej kanapy na podłodze przykrytej gumolitem piętrzył się stos szmat przysyłających niemal całkowicie pociemniały ze starości sosnowy regał. Pod nim rozłożono czerwony dywan z krótkim, wytartym włosiem.

– Co tu tak śmierdzi? – Łukasz zasłonił ręką nos.

– Pewnie gdzieś w tych szmatach gniją szczury i myszy.

– Nie wytrzymam, zaraz rzygnę.

– Łuki, nie przesadzaj. Co ty, baba jesteś? Myślałem, że przyszliśmy tu po coś.

– Chcesz siedzieć w tym smrodzie?

– Zaraz będzie ci wszystko jedno, zaufaj mi.

W jednym z zakurzonych kątów można było dostrzec łom, łopatę i grabie oparte o ściankę z płyty pilśniowej.

Łukasz rozejrzał się po wnętrzu.

– Dziwnie tu. Klimat trochę jak z horroru.

– Najpierw ci przeszkadza smród, teraz nie podoba ci się wystrój. Człowieku, palisz czy nie? Zdecyduj się, bo ja cię niańczył nie będę.

– Dobra, dawaj.

– I to jest męska decyzja. – Krzysiek opadł na pstrokata, kwiecistą kanapę, rzucając na siedzisko plecak. – Ogólnie to ten bajer nazywa się grom. Brzmi dobrze, co nie?

- A jak coś nam się stanie? Stracimy wzrok albo coś? Kurde, Krzysiek, z ludźmi po tym dziwne rzeczy się dzieją.

- Gównu stracimy co najwyżej - zarechotał chłopak, obnażając nierówne zęby. - Ale jak się zesrasz, to nikomu nie powiem, nie martw się.

Wyjął z plecaka piórnik, a z niego ostrożnie zmiętego skręta.

- Czekaj, jeszcze zapalniczka. Gdzie ja ją... - Zaczął nerwowo szukać w kieszeni czarnych dresów. - O, jest. No to do dzieła. Chcesz pierwszy?

Łukasz kiwnął niepewnie głową.

- Dobra, niech będzie, ja zacznę. - Krzysiek włożył skręta do ust i podpalił jego końcówkę żółtym, palącym się miarowo płomieniem. Wciągnął dym i przytrzymał go chwilę w płucach, po czym powoli wypuścił.

Jego przyjaciel zrobił to samo, krztusząc się.

- Co ty jak baba palisz?

- Chyba palącej baby nie widziałeś. Moja mama kopci jak smok i odpala jedną fajkę od drugiej, jak się czasami zdenerwuje - odpowiedział chłopak, nadal kaszląc.

- No wiesz, różne są baby. Moja siostra to się dusi, jak ktoś obok niej papierosa zapala.

Łukasz nie odpowiedział, tylko wyciągnął rękę po skręta. Tym razem zaciągnął się spokojniej. Podawali sobie papierosa bez słów. Później wrzucili peta do butelki z wodą i jeszcze chwilę siedzieli w milczeniu, wpatrując się w jeden punkt.

- Czujesz coś? - zapytał ze strachem Łukasz.

- Serce mi wali i w łydkach krew głośno płynie. Słyszysz, jak szumi?

- Raczej nie, ale mi też coś dziwnego się dzieje z nogami. Jakby spuchły. I ta opuchlizna przenosi się chyba wyżej.

- Chodźmy stąd, duszno tu i jakoś strasznie. Jak coś nam się stanie, nikt nas nie znajdzie - powiedział nagle Krzysiek.

- Co ty wygadujesz? Sam mówiłeś, że będziemy tu siedzieć, aż z nas zejdzie.

- Zmieniłem zdaniem - odparł chłopak, poprawiając grzywkę, po czym wybuchnął głośnym histerycznym śmiechem.

- A tobie co?

Krzysiek skoczył z impetem w stos szmat, cały czas chichocząc. Zaczął turlać się po podłodze, rozrzucając stare ubrania po całym pomieszczeniu.

Łukasz wpatrywał się w kolegę bez słowa, aż w końcu wybuchnął śmiechem razem z nim.

Chłopięcy śmiech niósł się po altance. Nagle Krzysiek usiadł na podłodze i spowaźniał, jakby coś mu się przypomniało.

- Na czym ty siedzisz? - Łukasz ukucnął obok, oglądając fragment gumolitu. - Zobacz, jest rozcięty. - Chwytał kawał linoleum z taką lekkością, jakby podnosił plaster sera.

Pod spodem była metalowa kłapa zamknięta na zardzewiałą kłódkę.

- Chodźmy stąd - powtórzył Krzysiek zniechęcony, jego kolega jednak nie zwrócił na to uwagi.

- Wygląda jak właz. - Pociągnął z całej siły za wygięty pręt, na którym dyndała kłódka, ale kłapa ani drgnęła.

- Chodźmy stąd...

- A jeśli tam ktoś jest? Albo coś? - W głosie Łukasza pojawiło się przerażenie.

Krzysiek zaczął nagle walić otwartą dłońią w kłapę.

- Co ty odwalasz?! - Łukasz rzucił się na niego, łapiąc go za rękę. - Zupełnie ci... - Nagle spojrzął na niego, urywając w pół słowa. - Słyszałeś?!

- Chodźmy stąd. Nic nie słyszałem.

- Jak to nie? Coś jakby krzyk? - Tym razem to Łukasz zapukał w klapę. - Brzmi, jakby naprawdę ktoś krzyczał.

- Jesteśmy upaleni. Spieprzamy stąd i nie wymyślaj głupot, grom ci mózg rozpieprza.

- Ale...

- Nie ma zasranego „ale”, spierdalamy, zanim będą kłopoty.

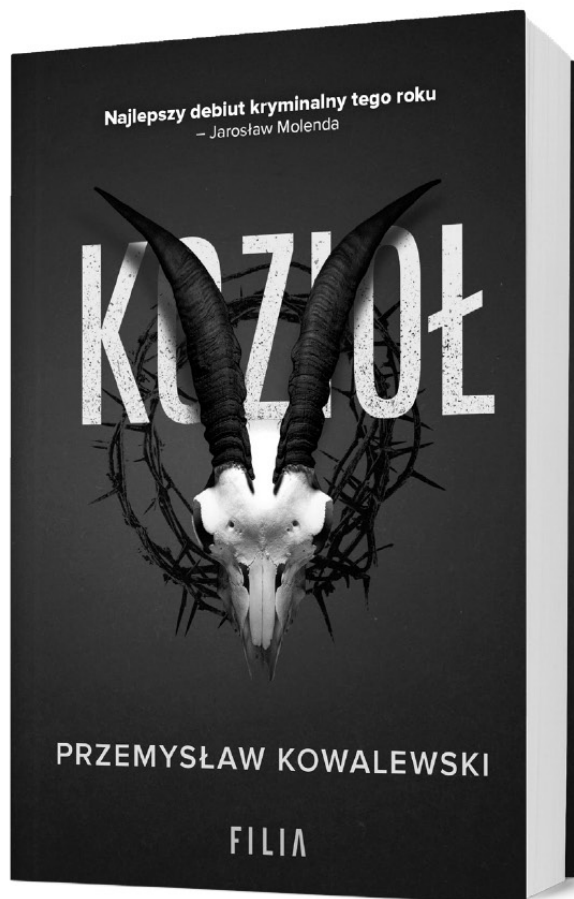
Łukasz zawahał się. W skroniach czuł miarowe pulsowanie. Głęboko w świadomości chciał przekonać się, co znajduje się po drugiej stronie kłapy. Jakie jest źródło tego dziwnego dźwięku, który przypominał krzyk. Spojrzał na kolegę podchodzącego ostrożnie do drzwi. Ściany altanki zaczęły się wykrzywiać. Krzysiek miał rację, był naćpany. Podniósł się powoli i ruszył za nim w stronę oślepiającego światła, wlewającego się do domku przez otwarte już drzwi. Przez chwilę miał ochotę zawrócić, ale napad gwałtownych mdłości zmusił go do wyjścia na zewnątrz. Ciepłe promienie słońca dotknęły jego twarzy, obraz rozbłysnął odcieniami zieleni i błękitu, delikatne podmuchy wiatru kołysały rosnącymi wokół trawami. Łukasz odetchnął głęboko i nudności minęły. W otoczeniu zieleniących się łąk dźwięki spod kłapy w podłodze wydały mu się zupełnie nierzeczywiste.

KONIEC



# PRZEMYSŁAW KOWALEWSKI

PRAWDA CIĘ PRZERAZI.



Rok 1957. W Szczecinie dochodzi do serii tajemniczych zgonów. W Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej zostaje powołany specjalny zespół do zbadania tej sprawy. Na jego czele staje porucznik Ugne Galant. Milicjanci muszą wrócić do nierozwiązanych śledztw sprzed kilku lat. W tym do tego, o którym oficjalnie się nie mówi – morderstwa, które miało miejsce we wrześniu 1952 w domu przy ulicy Wilsona 7 na Niebuszewie. Śledczy ścigają się nie tylko z czasem, ale z własnymi słabościami.

## FILIA

Istnieją tajemnice, które nieuchronnie  
prowadzą do śmierci...



**FILIA**